KRZYŻACY

1410.

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ego te baptizo in gladio.
Godło krzyżackie.

TOM I.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.
1882.

I.

Zachodzące słońce jaskrawo oświecało czerwone mury Malborgskiego zamku, a raczéj trzech zamczysk rozłożonych na wzgórzu, z którego na błonia nad Nogatem widok się szeroki rozlegał. Godzina była gdy się wszystko ku spoczynkowi i domowi zbiera; ludzie z pól, podróżni z gościńców do gospód, bydło i konie z paszy, ptastwo nawet z żeru do gniazd przylata. W ulicy, do górnego zamku wiodącéj, pełno téż było ludu rozmaitego, cisnącego się ku wnijściu i wychodzącego z grodu na miasto.

Szum i wrzawa wielka panowała w ciasnéj bramie pełnéj wszelakich postaci, między któremi i najświetniejsze rycerskie i najuboższe żebracze o siebie się ocierały. Słychać było wrzask knechtów torujących rycerzom drogę, i parskanie koni,

i wart wołanie, i piskliwe głosy żebrzących nad drogą.

Nieopodal pod murem, nad którym się wznosiła ściana kościoła Panny Maryi, z olbrzymim wizerunkiem Matki Boskiéj na tle złotem wysadzaném, siedziało rzędem żebractwo, zawodząc pieśni wieczorne. Dzwony odzywały się po kościołach na modlitwę, po zakonnych murach na godziny, na służbę, na braci i rycerzy.

Każdy z tych dzwonów miał swój głos, po którym go poznawali swoi i mówił co innego, a inaczéj. Jedne śpiewały przeciągle i długo, drugie urywanemi dźwięki rozkazująco wołały, inne się modliły, zwolna rozkołysane, rozmarzone, jakby pieśnią wieczorną. W słonecznych promieniach pomarańczowych krasne mury Malborga, *ex lutho*, z błota zbudowanego, rubinowemi barwy, szatą purpurową okryte jaśniały. Zdawało się, jakby cegła z któréj je wzniesiono, ze krwią była mięszana, w krwi maczana i krwią oblana. Ostre szczyty z wązkiemi oknami pięły się do góry, a na gzémsach ich ślizgały się błyski światła, jak sznury złote, i w błonach okien w ołów oprawnych, odbijało się słońce, jakby z nich biły płomienie.

Wspaniały to był a straszny widok tego zamczyska, o wieczornéj porze, z temi krwawemi ścianami, napół w cieniach, pół w płomieniach, i kto nań spojrzał, zadrżéć musiał nad potęgą zakonu, który z namiotu dorósł do takiego grodu i z obozu rozlał się na państwo zdobyte.

Czuć tu było wielką potęgę i siłę.

Wszystko olbrzymio wyglądało: mury ciągnące się i piętrzące ogromnemi ściany, obraz Maryi całą zajmujący kościoła połać w złocistéj niszy, baszty, bramy, ganki, kościoły, porosły wysoko, a sam lud, co zapełniał gmachy, potężny téż był i doborny. Rycerze na koniach, cali okuci w żelazo, dobrani z rodu, co w puszczach germańskich wyhodował się do walki z dzikiemi zwierzęty. Konie pod nimi ciężkie i roztyłe, blachami przyodziane, do nich téż były podobierane. Knechty co jechali za panami, równali im miarą, psy co za niemi biegły, do wilków były podobne, siłą, siercią i wzrostem.

Pieszy lud téż z zamku i do zamku płynący, wszystek co po sukniach białych z półkrzyżami poznać go było można za pół-braci, rosły i silny, a butny i rozbujany, rozpędzał ubogą czeladź na ziemi téj zrodzoną, na niewolnika wyglądającą. Ustępowano im z drogi prędko, bo knecht każdy

łacno sobie radził pięścią i kijem. Ani krzyknąć było wolno obitemu, kiedy go pan chłostał. A roiło się temi pańskiemi płaszczami białemi dokoła zamku, bo z różnych stron do nowego mistrza przybywali posłańcy, i rycerze, i komturowie konwentów, i miejskie gromady, i książęcy posłowie, i goście niemieccy z nad Renu, z Szwabii, Frankonii, Luzacyi, Saksonii, Bawaryi i całego germańskiego mrowiska.

Ale dla wszystkich było dosyć miejsca na zamkach, w górnym i średnim i po wszech tych gmachach piętrzących się na górze, nie licząc lochów i podziemi drugie tyle, w których też nie jeden gość się mieścił pod kłodą.

I nigdy oddawna nie było na Malborgskim zamku tak ludno, bo nikomu tajno nie było, że się na wojnę zabierało. Jagiełło upominał się ziemi Dobrzyńskiej, a Witold Żmudzi, i choć Witolda zakon prawie był pewien, przecież tyle razy się na nim zawiódł, iż ostrożność zachować musiano; choć Krzyżacy mieli wszech książąt niemieckich pomoc i zasiłki kupione i obiecane; choć króla Zygmunta też zapłacić przyrzekli; choć król polski i brat jego sami niemal stali przeciw nim, nikogo z sobą nie mając: trzeba było sposobić się by ich pokonać, z niemałym trudem i zachodem.

Po całéj więc przestrzeni ziem zakonu szli gońce, aby zamki oprawiać, zewsząd przynoszono wieści co nad granicami słychać, żywność, prochy, konie, zbroje i działa ściągano. Szły o pokój rokowania, ale go nikt nie był pewien..

Nowy mistrz po Konradzie obrany, brat jego Ulryk, starym był wojakiem, choć człowiekiem młodym, bo począł wcześnie za Konrada Wallenroda wyprawy swe i u boku jego walczył nieustannie; walczył komturem w Baldze, gdzie nigdy spokoju nie miał, a marszałkował potém zakonowi, aż do zgonu brata.

Żołnierz był to więcéj niż wódz, prędki, gorączka, butny, do gniewu i porywu skory, a potęgą zakonu nakarmiony tak, iż w nim duma płomieniami wzbierała. Nieprzyjaciela takiego naprzeciw siebie mićć, zakonem trzęsącego i miłością jego uzbrojonego, z Niemiec jako ze śpiżarni ciągnącego ludzi i żelazo, niebezpiecznem było.

Codzień szły listy z Malborga i Kursory na zachód, aż nad Ren, i nawoływały po zamkach rycerstwo niemieckie na spokojne Słowian ziemie, które się z garści zakonu wymykały;—codzień téż z gdańskiéj wieży widać było nowych przybyszów, pocztami ciągnących na łowy krzyżackie przeciw Litwie, Rusi i Polsce.

Dlatego i w téj godzinie wieczornéj gorącego dnia lipcowego, gwarno tak było w bramach i około murów, a na zamku ino rżenie koni było słychać, i chrzęst zbroi i brzęk żelezców u boku rycerzy.. i rzucanie zbrojami, które padając chrzęszczały. Właśnie Komtur z Tucholi na zamek jechał, Henryk von Schwelborn, i drogę torować kazał knechtom, bo ludu przy sobie nie lubił, a o lada kogo otrzéć się nie ścierpiał. Siedział na bachmacie ogromnym, we zbroi i płaszczu na ramię zarzuconym, w szyszaku, którego przyłbicę podniósł, a twarz mu z niego marsowa patrzała, z czarnym wąsem i brodą jak wiecha, z brwiami rozbujałemi krzaczysto,—z czerwonemi i wydatnemi usty, jakby krwią niestartą nabrzmiałemi.— I odgadnąć było łatwo, po co z Tucholi do mistrza śpieszył, bo go wszyscy znali, że Jagiełły i jego narodu niecierpiał, a mawiał odgrażając się, iż krewby jego pił ze smakiem, i mówiąc to, śmiał się białemi zęby, jak wilcze ostremi. Chciał też wojny i na nią namawiał, i cieszył się, że ją mieć będzie, bo zdawała się nieuchronną.

A gdy w bramę wjeżdżał że czterema rycerzami za sobą i dziesiątkiem knechtów, z drugiéj strony chciał się w nią wcisnąć ubogi jakiś człowiek, nie młody, o kiju, którego z czarnéj długiéj

sukni trudno poznać było co za jeden miał być: pątnik, ksiądz, żebrak, czy sługa pański. A że wchodząc stary nie ustąpił Komturowi, bo go nie widział, pchnięto go tak i przyparto do muru, że koń Komtura nogą mu przygniótł stopę, aż krzyknął, za co płazem miecza po karku od samego Schwelborna dostał.

I podniósł nań oczy stary, aż się źrenice ich spotkały z sobą, a było wejrzenie starca, mimo boleści tak promieniste i potężne, że się Komtur żachnął i namarszczył, zdziwiony, by ubogi człek śmiał tak patrzéć na niego. Starzec się przecie i marsa tego nie uląkł, oko w oko mierzył Henryka, który go zwolna mijał, a ręką jedną jakby z szyderstwa raczéj niż z pokory, czarną czapeczkę przystającą mu do głowy podniósł i ukazał wśród siwych włosów okrągłe znamię tonsury, dając znać, iż kapłanem był.

Przez ramię nań patrząc Komtur, dojrzał tego znaku i butno się rozśmiał, jakby rzec chciał:

— Cóż mi to, żeś ty kapłanem, jam rycerzem zakonnikiem najmożniejszego w świecie bractwa i szydzę sobie z twéj tonsury i kapłaństwa!

Starzec zwolna czapeczkę nałożył, a ręką chudą za stopę zranioną się uchwycił i postawszy chwilę, kulejąc, zwolna pociągnął w głąb zamku

który zdawał się znać dobrze, bo się do infirmeryi o drogę nie pytał.

Lecz żeby tam dojść, dziedzińce górne przebywać było potrzeba i bramy wewnętrzne, a tu też ścisk gorszy niż w ulicy, zgiełk straszniejszy panował.

Stały przez knechtów trzymane konie z pozwieszanemi łbami, czekając, aż im stajnie ukażą, zwijali się posługacze i czeladź klasztorna, wyładowywano wozy, staczano beczki, przejść było nie łatwo nawet jednemu człowiekowi, bo gawiedź popychała i rzucała jak piłką tym, co jéj wpadł w drogę, szczególniéj, gdy płaszcza na sobie białego nie miał.

Staruszek z nogą zranioną tak ubogo wyglądał z kijem białym, który niósł w ręku i torebką skórzaną przez plecy, że go ciury nawet poszanować nie chcieli: popychano biedaka, lecz dał sobą pomiatać z pokorą i słówka nie rzekł i ręki nie podniósł. Komtur zsiadał z konia właśnie, gdy kulejąc nadciągnął stary, spojrzał nań z ukosa i jednemu z braci powołać go do siebie kazał.

Młody zakonnik podbiegł parę kroków ku podróżnemu, słowa nie mówiąc, za ramiona go chwyciwszy, nie opierającego się popchnął przed sobą do Komtura, który stał na stopniu u wchodu,

dobywając z kalety pieniądz, jaki chciał jako jałmużnę dać skrzywdzonemu.

Gdy go postawiono przed Komturem, starzec powtórnie odkrył głowę i nakrył ją zaraz, a oczy podniósłszy, ciekawie patrzał. Znać ta twarz na Schwelbornie uczyniła wrażenie, bo pieniądz już trzymając w palcach, stał, a wpatrzył się w nią z podziwem jakimś, jakby jéj zrozumieć nie mógł. W istocie téż owemu pięknemu obliczu staruszka zdziwić się było można, tak ono od wyszarzanéj podróżnéj sukni ubogiéj odbijało dziwnie, taki święty spokój błogi rozlany był w pięknych rysach bladéj jego twarzy. Srebrnym włosem okolona, biała, jasna, uśmiechała się łagodnie, z oczu mu biły jakby promienie do głębi sięgające, i stał jak gołąb' przed jastrzębiem obok Komtura, z pychą nań patrzącego z góry.

— Mości księże, na Mszę Świętą za powodzenie oręża Komtura z Tucholi!

— Bóg zapłać!—cicho odpowiedział ksiądz—będę się modlił.

— Zkądże idziecie? z daleka?

Ksiądz się trochę zawahał.

— Tak: z daleka, z daleka—ze Szlązka idę.

— A dokąd?

— Do cudownego obrazu Najświętszéj Maryi Malborgskiéj! I wskazał ręką ku kościołowi, na którego ścianie jaśniała olbrzymia owa postać Maryi—przy kaplicy Świętéj Anny.

Komtur popatrzał nań: nic nie rzekł, odwrócił się i w krużganki się puścił do W. Mistrza.

Starzec potrzymawszy na dłoni pieniądz, schował go nie śpiesząc, a raczéj wsunął niedbale do torebki; potém, że mu zbolała noga więcéj dolegała, ciężéj jeszcze o kiju począł iść ku zamkowi dolnemu, gdzie była infirmerya i gospoda dla podróżnych. Tu już daléj puściejsze były dziedzińce, acz i tu się kręciła czeladź, bo się do wieczerzy w wielkim refektarzu miało, a gości było dosyć, których Wielki Mistrz u swojego stołu téż przyjmował pocześniéj. Więc baryłki z miodem i piwem gdańskiém czarném toczono, a gąsiory zielone z winem, nieśli drudzy oburącz i misy cynowe, które ledwie dwóch dźwignęło. I śmiała się służba do zakazanego owocu, bo sama się szklanką cienkuszu obchodzić była zmuszoną. Staruszek zwolna sunął w dół ku infirmeryi, aby się Szpitalnikowi stawić i o nocleg go prosić—ale i do tego dostęp nie był łatwy. Pachołkowie stali u drzwi, przez których o posłuchanie mu-

siano się zgłaszać, ci brali imiona podróżnych i nieśli je do niego, a odpowiedź przynosili.

Dwóch tam o framugę opartych ziewało, gdy się ksiądz zbliżył i pokłonił.

— Ksiądz jestem—rzekł—pielgrzym z ziemi szlązkiéj, do Panny Maryi, pobożny, stary, skaleczony, o nocleg proszę.

Jeden z barczystych knechtów przypatrzył się starcowi i milcząc niechętnie odszedł. Słychać było niekiedy podwoi stuknięcie i milczenie po niém. W chwilę wyszedł pachołek i ręką księdzu wskazał, aby za nim ciągnął. Po kilku schodach, na każdym z chorą nogą odpoczywając, zwlókł się stary w korytarz sklepiony i wgłębieniem w murze, wpuszczono go przez drzwi do małéj izdebki, a z niéj do obszernéj, jasnéj, sklepionéj izby, w któréj na wygodném krześle z poręczami, o poduszkach i podnóżku siedział nie młody, bardzo otyły mężczyzna, z twarzą obrzękłą i czerwoną. Drzémał może nie dawno, bo jeszcze miał pół śpiącą postawę i ręce splecione trzymał przed sobą wygodnie.

Ksiądz się od progu skłonił.

— Zkąd? co? jak? po co?—odezwał się jakby bez myśli, siedzący w białéj sukni Szpitalnik.

— Ksiądz, pielgrzym, Szlązak, do cudownego Malborgskiego obrazu: proszę o gościnę.

Szpitalnik jedną ręką potarł się po głowie.

— W sam czas, bo wieczerzę podadzą, prosimy. Nikomu w imię Maryi i Świętego Jana żądającemu, nie odmawia się odpoczynku.

Wtém spojrzał na posadzkę, na któréj stał gość. Miejsce to gdzie jego noga spoczęła, oznaczała plama ciemna, noga stała w kałużce krwi, która z niéj płynęła.

— A to co?—zawołał zdziwiony Szpitalnik.

— Przypadek! Niech będzie na chwałę Bożą, że cierpię i że mi dozwolił choć kropelkę krwi wylać.

— Cóż ci się, Ojcze, stało?—rzekł Szpitalnik, widocznie krwią zaniepokojony, a może więcéj plamą, na jasnéj posadzce.

— Moja wina.. pośpieszyłem się we wrota, gdy rycerze jechali.. Konie ich nawykły tratować nieprzyjaciół, więc się i swoim od nich dostać może.

— A idź-że, Ojcze, idź, niech ci w szpitalu najprzód nogę obejrzą i obwiążą.

Klasnął w dłonie, gruby pachół ociężale sunąc się, przybył.

— Zaprowadź Ojca do szpitala, niech mu nogę opatrzą, do wieczerzy posadzą i nocleg naznaczą...

Pokłoniwszy się nizko Szpitalnikowi, poszedł za przewodnikiem ksiądz w milczeniu. Niedaleko też miał do drzwi szpitala, w których kilku braci widać było stojących. Tym go oddał posłany. Nie pozdrowiwszy go nawet, pokazali mu drzwi do izby. Jeden z posługaczy, któremu pachołek rozkaz oddał, zbliżył się do siadającego na ławie. Milcząc do nogi się schylił, a gdy ją już w ręce miał wziąć, spojrzał staremu w oczy i z cicha krzyknął.

Stary na ustach palec położył. Obejrzał się i dał znak, aby milczał.

Trzymając w rękach drżących nogę starca, przyklęknąwszy, z wlepionemi w niego oczyma, braciszek szpitalny zdawał się osłupiały. Ksiądz mu się uśmiechał dobrotliwie i łagodnie.

Krew tymczasem na podłogę ciekła. Ujrzawszy ją, dopiéro żywo wziął się do rozwiązywania staruszkowi nogi braciszek. Skórzane obuwie proste, sznurami przywiązane, łatwo zdjąć było, i szmaty, któremi stopa obwinięta, były całe krwią zbroczone.

Pytające oczy zwrócił braciszek, obaczywszy zduszone palce, z których podkowa końska krwi dobyła.

— Koń nastąpił, bo Pan Bóg chciał, abym pocierpiał. Przyłóżcie, bracie, wody,a przeżegnajcie ranę, nic nie będzie.

— Mój Ojcze, wy tutaj? pieszo? a toć oczom nie wierzę..

— Pątnikiem idę, ślub uczyniwszy, do Malborgskiéj N. Panny: co za dziwo.

— Sam jeden?

— Z Bogiem!.. z Aniołem Stróżem...

— W waszym wieku?

— Najbezpieczniéj: ubogiego starca chyba koń zaczepi, ludzie mu złego nie zrobią, pominą...

Westchnął ksiądz, braciszek spuścił głowę, rozwiązał nogę i tuż do wielkiéj dębowéj skoczył szafy, któréj oba skrzydła otworzył. Zapach z niéj wyszedł od ziół suchych i mocnych korzeni a leków, orzeźwiający i miły. Na półkach stały słoje i flaszki, leżała bielizna i płachty.

Prędko się uwinął braciszek, i wody utoczywszy z dzioba sterczącego w ścianie na wielką misę glinianą, począł nogę ostrożnie obmywać, ocierać, potém ją z lekka hubą leśną obłożył, aby krew zatamować i płachtą starannie okręcił.

Znalazł się sukna kawał, by ją okryć po wierzchu.

— Bóg-że ci zapłać, mój Franku!—odezwał się ksiądz—a gdy do domu powrócę, powiem waszym, żeście tu zdrowi i w świętéj służbie.

Stary westchnął, a braciszek mu przerwał:

— Nie mówcie o mnie ni słowa nikomu, ani gdziem jest, ani co czynię: niech o mnie pamięć zaginie.

Zamilkł smutno.

— Świętéj służby nie macie się co wstydzić,—dodał kapłan—lepsza ona pewnie, niż owa na koniu i we zbroi, z pychą w sercu i krwią na rękach. Ta krew, którąś ty swoje ręce zmazał dla miłości mojéj, nie plami cię przynajmniéj, i na duszę nie spadnie.

Braciszek popatrzał nań i drugie westchnienie z piersi mu się wyrwało.

— Mój Ojcze, w infirmeryi dzwonią do stołu, ja was poprowadzę, rękę podam, posadzę: potrzebujecie pokrzepienia.

— Dzień cały w ustach nic oprócz wody nie miałem—rzekł kapłan—alem wigilię chciał pościć.

— Toć już i słońce zaszło—dodał, rękę podając Franek.—Chodźmy.

Wyszli tak z izby szpitalnéj. Nieopodal znowu o kilkanaście kroków był refektarz infirmeryi.

Stół zakonny rycerzy i braci, wedle reguły ich nader był skromnym, w infirmeryi tylko więcéj i lepiéj, chorym, gościom, pielgrzymom, przybyszom, starcom i tym co wygody lubili, dać było wolno. Tu się często i zdrowy wprosił aby zjeść smaczniéj i więcéj, bo w infirmeryi nie zbywało na niczém: króle i książęta jeść tu mogli...

Refektarz był długi, jak wszystkie izby sklepiony, a ogromny stół wzdłuż ustawiony, na nogach krzywych, środek jego zajmował.

Z jednéj strony oświecały go wązkie okna od dziedzińca, z drugiéj szafy stały, stoły do naczyń, i okiennicami opatrzony otwór, którym misy z kuchni obok podawano.

Na ścianie wnijściu przeciwnéj, na podstawce z muru wystającéj, stał posążek drewniany N. Panny Maryi, malowany i złocony, a poniżéj podobny Ś. Jana. Złocone téż wstęgi około nich się wijące, zawierały napisy stosowne.

W lewo pomiędzy oknami, mała ambonka, dawniéj służyła lektorowi, który czasu obiadu Pismo święte i legendy czytywał. Teraz już w infirmeryi, oprócz błogosławieństwa i modlitwy, więcéj nic nie czytać było we zwyczaju. Lichtarze u ścian nie pozapalane jeszcze, z rogów jelenich, miały przygotowane świece, które w nich tkwiły.

Gdy staruszek na próg wszedł, refektarz już był pełen, a zwijało się w nim tyle i tak różnych ludzi, że się zrazu jakby nieco wylękły, u drzwi zatrzymał. Do jedzenia jeszcze czas nie był przyszedł, a że stary stać nie mógł, braciszek go na ławie posadził, nieopodal ode drzwi, bo daléj iść namówić nie mógł. Oczy wszystkich zwróciły się zaraz ciekawie na ubogiego pątnika.

Byłby i on téż zaprawdę miał się w czém rozpatrywać, gdyby ciekawym był różnobarwnéj téj zbieranéj drużyny.

U stołu już siedziało kilku rycerzy zakonnych, stary jeden i zgrzybiały, kaleka drugi bez ręki,— trzeci, któremu otyłość bezmierna chorobą się stała i odpoczynek nakazywała. Było jeszcze dwóch, co się może chorymi czynili, aby lepiéj zjeść za oczyma. Oprócz zakonników, siła było podróżnych, znać z rycerskich orszaków przybyłych książąt i baronów; byli i klerycy, a pisarkowie różni, i posłańce z Niemiec, i mieszczanie. Więc choć zcicha niby rozmowy się wiodły, a gwar był jakby woda szumiała w strumieniu. A wśród tego szumu prysnął czasem śmieszek, jak kiedy się fala o kamień rozbije.

Ów otyły rycerz, choć nikt jeszcze nie jadł, z za pasa noża dobył i z bochenka chleba leżącego

przed sobą krajał sztuki grube, smarował je masłem, i chciwie pożerał. I tak był zajęty tą sprawą, że nie widział, jak na niego ze wszech stron patrzano, bo już był połowie bochna podołał i mógł śmiało cały pochłonąć, sądząc z łapczywości, z jaką się raczył.

Księżyna z nogą chorą, nie mieszając się z gośćmi innymi, sparty na białym kiju, z boku na ławie siadłszy, czekał ażby misy przyniesiono. Braciszek szpitalny stał przy nim, ażeby mu rękę podać. Wtém jeden z rycerzy, słusznéj postaci, chudy, blady, zbliżył się do siedzącego i coś pomówiwszy z braciszkiem, a nie dowiedziawszy się może co chciał, zwrócił się do starca.

— Zkąd Bóg prowadzi?

— Ze Szlązkiéj ziemi.

— Dobra ziemia—odparł rycerz—rodzi ona mężnych szlachciców, których tu dosyć mamy, ino ją polskie plemię zachwaściło... bo tam tego jeszcze dość...

Starzec głowę podniósł.

— Po Bożemu, jedno plemię nie lepsze od drugiego, wszyscyśmy chrześcianie, krwią Zbawiciela odkupieni.

Rycerz ramionami ruszył.

— Czy chrześcianami są, i o tém wątpię— dodał,—a że tu na polskiéj ziemi swéj króla poganina plugawego mają, to pewna. Ale niedługo mu rogów przytrzemy.

Nie mówił nic ksiądz.

— Cóż po drodze słyszeliście? boście to przez kraje jego iść musieli.

— A cóż mogłem słyszéć, od kościoła do kościoła idąc i po drodze się modląc?—rzekł staruszek—po kościołach dzwony, a po drodze słońce, pył i burze spotykałem.

— Przecież tam, słyszę, na gwałt się do wojny z nami sposobią?

— Mnie o pokoju mówiono—odparł ksiądz.

— Niech nas Bóg od niego uchowa—porywczo zawołał rycerz—stokroć lepsza wojna niż taki pokój, jaki my mamy, w czasie którego we zbroi musimy stać, a dzień i noc czuwać.. Raz z tymi rozbójnikami skończyć potrzeba.

I temi wyrazy nie skłonił staruszka do rozmowy; wtém się wszyscy ruszyli, bo misy z rybami niesiono, i zapach imbiru, a szafranu po izbie się rozniósł. Zajmowano tedy miejsca skwapliwie, a kto mógł, co najbliżéj misy. W pośród gwaru odczytano benedykcyą. Staruszek się w szarym końcu pokornie umieścił.

Szpitalny braciszek pozostał, przysiadłszy na ławie, aby księdza odprowadzić, gdy się posili. Jedli z razu wszyscy w milczeniu, potém się po sobie rozglądać zaczęli. Jeden ze starych rycerzy, który ręką przeciętą w boju nie władnął, przysiadł się póżniéj do pielgrzyma, ciekawie mu się przyglądając. Był to człek chudéj, pociągłéj twarzy, z policzkami zapadłemi, oczu wysadzistych, ze skąpym zarostem na brodzie, a że zęby zjadł, szczęki mu zapadały dziwnie, co wyraz nadawało rysom szyderski i niemiły.

Przyglądał się staruszkowi bardzo pilnie, a gdy ryby zjedli i drugie danie przyniesiono, trącił go, wpatrując się, i spytał:

— Gdzieś jam was widział?

— Być może—odparł stary,—dużo po świecie się chadzało, w różnych miejscach bywało; a no, nie pomnę..

— I ja nie—mówił zakonnik, trąc czoło,—a przysiągłbym, że kędyś spotykaliśmy się, i to nie tu na naszéj ziemi, ale na obcéj.

— Bywaliżeście gdzie dawniéj?—zapytał stary spokojnie.

— Wiele po Niemczech, Czechach, Łużycach, Szlązku, Polsce, Litwie i Rusi, ba i nad Renem, u Szwabów i Frankonów.

— Na Szlązku moja ojcowizna—odpowiedział kapłan.

Zakonnik ciągle się wpatrywał i dumał podparty na łokciu, w pamięci szukał widocznie czegoś.

— Nie bywaliście kiedy z Witołdem u nas?

— Nie—rzekł ksiądz—na jegom dworze nigdy nie gościł.

— A na Jagiełłowym?—podchwycił zakonnik.

Ksiądz chwilę zamilczał.

— Młodszym będąc, lat temu wiele, pisarzem bywałem przy biskupie krakowskim, gdy innego brakło.

Rycerz wargę zagryzł.

— Widzicie, tośmy pewnie na jakim zjeździe dla rokowania spotykać się musieli. Ależ teraz w ich służbie nie jesteście?

— Bogu służę, a nikomu więcéj—rzekł staruszek.

Zakonnik zamyślony w misę począł patrzéć i milczał czas jakiś, ale chwilami staruszkowi się przypatrywał.

— To dziw, żeście właśnie pod te czasy, gdy my się na wojnę zbiéramy z Jagiełłą, przybyli tutaj...

— Cóż mnie wojna obchodzi?—mówił stary — nie żołnierz jestem... prócz Chrystusów.

— Boćby was posądzić łacno, żeście tu podpatrywać nas przyszli?—mruknął zakonnik.

Stary spojrzał zdziwiony i rozśmiał się.

— Ksiądz jestem...

— My sami zakonnicy jesteśmy odparł ze śmiechem także krzyżak,—przecież gdy trzeba. na zwiady się puszczamy. Jam też nieraz przebrany na dworze królewskim z Czechami gościł!!

— Wasz zakon wolny jest—rzekł ksiądz— więcéj dziś żołnierzami, niż mnichami nazwać się możecie.

— Jakto dziś?—podchwycił krzyżak—alboż się co u nas zmieniło?

Ostatnie słowa urażony rzekł wyzywająco. Staruszek oczy spuścił, namyślać się zdawał.

— Uderzcie się w piersi, pamiętacie czasy dawniejsze... Zaprawdę, zaprawdę, urósł zakon w potęgę, ale potęga z sobą niesie pychę, a pycha wszystko złe.

Zakonnik się podparł łokciem i nasrożył.

— Ostre słowa, a w żywe oczy! —zawołał.

— Za oczymabym ich nie mówił, lecz owszem bronił was—łagodnie ciągnął stary.—Widzicie siwe włosy moje i choć ubogą, ale duchowną

odzież. Nie godzi mi się kłamać, gdy wyzywacie, abym mówił.

— A no, milczę.

Czas jakiś potém trwało w istocie milczenie. Przy stole wiła się rozmowa pomiędzy wszystkimi, otyły zakonnik kufle wypróżniał, sapał, a pot ociérał.

— Wojna więc — rzekł ktoś z drugiego końca—a jeśli wybuchnie, znamy Mistrza naszego, nie poprowadzi on jéj miękką ręką i na żarty: walka być musi o życie lub śmierć. Z jednéj strony król rzymski, Węgrowie, my z drugiéj... Kto wié po jakiéj książę Witold stanie... Jagiełło gardło dać musi, w Krakowie pokój zawrzemy!

— Amen—dołożył drugi.

— Myśmy zawsze grzeszyli tém, żeśmy się za rękaw komuś ciągnąć dali, a nieprzyjaciela szczędzili! Wyprosił papież, król, cesarz, układaliśmy się i cierpieli, a buta tego poganina rosła...

— Za pozwoleniem miłości waszéj—przerwał powolnie stary ksiądz, na którego wszyscy oczy zwrócili. Nie sądzę ja, kto praw a kto winien, bo to nie moja rzecz, ale co do króla Jagiełły, prawda każe powiedziéć, że chrześcianin jest i gorliwy wielce. Nie ma dnia, by choć późno, mszy

świętéj, a czasem dwóch i trzech nie słuchał, na łowy nawet z sobą duchownych wozi, piątki suszy i modli się na kolanach.

Niektórzy się śmiać poczęli, inni wybuchli gniewem.

— Cóż to za jeden? Polak?—poczęli pytać.

— Szlązak jestem...

— E! pół-Polaka! — mruknął któryś ze wzgardą.

— Po cóż Jagiełły bronicie?

— Nie Jagiełły, ale prawdy bronię.

— Jako żywo, nie jest to prawda—wyrwał się któryś z za stoła.—Z nieboszczykiem Konradem W. Mistrzem kilka razy jeździliśmy na granicę z królem na rozmowę. Widziałem go z blizka. Obyczaje ma pogańskie, a wiecie dlaczego w lesie nadewszystko siedzieć lubi? aby się wężom modlił i pod staremi dębami zabobony swoje odprawiał. Samem widział, jak wychodząc z rana z namiotu słomki łamał, rzucał i wkoło się okręcał, czyniąc gusła jakieś.

— A no tak! takci jest!—potwierdzali drudzy, patrząc w księdza, który milczał.

— Cóż wy na to?—podchwycił sąsiad.

— Przy swojém stoję—rzekł stary—chrześcianinem jest.

— A myśmy chyba u was poganie!—zaśmiał się jeden ze starych.

— Nie wiem—odparł spokojnie pielgrzym.—Krzyż przecie na piersiach nosicie, a wierzę, iż go i w sercu macie.

Zamruczano za stołem.

— Co za jeden ten przybłęda? zkąd?

— Pielgrzym. Kapłan ze Szlązka.

— Coś mu z ust źle słychać—szepnął jeden z braci—Jagiełły broni...

Wstał cichaczem któryś z za stołu i bocznemi drzwiami się wysunął.

Rozmowa ciągnęła się dalej, a oczyma milczącego starca mierzono. Mrok się robić poczynał i świece w lichtarzach rogowych pozapalano. Niektórzy kuflami się zabawiali.

Staruszek więc wstał, ręce złożył i nie czekając benedykcyi, a modlitwy, sam pocichu stojąc, modlić się zaczął.

Spojrzano nań z ukosa, jakby mu za złe wzięto, iż pobożnością swoją drugim chciał dawać naukę.

Z końca stołu starszy się ozwał:

— Należało poczekać z drugimi na modlitwę.

— Słaby, stary i skaleczony jestem—zawołał

kapłan—proszę o pozwolenie bym na spoczynek mógł odejść.

Chciał się z ławy wysunąć, gdy sąsiad go po ramieniu ręką uderzył: stary zachwiał się i usiadł.

— Czekaj, Ojcze wielebny—dodał śmiejąc się—nim pójdziecie ztąd, musicie mieć z kimś chwilę rozmowy...

Szyderski uśmiech słowom tym towarzyszył. Staruszek nie odpowiadając nic, pozostał w miejscu: oczy wszystkich zwrócone były na niego. Spozierali niektórzy na drzwi, gdy te się otwarły, a w nich dwóch ukazało się knechtów z halabardami w rękach.

Siedzący obok księdza, uśmiechając się, wskazał starcowi na nich.

— Pójdziecie z nimi—rzekł, klepiąc go po ramieniu—a nie zapomnijcie co ciekawego powiedzieć o królu Jagielle.

Szpitalny braciszek zobaczywszy knechtów Wielkiego Mistrza, pobladł nieco, popatrzył na księdza, który już kija postawionego w kącie szukał, i wysunął się z refektarza..

Kulejąc szedł w milczeniu staruszek, pomiędzy knechtami przez podwórze, nazad do średniego zamku, gdzie były izby dostojnych rycerzy i kapituły zakonu. U ganku wchodowego przez pa-

chołka zameldowano do W. Mistrza, że przyprowadzono nakazanego pielgrzyma.

Wyszedł w białym habicie mnich z twarzą ogoloną, duchowny, i pokazał drogę przez krużganki i korytarze do wnętrza.

Po sklepionéj komnacie niewielkiéj, przechadzał się w ubiorze rycerskim mężczyzna słusznego wzrostu, pięknéj twarzy, z oczyma czarnemi, bystremi.. gdy księdza wpuszczono. Stanął zobaczywszy go i mocno wpatrywać się w niego zaczął.

Postawy był pańskiéj, a choć oznak na sobie żadnych dostojeństwa nie miał, oprócz łańcucha złotego na piersiach, a na palcu pierścienia, poznać było łatwo, iż wysoki urząd w zakonie musiał piastować. Z dumą patrzał, z wysoka i z wielką wzroku potęgą.

— Nie doniesiono mi fałszywie — odezwał się po chwili — i ja sobie przypominam, żem was przy królu, albo Witoldzie widywał?

— Przy pierwszym raz tylkom pisarski urząd czasowo sprawował — odparł ksiądz — a drugiemu nigdy nie służyłem.

— Nie zapierasz więc? — żywo podstępując rzekł mężczyzna.

— Prawdy zapierać się nie mogę.

— Więc i reszty jéj dopowiedziéć powinieneś—dodał zakonnik.—Kto cię tu posłał?

— Mnie? posłał?—spytał stary—mnie? A któż i po coby mnie miał tu posyłać?

Uśmiechnął się wzgardliwie rycerz.

— Wiecie kto jestem—spytał.

— Domyślam się w Was najwyższego mistrza Zakonu...

— Nim téż jestem... w moim ręku życie wasze... Mówcie prawdę całą, kto was tu szpiegiem posyła?

Ksiądz położył znak krzyża na piersiach.

— O panie mój!—zawołał—suknia moja kapłańska świadczyć za mnie powinna. Dlaczego posądzacie mnie?

W. Mistrz rozśmiał się, ręką potrząsając, jakby nakazywał milczenie.

— Macież nas za tak prostodusznych, abyśmy uwierzyli? Wojna się zbliża... wy co do orszaku króla należeliście, a pewnie należycie, potajemnie przybywacie na zamek, wkradacie się do niego i ja mam uwierzyć, że to z nabożeństwa, lub dla zabawy czynicie?

Począł się śmiać. Starzec zamilkł.

— I ja mam was wypuścić na swobodę, abyście im zanieśli o nas wieści, a może i o innych zam-

kach i wojskach naszych... W istocie chytry król dobrze sobie wybrał posła. Któż na starca i kapłana zważa? Ale my mamy dobre oczy i podejść się nie dajemy.

— Mistrzu—rzekł stary—nie będę mówił nic na moją obronę. Stoi oto krzyż Chrystusów z wizerunkiem Zbawiciela podle was, złożę wam nań przysięgę, żem niewinny.

— Po co mi przysięga i krzywoprzysięztwo, gdzie wina jawna, a występny schwycony na uczynku? Przyznajcie się lepiéj, powiedzcie kto was posyła, powiedzcie gdzie król i wojska jego... skruchą się wykupicie.

— Ja idę ze Szlązka, a modlę się przez drogę, nie wiem nic—jęknął staruszek.—Za świadka niewinności méj biorę N. Pannę Maryą, do któréj obrazu ciągnąłem.

Spuścił głowę staruszek, sparł się na kiju i dokończył, jakby sam do siebie:

— Stań się wola Twoja...

— Jeśli po dobréj nie zeznacie woli—rzekł Mistrz—znajdzie się u nas kat, i łoże i cęgi i sznury i rószt... nie czekajcie, abym ich użył.

— W ręku Boskiém życie i zdrowie moje, czyńcie co wola wasza, a pomnijcie, że Bóg jest na niebie, co pomści niewinnego.

— Na sąd Boży mnie wyzywacie?—zaśmiał się Mistrz—wy... robak jeden.

— Kapłan...—przerwał stary z godnością.

Mistrz Ulryk począł się przypatrywać starcowi, który pod groźbą nabiérał powagi i majestatu. Nie był to już ów przed chwilą zgięty i pokorny starowina, przed powagą Mistrza schylający głowę: czoło podniósł i oczy wlepił śmiało w Ulryka.

— Ślę cię do więzienia i na męki—odezwał się Mistrz..

— Panem jesteś - rzekł kapłan—czyń.

Stali oba milczący, mierząc się oczyma; przez chwilę Mistrz się zdawał zachwianym.

— Przebaczę wam, jeśli mi powiecie co czyni król, gdzie obóz? gdzie Witold? Idą-li Szlązacy i Czechowie, a Morawianie na pomoc? Ile chorągwi zaciężnych?

Oburzył się stary i poruszył.

— Mistrzu!—zawołał, podnosząc rękę do góry—czyń ze słabym co chcesz... Nie króla Jagiełły i jego chorągwi, nie księcia Witolda z jego Rusinami i Tatary obawiać się masz. Ja ci powiem o innych nieprzyjaciołach daleko niebezpieczniejszych, którzy Zakon zwyciężą i obalą.

Mistrz stanął osłupiały.

— Nie wojska te, ale niebieskie zastępy wyjdą przeciw wam, z Archaniołem Michałem, jak niegdyś przeciw zbuntowanym aniołom. Zabiją was nie strzały nieprzyjaciela, ale grzechy wasze...

Ulryk nie otwierając ust, słuchał zdumiony.

— Tak—ciągnął staruszek, poruszając się coraz więcéj.—Chrześciańskim zowiecie się zakonem, a ducha Chrystusowego nie macie... a pychę szatańską. Nie pogany wojujecie, ale potęgi się dobijacie i bogactw dla siebie; nie w pokorze i posłuszeństwie żyjecie, ale w zbytkach i zniewieściałości, nie w miłości, ale w nienawiści i zatargach. Grzechy wasze są wrogami co was pobiją.

Nie mówiąc nic, Mistrz w dłonie uderzył, zakonnik ukazał się w progu.

— Oddać tego kaznodzieję knechtom!—zawołał. Trzeba poszanować suknię kapłańską. Ptaszek to drogi i niepospolitym duchem zagrzany, nie można go wrzucić do lada ciemnicy... należy uczcić... jak należy... Wszak wolny sklep Witoldowy? tam gdzie siedział pan jego, niech sobie staruszek odpocznie. Wygodnie mu tam będzie i bezpiecznie...

Mówił z szyderskim wyrazem, gdy knechty pokazali się już w progu, a za nimi oczekujący wcześnie klucznik z trzosem u pasa.

— Dać mu sklep Witoldów—dodał Mistrz—wszak to nieopodal kościoła, będzie się mógł modlić, dzwonów słuchając.

— Bóg zapłać—rzekł staruszek, kijem się podparł i wyszedł.

Knechty go z dwóch stron między siebie wzięli, szydząc, przodem klucznik stąpał, oglądając się niekiedy. Wyszli w podwórze, w którém ciemno już było i pusto. Gmachy stały czarne i wszędzie prawie ognie były pogaszone, gdzieniegdzie tylko z poza błon błyskało mdłe lampy światełko. Na czarném sklepieniu niebios spokojnie gwiazdy połyskiwały.

Z nogą okaleczoną starzec ledwie się powoli mógł poruszać, więc knechty popychali go i ciągnęli, bo ich klucznik wyprzedzał. Tak się zbliżyli nieopodal od Gdańskiéj wieży, kędy było do lochów wnijście, piekarni i kuchni i spuścili się kilka schodów w głąb. Klucznik wprzódy lampkę zapalił w izbie u strażnika. Mury podziemia grube i nie okryte niczém, ponuro wyglądały... straszniéj jeszcze okowane, ciężkie drzwi żelazne, drągiem zaparte, w których za kratą małe na zawiaskach widać było okienko.

Klucznik choć ogromną dłonią jedną i drugą, pochyliwszy się i naparłszy sobą, cisnął je, nie

mógł poruszyć, aż knecht pomógł i na wrzeciądzach zardzewiałych odchyliły się drzwi. a za niemi ukazało się wnijście wązkie, w prawo i lewo dwie komórki ciasne, pewnie dla straży. Tuż naprzeciw drugie drzwi blachą okute otwierał już stróż i sam poprzedził pielgrzyma, rozpatrując się w zatęchłym sklepie.

Była to izba napół w ziemi, o jedném oknie, zewsząd grubemi drewnianemi balami obita, które żelazne pasy do muru przyciśnięte trzymały... Z takichże balów łoże usłane, nagie, ceglana posadzka zimna, kurzawą i ziemią zasypana, nie było więcéj nic.

Klucznik się obejrzał, bo ani dzbana z wodą, ani słomy na posłanie nie było.

— Na noc i tak dobrze—mruknął.

Ksiądz znużony, już był na łoże przypadł, nie prosząc o nic, nie mówiąc nic, spuściwszy oczy, modlił się. Knechty popatrzali nań ciekawie, spojrzał nań i stary klucznik, poczém do drzwi powrócili wszyscy; ostatni wyszedł stróż i na rygle drzwi spuścił jedne i drugie. Ciemności otoczyły starca i nierychło trochę nocnego mroku dojrzał u góry, w oknie kraciastém.

— Bogu niech za wszystko będą dzięki—szepnął składając znużone członki na deskach.

Gdy z pokorą więzień szedł na spoczynek, w izbie Wielkiego Mistrza gwar jeszcze panował i powiększył się po uprowadzeniu staruszka.

Oprócz Ulryka Jungingen, znajdował się tu komtur z Tucholi przybyły, Schwelborn, W. Szpitalnik, który pielgrzyma przyjmował i Wielki komtur, Kuno von Lichtenstein. Na stole widać było kubki srebrne i szklanne ponalewane winem i misę pełną migdałów, rodzenków i fig. Wielki Mistrz siedział zamyślony, inni się przechadzali, a rozmowa była żywą.

— Zaraz z oczów tego chytrego węża wyczytałem—mówił W. Szpitalnik—że nie pobożność go tu przyprowadziła.

— Alećto jawna, że darmo się nie wlókł— gwałtownie dodał Schwelborn;—koń mój téż czuł w nim wroga, gdy mu nogę zdusił w bramie.

— Jagiełłę trzeba znać—rzekł Ulryk—i cały ten ród litewskich Kunigasów... którym nigdy wierzyć nie można. Dawnoż to Witold, gdyśmy gródek nad Dubissą wznosili, drzewo nam ze swych puszcz wozić kazał i własnych cieślów przysyłał w pomoc?

— Może dlatego, aby mu oni donieśli, kędy do gródka wnijście będzie łatwiejsze—szydersko dorzucił Schwelborn.—Jadowite żmije.

— Starego szpiega jutro na łoże wziąć, a pociągnąć go sznurami dobrze, żeby mu stawy powyskakiwały: wyśpiewa wszystko.

— Szpieg, to jawna!—mówił Lichtenstein W. komtur—czy się przyzna, czy nie, wątpić o tém nie można. Pełne są ich gródki nasze i miasta... tak, że żebraków nie pytając nawet wieszać każę, bo w ich łachmanach zdrada chodzi...

— Lada dzień wybuchnie wojna, i to są znaki, co ją poprzedzają zawsze—przerwał W. Mistrz—zatém w gotowości być musimy na pierwsze hasło do boju. Z Czech i Morawy do Polski pociągnęły pułki zaciężne. Na Mazowszu trzebią dla wojsk drogi po lasach. Król z Witoldem i mazowieckimi panami nieustanne zjazdy mają.

— Bogu niech będzie chwała! Bogu chwała!—wybuchnął Schwelborn—przynajmniéj moje miecze raz się krwią ochrzczą, co je dla nich dawno chowam! Wojna! tośmy téż gotowi... Komturowie wszyscy na zawołanie czekają, w Chełmińskiéj ziemi po zamkach patrzą tylko na blankach i czatują, rychło pierwsza łuna się ukaże: skoczym do boju weseléj, niż chłopi do tańca!!

— Daj to Boże—rzekł W. Mistrz—bo o pokoju mówić już nie ma co... ani się go spodziéwać. Miecz musi rozstrzygnąć.

— I krew—dodał Schwelborn.—Niech się to raz skończy i niech nas rozgrodzą pustynie.

Mistrz Ulryk westchnął.

— Wszystko kładziemy na szalę—rzekł—ważym wiele!

— Bóg z nami!—wołał Lichtenstein—Bóg Zastępów z nami. Myśmy tu przodownicy wiary i światła... barbarzyństwo to raz wytępić potrzeba i ziemię przez papieżów i cesarzów nam daną, do nas należącą, krwią naszą zbroczoną, zająć bezpowrotnie. Z ludu tego nie ma się co dobra spodziewać. Uparty jest i dziki, wyniszczyć go; niech przyjdą nasi z Niemiec i zaludnią na nowo kraj... Lepiéj nam tu będzie, niż gdzieindziéj na piaskach i wydmach; tu ziemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca, Niemców jéj tylko potrzeba, a zakwitnie. Ta dzicz na wieki dziczą pozostanie.

Ulryk westchnął znowu.

— Prawdą jest co mówicie—dodał—a przecież tyle jest żałob i skarg na nas, że zamiast chrzcić, tępimy ludzi, iż do nowych powodów dawać nie należy.

— Cóż nam te krzyki szkodzą, co one nas obchodzą?—zawołał Schwelborn.—*Ego te baptizo*

in gladio! najbezpieczniejsza rzecz, bo już apostazya niemożliwa, a duszyczka zbawiona.

Rozśmieli się wszyscy, oprócz Mistrza.

— Losy wojny niepewne—szepnął.

— Byle wojna! byle raz wojny doczekać—krzyknął Schwelborn, wyciągając ręce do góry—byle wyjechać w pole, reszta się dokona.—Mogąż oni przeciwko nam się utrzymać? Cóżto to Witoldowe wojsko: dzicz z pałkami, napół naga, Tatary i Ruś, u których żelaza brak nie już na piersi, ale w ręku nawet... Lepiej zbrojne wojsko Jagiełły, lecz i tego się nie zlękniemy... Są na nie sposoby!

Lichtenstein zbliżył się do W. Mistrza.

— Pewnie, że żadnemi gardzić nie można—rzekł cicho. Do Czechów i Morawian posłać trzeba; choć językiem mówią podobnym do Polaków, ale z Niemcami żyją i bracą się. Są między nimi tacy, których zyskać można... Niech się zaciągać dają... Owszem. Przyjdzie do boju, niech stają do szeregu, a jak walka się rozpocznie na dobre, będą wiedzieli co czynić.

Wszyscy potakująco głowami ruszyli.

— Toć rzecz właśnie spełniona—rzekł Mistrz półgłosem.—Do Jana Sarnowskiego, który zaciężną chorągiew Czechów i Morawian prowadzi,

posłano, i zgoda z nim stanęła: albo przeciw nim się obróci, lub wcale bić się nie będzie.

Cichém mruczeniem objawili wszyscy, że się dobrze stało.

— Przeciw takiemu nieprzyjacielowi, jak Jagiełło, wszystkie środki dobre—mówił Mistrz,—bo i on nie innych używa. Przeciwko poganom téż dopuszczono jest szukać wszelkich sposobów, aby z tego plugastwa ziemię oczyścić, a co są innego ci ludzie, co przeciw krzyżowi śmią walczyć, jeśli nie poganie?

— Od pogan gorsi—zawrzeszczał Schwelborn—bo się przybierają w szaty chrześcian, aby im szkodzili. Z poganina chrześcianin być może, z tych ludzi nic nigdy dobrego.

Tak gwałtownie się unosząc i wykrzykując, siedzieli długo, aż Mistrz wstał. Godzina była późna, żegnać się więc poczęli, i mistrz pozostał sam, pachołków wołając, aby mu do snu łoże przygotowano.

Obok komnaty, w któréj się narada i owa gwarna odbywała rozmowa, była sypialnia Mistrza, niby cela zakonna, ale po książęcemu strojna i w zbytkowne opatrzona wygody. Tu szaty zwierzchnie ściągnąwszy, Ulryk miał już odprawić służbę, gdy pacholę szepnęło mu słowo jakieś,

i Mistrz się płaszczem narzucił, choć w twarzy widać było, że nierad to czynił.

W progu pierwszéj izby, którą tylko co opuścił, stał w sukni zakonnéj człowiek wstrętliwéj twarzy, z kosém wejrzeniem, zacierając ręce i wcześnie schylając głowę pokornie.

Sposób w jaki Mistrza witał, nie byłby się dozwalał domyślać w nim jednego z dostojników Zakonu. Był to wszakże podskarbi Thome von Merheim, słynący z przebiegłości mąż, nie wiele mówny, skryty, lecz wpływu nie małego u wszystkich używający. Nie lubił go W. Mistrz, bo się ich charaktery nie godziły z sobą, bo rycerskim był pierwszy, drugi wężowym; lecz ulegać musiał, doświadczywszy owocu rad jego.

Merheim łysy był, brodę miał rzadką, zęby żółte i popsute, cerę oszpeconą czerwonemi plamami.

Cała jego postać odrazę budziła.

— Słowo mam rzec — szepnął, zbliżając się,—a Miłość Wasza wysłuchać mnie musisz, bo sądzę, że nie bez wagi będzie i nie bez pożytku.

— Późna godzina—rzekł Mistrz.

— Innéj nie mamy—mówił z naciskiem Merheim—we dnie was ludzie odrywają i po dniu

jawne sprawy załatwiać należy, a nocą tajemne. Wiem, że wy wolicie na nieprzyjaciela do rycerskiego brać się oręża, że w was wstręt budzi, gdy się do podstępu uciekać trzeba, ale my nic opuścić nie możemy. Ze słabości nieprzyjaciela korzystać, to rozum cały.

Mistrz zdawał się znudzony, siadł obwijając się płaszczem.

— Mówcie—rzekł cicho,—Sarnowskiego wedle rady waszéj kupiono. Czegoż więcéj chcecie?

— Toć nic jeszcze—mówił trąc ręce Merheim,—mały zysk i niepewny. Lepszą wam radę daję. Mamy naszych u dworu Jagiełły: znać go trzeba. Ciągnie on, królowę Annę zostawiwszy w Nowym Korczynie, nie z wielką pono ochotą, ale party przez swoich i widząc, że nie uniknie wojny. Podejrzliwy jest i zazdrosny, do miłostek skłonny, zabobonów pełen, czemu nie korzystać z tego?

— Cóż nam po tém?—spytał Mistrz niechętny.

— Wiecie, że ową świątobliwą niewiastę Jadwigę, pierwszą żonę swą, przecież podejrzywał! Anna Cylijska nie piękną jest, ale jeszcze młodą, czemuby na nią podejrzenie zręcznie rzucone być nie miało?

— Ale cóż nam po tém? co nam po tém? powtarzam—odezwał się Ulryk.

— Jakto? Żarzewiem go piec będzie głupia zazdrość,—mówił rozogniając się Merheim,—porzuci obóz, wojsko, wojnę, a poleci pilnować małżeńskiego łoża.

— A jakże podejrzenie to zrodzić się ma?—spytał Ulryk.

— Trzeba kogoś, coby je rzucić umiał, a nikt lepiéj tego nie dokaże nad kobietę... Cóż powiecie, gdyby mu czar zadała, albo i napój jaki... a myśmy się pozbyli nieprzyjaciela, aby na chwałę Bożą pracować spokojnie?

Ze wzgardą popatrzał Mistrz na śmiejącego się podskarbiego.

— Ciemno mi to jakoś, i powiem prawdę, brudno i czarno wygląda—odparł Mistrz;—z orężem w ręku walczyć, a życie i gardło dać, to rozumiem, ale tak...

— Boć to nie wasza sprawa—pośpieszył podskarbi,—ani wam się godzi mieszać do tego. Idzie o to, abyście przyzwolenie dali: podejmie się tego za grzechy swe kto inny...

— Czego?—zapytał Mistrz.

— Całéj roboty... wyboru ludzi, bez których

się nie obejdzie, pokierowania siecią, aby ryba wpadła, wyciąganiem na brzeg, i reszty.

Zamachnął ręką.

— A cóż mi po tém, choćby go nawet nie stało?—zawołał Mistrz niechętnie,—ażali tam niema wojownika Witolda i mazowieckich książąt, i rycerstwa i wojewodów?

— Lecz wodza odjąć w chwili walki, albo go spoić i głowę mu zawrócić, małaż to rzecz?—mówił Merheim. Tu o losy Zakonu idzie! Miłość Wasza znasz jedno: w pole iść i bić się, ale w polu różnie bywa. Obiecują się nam wszyscy, a wielu z nich dostoi? Król rzymski Zygmunt na dwóch stołkach siedzi; Węgrzy wojnę zapowiedzą, a nie wyjdą, inni się pochowają. Ma Zakon siły, lecz czy równe tym, z któremi walczyć będzie? ja nie wiem. A to wiem, że gdy szala nie doważa, rzucić na nią czy flaszkę z napojem, czy kobietę, czy szatana, byle na naszą przechyliła się stronę, powinność każe zakonna.

Zamyślony głęboko siedział Mistrz, jakby ważył słyszane słowa.

— Czemużeście tu nie byli przed godzinami kilku—ozwał się,—a nie słuchali, co mi tu jakiś starzec rzucał na głowę? Burzyła się dusza moja, słuchając, i kazałem go zamknąć do sklepu,

a słów jego zapomnieć nie mogę, bo czy Bóg przezeń mówił, czy on sam, słowa to były wielkie i jak ołów a kamienie na duszę padały. Mówił— tu Mistrz wstał poruszony—mówił, że Zakon ginie grzechami własnemi, bo krzyż ma na piersi, nie w sercu... Któż wié, czy nie wojują przeciw nam winy nasze?

Ironicznie począł się uśmiechać podskarbi.

— Dla Zakonu — zawołał — grzech chętnie wezmę na duszę moją! Zakon... dla mnie i dla Waszéj Miłości winien być wszystkiém. Grzeszny dziś, jutro może stać się czystym, a przy życiu go utrzymać, zmusza obowiązek i przysięga. Co po tém, gdy zginiemy święci? Ja grzech na duszę biorę, powtarzam, będę gorzał w piekle, ale Zakon ocalić trzeba.

— Któż wam mówi, że Zakon zginąć może?—zapytał Mistrz zdumiony.

— Nie łudźmy się—zniżywszy głos dodał podskarbi,—niech drudzy potęgę Jagiełły a Witoldową umniejszają i w nią nie wierzą, my między sobą obliczmy się. Ściągnąwszy do ostatniego komtura i knechta, przeciwko Mazurom, Litwie, Żmudzi, Smoleńszczanom, Rusinom i ich sprzymierzeńcom, jest nas zamało. Mówią, słomiane to rycerstwo, a nasze żelazne; ale dwudziestu

słomianych żelaznego obalą. Zakonowi grozi zguba, ja go ratować chcę, choćby duszę zatracić.

— W zgubę nie wierzę!—przerwał Mistrz.

— Wierzcie w niebezpieczeństwo, a dozwólcie mi ratować się, jak umiem. Co szkodzi, jeśli garstką łez, strumień krwi można oszczędzić.

— Byle nie błotem!—rzekł Ulryk.

— Choćby kałem—sprzeciwił się podskarbi.—Chcecie czterdzieści tysięcy złotych dać Zygmuntowi, aby im wojnę zapowiedział? Weźmie on je, ale wojny nie zrobi. Dacie Sarnowskiemu za zdradę, weźmie i was zdradzi, a ja mu szatana podeślę, i ten mi się lepiéj sprawi, niż króle i wodze. Zwinie się Jagiełło ukąszony, zamęt mu u łożnicy, w namiocie, w obozie zgotują, nie licząc tego, że nam donosić będą o każdym jęku królewskim.

Mistrz kilka kroków odstąpił milczący. Podskarbi śmiał się.

— Już od was nie proszę nic, prócz kiwnięcia głową, możecie o niczém nie wiedzieć, od wszystkiego ręce umyć i brzydzić się nawet tém, bylem ja wiedział, żem nie samowolnie postąpił.

— Pochwalam wielce gorliwość waszą, buduję się nią—odezwał się Mistrz—lecz bracie mój,

ten Zakon, który ocalić chcecie, plamę na białym płaszczu mieć będzie.

— Sprawiemy mu płaszcze nowe — zawołał Merheim szydersko.

Wyciągnął ręce obie ku Ulrykowi, który się ku sypialni cofał, i na progu stanął zamyślony.

— Byliście kiedy na łowach?—zapytał powoli.

— Jakto?

— Bywaliście na łowach? — ciągnął Mistrz. — trafia się często na nich, że niedźwiedź człeka weźmie pod siebie, nadbiegną strzelcy ratować, pali niezręczny obrońca, lub puszcza pocisk i ubija człowieka miasto niedźwiedzia. Bracie mój, bodajeście owym kusznikiem nie byli.

— Gdybym nim był — chłodno rzekł podskarbi—nie strzelałbym, a na swe miejsce zręczniejszego posłał.

— Stoicie przy swojém?— spytał Ulryk.

— Z żelazną wolą.

— Macież owe narzędzia, których użyć chcecie, w gotowości?

Merheim pokorną przybrał postawę.

— Znajdą się — rzekł cicho.

— Jakto? i... niewiasta?

— Choćby i niewiasta— przełknął, błyskając oczyma podskarbi.

— A pomocnicy?

— Ci już w miejscu, na dworze, przy królu; tych pewien jestem: płacę ich i trzymam cyrografami na uwięzi.

Zdumiał się Mistrz Ulryk, ramiona mu się poruszyły.

— Jeszcze jedno powiedziéć wam muszę — rzekł cicho. — Jeśli się powiedzie, wiedziéć nie chcę; jeśli się noga powinie, a rozgłosi, zaprę, przeklnę, ukarzę...

— Jak najsurowiéj: więzieniem, sądem, śmiercią — dokończył Merheim. — Ja inaczéj tego nie rozumiem.

I skłonił głowę z pokorą wielką.

— Zakon przedewszystkiém, sława Zakonu, dobro jego, całość. W ogień zań pójdę, a jak widzicie, i w błoto.

— W błoto! — machinalnie powtarzał Jungingen — aby rzeczono: *ex lutho Marienburg*.— I głowę spuścił na piersi.

Podskarbi skłonił się, wpół zginając, chciał odejść już i cofał się w tył, schylony, ręce złożywszy na piersiach, gdy Mistrz go odwołał raz jeszcze.

— Król w podróży? gdzie i jak możecie znaléźć środki?

— To są moje tajemnice — uśmiechnął się Merheim — wasza rzecz walczyć, moja kopać dołki pod ziemią. Nie chcieliście o niczém wiedzieć, i lepiéj żebyście nie wiedzieli. Zrzucicie brud wszelki na mnie, a zasługi na siebie weźmiecie.

Mistrz ruszył ramionami i zamilkł, lecz z twarzy widać mu było, że nie bardzo chętnie i jakby zmuszony, przystawał.

— Miłość wasza — rzekł Merheim pocichu, zbliżając się do niego — mieliście dowody mojéj miłości i poświęcenia dla Zakonu; uwierzycie, że i teraz dla miłości jego wszystko poświęcę. Walczyć w polu piękna i wielka rzecz, ale trzeba by ktoś w domu i poza obozem posiłkował. Z nimi wojna nie jedném żelazem prowadzić się powinna: musimy chytrość przeciw przebiegłości ich postawić. To moja rzecz. Wy tém sobie rąk nie kalajcie...

Bił się w piersi, nalegając, a patrząc w oczy Mistrzowi, jakby zezwolenia jego tylko czekał i dopraszał się.

— Dobrze — rzekł Ulryk zamyślony — czyńcie co należy, co widzicie potrzebném, zdaję na was i odpowiedzialność i zasługę. Zwolnijcie mnie téż od przykréj sprawy, którą także wam powierzyć potrzebuję. Doniesiono mi o szpiegu na zam-

ku... kazałem go uwięzić i w Witoldowym sklepie osadzić.

— Dobrzeście uczynili.

— Sumienie mnie gryzie, duchowny jest i na krzyż chciał przysięgać, że złych nie miał myśli.

— Znamy się na przysięgach! — podchwycił podskarbi.

— Zdaję indagacyą i los więźnia na was. Rozumiecie mnie!! Czyńcie z nim co zechcecie. Nie powiem nic, gdy go uwolnicie, ani zaprzeczę, gdy go na czas wojny zamknąć każecie.

— W Witoldzie kazaliście go osadzić? — zapytał podskarbi — honor wielki dlań, i zadobry loch dla starego łotra. Wezmę go jutro na męki: musi wyznać wszystko.

— Z mękami nie śpieszcie — przerwał Ulryk — człek mi się zda nie bardzo winnym, choć i ja go sam i drudzy na dworze Jagiełły pisarzem widzieli, czego się nie zapiéra.

— Trzebaż lepszego dowodu, z czém tu i od kogo przyszedł? — zaśmiał się podskarbi. — Powiesić i rzecz skończona.

— Ksiądz jest!

— Choćby biskupem był! — gorąco odparł podskarbi.— Najniebezpieczniejsi to ludzie, którzy tę suknię noszą, co im bezkarność zapewnia. Lecz

bądźcie spokojni, że z niego dobędę co potrzeba i jak należy się obejdę.

— Po ludzku i jako zakonnik postąpcie — odezwał się Ulryk poważnie — proszę was. Człowiek ten poruszył mnie śmiałą mową swoją. Nikczemni ludzie pełzają i modlą się, on gromił i nie dawał się złamać: szanuję go...

— A! — przerwał podskarbi — zuchwalstwo też niewinności nie dowodzi; zostawcie go mnie: dam rady i znajdę środek dobycia z niego złym lub dobrym sposobem prawdy.

To mówiąc, kłaniał się pokornie Merheim, a Mistrz ku sypialni dążył. Lampka dogasała wieczorna przy klęczniku, gdy Ulryk wszedł, westchnął, rzucił się przed obrazem na kolana, ręce złożył i głowę na nich oparłszy, dumał czy modlił się, Bogu tylko było wiadomo...

* *
*

Nazajutrz rano, w kościele Panny Maryi na jutrznią dzwoniono, a z braci zakonnéj mało kto ciągnął do chóru, w którym kilku mnichów stanęło do godzin, gdy podskarbi otulony płaszczem, klucznikowi kazał iść z sobą do Witolda.

Blady był, pogrążony w myślach i pozór przybrał dobrotliwego człowieka. Klucznik wziął z so-

bą knechta, aby pierwsze drzwi z zawias poruszyć i poszedł posłuszny.

Gdy i te i drugie się otwarły, a podskarbi krokiem cichym wszedł do sklepu, rozpatrując się w ciemnościach, znalazł staruszka na modlitwie klęczącego. Wkrótce jednak powstał, ręką się opierając o ziemię, bo na nodze dobrze jeszcze oprzéć się nie mógł, i na wchodzącego nie patrząc prawie, usiadł na swém twardém łożu. Twarz jego zdradzała ból i wielkie znużenie, po nocy spędzonéj na łożu jak kamień twardém, bez garści nawet słomy pod głową.

Po chwilce podskarbi się zbliżył doń z politowaniem i współczuciem, ręce złożywszy i głowę chyląc na piersi, odezwał się głosem łagodnym:

— Cóżto za nieludzkie obejście! nawet posłania żadnego nie przyniesiono!!

Ksiądz nie mówił nic.

— Jestem jednym z braci zakonnéj...— dodał — szanuję wielce duchownych. Przypadkiem dowiedziałem się, że Waszą Wielebność tu zamknięto, pewnie przez jakąś omyłkę. Wyprosiłem u klucznika pozwolenie widzenia się, może w czém pomocnym być potrafię.

To mówiąc, przysiadł także na drewnianém siedzeniu.

— Dziękuję wam — odparł staruszek — będę czekał na los, jaki mi zgotowano.

— Ale cóż za powód, że was tu zamknięto?— przerwał podskarbi. — Nasz Wielki Mistrz, mąż szlachetny, ale prędki i gorący jako żołnierz. Omyłka zapewne zaszła.

— Sądzę, że omyłka, bo mnie zamknięto jako szpiega, a tym nie byłem nigdy — odezwał się ksiądz, skracając rozmowę.

— Ale cóż w takie czasy burzliwe zmusiło Waszą Wielebność tu przybywać, i to jeszcze od polskiéj granicy?

— Idę ze Szlązka; celem moim ślub dokonać, który uczyniłem: pomodlić się u obrazu Maryi i rodzinę odszukać.

— Czasy są ciężkie! — westchnął podskarbi — wszyscy się podejrzanemi stają.

— Miałem i drugi cel, którego nie zapieram — dokończył ksiądz — szukałem śladu zagubionego od dawna, siostry, która przed laty za mąż poszedłszy, mówią, że się do Prus wyniosła. O tém nie wspominałem Mistrzowi, bo to dla mnie cel był poboczny.

— A ta siostra?— badał Merheim.

— Właśnie o nią dopytać się chciałem. Z mę-

żem swym, który Nosek się zwał, do Prus się wyniosła.

— A! Noskowa! — mruknął zakonnik, uśmiechając się.

— Wiedzielibyście co o niej?

— Znają Noskowę w Toruniu wszyscy, zna ją i Mistrz — rzekł podskarbi — to wam jednak nie wiele pomoże. Brat za siostrę nie odpowiada, siostra bratu za porękę niewinności służyć nie może.

— Mianożby istotnie mnie podejrzywać tak ciężko? — mówił stary.

— Cóż chcecie? Są to czasy takie, czasy, w których się my własnych ludzi obawiamy, a cóż dopiéro obcych?

Zamilkł nieco i wtrącił:

— A dawnożeście ze dworu Jagiełły uwolnieni?

— Lata upłynęły, jakem go nie widział — rzekł stary.

— Ale go znacie?

— Nie zapiéram się.

— Nieprawda, że poganin i gadzina jest zła? — dodał Merheim.

Była chwila milczenia, uśmiechnął się stary.

— Król, a pan chrześciański jest — rzekł — pobożny, dobroczynny i miłosierny. Nie wierzcie baśniom. Zachował może pamięć pierwszéj wiary i gusła jakie, ale w Chrystusa wierzy i innego Boga nie zna.

— U nas mówią inaczéj.

— Ani dziw: i nieprzyjaciel jest, i wy zdala go tylko widzicie, albo raczéj słyszycie o nim.

— To prawda — odparł poskarbi szydersko — i tak samo nie dziw, gdy my was nie znając, bierzemy za szpiega.

— Nie mówię téż nic, kapłańską się suknią składam.

— A cóż świadczy, że i ona nie jest wdzianą dla niepoznaki tylko?

Obruszył się ksiądz.

— Któżby śmiał ją sobie przywłaszczać? — zawołał — chybaby Boga w sercu nie miał?

— Są w świecie i tacy, co Go nie mają — dołożył Merheim. — Dlatego, wielebny Ojcze, na oczyszczenie was z tego, cośby potrzeba więcéj nad gołe słowo.

— Słowo kapłańskie, więcéj nie mam nic — cicho szepnął stary.

Milczeli. Twarz Merheima powoli coraz surowszego nabiérała wyrazu.

— Dawnoście tę siotrę widzieli?— zapytał.

— Tak dawno — uśmiechając się smutnie odezwał stary — że ona mnie może nie poznać, a ja jéj.

Podskarbi głową pokręcił.

— Dziwnie się źle dla was rzeczy składają— rzekł — żal mi bardzo. Radbym wam pomógł, a nie ma sposobu? Lecz posłuchajcie, cóżby zresztą w tém tak złego było, gdybyście królowi waszemu usłużyć chcieli? do tego się przyznać można... a zarazem... usłużyć Królowi Niebieskiemu, który jest Panem nas wszystkich... tamtą służbę porzuciwszy...

Popatrzyli na się, staruszek zdawał się nie rozumiéć wykrętnéj mowy, lub nie chciéć pojąć, czego od niego żądano.

— Nigdym nie kłamał — odezwał się po namyśle — i nigdy Chrystusowi Panu naszemu służyć nie przestawałem. Królowi zaś Jagielle do niczegom się nie zdał, stary jestem, modlę się i rodziny szukam, abym ją przed śmiercią pożegnał.

Podskarbi się zawahał, wstał, powiódł ręką po czole, potém zatarł dłonie.

— Ojcze wielebny, bolałoby mnie bardzo, gdybym się od was nic w dobry sposób dowiedziéć nie mógł. W. Mistrz człowiek sprawiedliwy, ale

groźny i surowy, nuż cię na męki wydać każe? Wy ich nie wytrzymacie.

— To pewna! — westchnął stary i zamilkł.

— Lepiéj więc wyznać prawdę i zakonowi służyć, który sługi swe po królewsku opłacać umié.

— Prawdę mówiłem i mówię ją, służby zaś moje chyba Bogu się przydadzą: ludziom one nie wiele warte.

Przechadzał się ciągle podskarbi.

— Więc pani Noskowa, siostra wasza? siostra?— spytał.

Jeśli Barbara jéj imię i ze Szlązka ona rodem jest... Gdzież mieszka? w Toruniu?

— W Toruniu, i wiedzie się jéj wcale szczęśliwie, ale do was, mój Ojcze, wcale niepodobna, bo Zakonowi duszą oddana.

— Poświadczy więc za mną — rzekł ksiądz.

— A jak ona, co was lat tyle nie widziała, świadczyć może? Nie mogliżeście się odmienić od tego czasu? Wy nie wiecie, jak ją znajdziecie, ona téż nie wié, czémeście się wy stali.

— Ludzie się tak nie zmieniają.

— Gorzéj księżyca! — zaśmiał się Merheim. Nie macie innego środka, Ojcze, trzeba lub wyznać wszystko, albo... bardzo mi was żal...

Wsparty na ręku, nie odpowiedział stary ani słowa; zdawał się modlić.

— Przebaczcie mi — mruknął podskarbi — prowadzić was muszę, gdzie mi kazano...

Stary poszukał kija opartego o ścianę, nałożył swą torebkę na plecy, czapeczkę na głowę i stanął w gotowości do wyjścia. Ręce jego białe, wychudłe, drżały ze znużenia, oparte na kiju. Z ukosa zmierzył go okiem podskarbi i do drzwi kroczył.

Dwóch knechtów stało w korytarzu, pomiędzy dwojgiem drzwi żelaznych, do sklepu Witolda wiodących, z halabardami w ręku, z mieczykami u pasa, w płaszczykach z półkrzyżem.

Nie mówiąc nic do nich, spojrzał tylko i ręką wskazał podskarbi przejście na lewo, którém sam poszedł przodem. Wychodzącego staruszka dwaj pachołkowie wzięli pomiędzy siebie. Zamiast wynijść z gmachu po schodach, Merheim puścił się długim gankiem podziemnym, sklepionym, gdzieniegdzie z lewéj strony oświetlonym małemi okienkami kraciastemi Kilka razy zwrócił się on i za nim idący w prawo i lewo, ciemnemi przejściami, aż doszli do drzwi okutych, od których żelazny drąg odwalony leżał przy murze. Zagłębione w grubéj ścianie, miały zawieszony krzyż czarny na sobie.

Zbliżał się do nich podskarbi, gdy się otwarły, i przed nimi ukazała się izba sklepiona ogromna, na dwóch potężnych słupach wsparta, które ją na dwie części dzieliły. Naprzeciw wnijścia ogromny długi stół pokryty suknem czarném, jak katafalk wyglądał. Na nim stał krucyfiks wielki, a dokoła siedziało w sukniach zakonnych kilku ludzi. Jeden bez brody, d u c h o w n y, służył im za pisarza i książkę długą a wązką miał przed sobą.

W lewo, po dwóch schodach schodziło się w drugą część sali, niżéj położoną i słupami oddzieloną, między któremi balasy stały czarne.

Ksiądz nie zwrócił nawet wejrzenia w tę stronę, patrząc na ów trybunał, który miał przed sobą, a byłby mógł strwożyć się w duszy, gdyby tam padło jego oko... Za rozsuniętą zasłoną widać było poniżéj ogień rozpalony na szerokim kominie, w którym cęgi i sztaby żelazne się piekły. Przy nich stało ludzi kilku z zakasanemi rękawy, barczystych, silnych, dzikiéj twarzy. Na ziemi leżały grube liny i sznury, daléj stało jakby łoże drewniane z dziwnie powprawianemi śruby, i siedzenie nakształt drewnianego konia. Od sklepienia zwieszały się liny z kółkami. Sprzęt różny, niepodobien do opisania, zalegał wszystkie kąty

téj izby strasznéj, zadymionéj, ciemnéj, wystawiającéj jakby piekielną jakąś komorę.

Pachołkowie w istocie szatanów mieli twarze: nizkie czoła, oczy wbite w głowę głęboko, i uśmiechy stworzeń, które się cieszą, gdy męczyć mogą, a naigrawać się.

Nie potrzeba było patrzéć długo, ażeby w tych przygotowaniach domyślić się tortury, bez któréj żaden prawie ówczesny nie obszedł się trybunał.

Podskarbi zasiadł na ławie z boku, jakby świadek obojętny. Główne miejsce zajmował człowiek stary, przygarbiony, w czapeczce na uszy naciśniętéj, z usty zapadłemi. Przyłożył rękę do oczu i nim się odezwał, długo wpatrywał się w starca. Poprawił potém stojący krucyfiks i zwrócił go Chrystusowém obliczem do przybyłego, który stał na kiju oparty.

W téj chwili duchowny cichym i słodyczy pełnym głosem poczynał badanie. Stary odpowiadał spokojnie, ciągle na kiju sparty i nogę chorą wyciągając niekiedy. Nazwisko, wiek, stan, powód podróży, opowiedział tak samo jak przed innymi. Cisza panowała w sali i oprócz jego głosu i pryskania ognia w komnacie, a szelestu szat, gdy się ludzie poruszali, nic słychać nie było.

— Czego chcecie odemnie? — odezwał się wreszcie — dlaczego podejrzewacie kapłana i starca? Oto wizerunek Zbawiciela, na niego wam przysiądz mogę, że jestem niewinnym. Niczyim szpiegiem nie byłem, nikt mnie nie słał, z modlitwą szedłem tylko.

Sędziowie spoglądali po sobie.

— Na kim podejrzenie ciąży, iż źle czyni, ten i źle przysiądz może — odezwał się stary sędzia. — Zaklinam was, mówcie prawdę, a nie zmuszajcie nas do tego, co was na ciele, a nas na duszy boléć będzie.

Ręką wskazał na niższą salę. Kapłan zwrócił oczy na nią powoli, lecz nie zdawał się ulękniony: wlepił je w ludzi i narzędzia męczarni długo.

Pachołkowie ruszyli się nieco, żelazo jakby dla postrachu zatrzeszczało; starszy z nich wyjął sztabę rozpaloną z ognia i rzucił ją na kamienie, aż iskrami wkoło sypnęła. Milczeli wszyscy.

— Mówcie — rzekł sędzia.

— Nic do powiedzenia na moją obronę nie mam.

Sędzia ręką skinął ku pachołkom i ruszyli się po schodkach ku górnéj sali, jak gdyby zabiérając się do staruszka przystąpić: on stał nieruchomy.

Podskarbi się podniósł z ławy.

— Proszę za nim — rzekł — dajcie mu czas do rozwagi i namysłu lepszego.

— Chyba do modlitwy i spowiedzi — dodał ksiądz.

Pachołkowie zatrzymali się na schodach.

Obwiniony zwrócił się do siedzącego duchownego, który pióro trzymał.

— O spowiedź proszę.

Ten głową potrząsł. Sędziowie spoglądali po sobie, zdziwieni wielkim starca spokojem. Zdawał się modlić i myśléć tylko o duszy.

— Chwila wam dana upływa — przebąknął sędzia stary, ręką drżącą wskazując klepsydrę stojącą na stole, z któréj piasek zsypywał się powoli.

Nie było odpowiedzi. Merheim przystąpił do księdza i żywo począł mu coś szeptać na ucho. Stary miał oczy w ziemię wlepione i nie odpowiadał już nic.

Czekano jeszcze. Jeden z siedzących przewrócił klepsydrę. Sędziowie zdawali się wahający i niepewni. Starszy z nich spoglądał na Merheima, który ramionami ruszając, na swoje miejsce powracał.

— Raz ostatni, w imię Chrystusa wzywam

was do wyznania prawdy — odezwał się stary z za stołu.

— Jużem ją rzekł — obojętnie wyjąknął ksiądz.

Była jeszcze chwilka oczekiwania, poczém wskazał ręką z za stołu ku pachołkom sędzia. Ruszyli się oni wszyscy z pośpiechem groźnym ku obwinionemu, który czekał na nich nieporuszony. Pochwyconego za ręce, z których kij upadł mu na podłogę, wleczono ku schodkom. Nie opierał się wcale, nie obejrzał ku sądowym i nie prosił o litość.

Ściągnięto go w dół i tu starszy począł z niego zdzierać suknię wierzchnią. Pod nią ukazała się na ciele włosiennica i pasek kolczasty, który go w pół obejmował, cisnąc i tak już wycieńczonego wiekiem i znużeniem. Na widok tych dobrowolnych narzędzi męczarni, pachołkowie zatrzymali się; sędziowie szeptać zaczęli: jakaś obawa ich ogarnęła. Podskarbi żywo coś w ucho mówił sędziemu. Wtém przeze drzwi wchodowe wpadł prędko w zakonnéj sukni chłopak, który wczoraj w szpitalu posługiwał podróżnemu. Cały zdawał się w ogniu i przejęty obawą; oczyma najprzód rzucił ku lewéj stronie, gdzie księdza rozbierano, a upewniony iż męka nie poczęła się jeszcze, rzucił się przed sędzią na kolana.

— Przychodzę na świadectwo — zawołał nagle.— Ja znam od dzieciństwa Ojca Jana, jam patrzał nań i na jego życie... święty człowiek jest! Nie dopuszczajcie się na nim gwałtu... jedna kropla téj krwi niewinnéj zacięży na szali Bożéj, ja się zań ofiaruję na próbę, na mękę, na przysięgę gotów.

Mówił, jakby napół nieprzytomny, z pośpiechem gorączkowym, wciąż się oglądając na księdza, to na trybunał, i drżąc ze strachu

— Człowiek to Bogu i modlitwie oddany cały, jakżeby mógł myśléć o zdradzie, służyć mocarzom ziemskim!

— Przecie służył im!—zawołał podskarbi— sam to zeznał.

— I to co zeznał prawdą jest — mówił braciszek — ale niewinną, a co rzekł to święte, bo nigdy w życiu ust kłamstwem nie skalał.

Złożywszy ręce, jak do modlitwy, braciszek klęczał. Z dolnéj sali starzec nań patrzał, jeszcze będąc w rękach katów i łzy mu ciekły: podniósł nieco palce błogosławiąc zdala swojego obrońcę.

Z twarzy Merheima i zasiadających u trybunału widać było, że im niemal w niesmak i nie w czas przyszło to świadectwo. Naradzali się.

Skinął podskarbi na pachołków, ażeby księdza

puścili. Jeden z nich podniósł z ziemi zrzuconą suknię, którą staruszek drżąc wdziewał napowrót.

— Do jutra! — zawołał sędzia uroczyście. — Odprowadzić go do więzienia.

— Pozwolicie mi, abym z nim szedł? — rzekł braciszek.

Żądanie zdało się dziwném. Nic nie odpowiadając, skinął podskarbi na braciszka, aby do drzwi się cofnął.

Wypuszczony z rąk oprawców ksiądz, z trudnością się po schodach wdrapał do górnéj sali i przykląkł, aby podnieść kij na podłodze leżący. Dwaj knechci mieli go odprowadzać, gdy Merheim zbliżył się ku niemu.

— Macie czas... Zakon miłościwy jest, jak na zakonników przystało... winniście mu wdzięczność.

Wzruszony starzec nie mógł, czy nie chciał odpowiedzieć nic. Wiedziono go już do drzwi, wtém podskarbi knechtów ręki skinieniem odprawił.

— Chodźcie ze mną — rzekł — nie do więzienia, lecz abyście spoczęli. Chcemy wierzyć, żeście niewinni, a ufamy, że nam sprzyjać będziecie. Siostrę macie w Toruniu, pojedziecie do niéj pod strażą. Czegoż więcéj pragnąć możecie?

Ksiądz głowę uchylił.

We drzwiach, stojącemu jeszcze braciszkowi, obrońcy, oddał go podskarbi, poszeptawszy mu na ucho. Uradowany chłopak podał staremu rękę i z synowską czcią a miłością powoli z nim korytarzami wyszedł na światło dzienne.

Dziedzińce jak wczoraj pełne były, a może gwarniejsze jeszcze. Posiodłane konie czekały na zakonników i rycerzy odjeżdżających do Święcian, Tucholi, Balgi, Torunia i Elbląga. Tłum sług zwijał się koło nich. Wyprowadzano działa i z wozów zsypywano kule kamienne. Z kościoła słychać było śpiewy pobożne, dzwony biły na wieżach, a słońce letnie w całym blasku oświetlało obraz ten ożywiony.

Około infirmeryi wstrzymał się braciszek, aby dostać klucz od osobnéj celi, do któréj miał zaprowadzić staruszka.

Weszli znowu w korytarze sklepione, a z nich do izby, z któréj się widok na szeroką, zieloną okolicę nad Nogatem otwierał. Cela była przestronna i opatrzona we wszystko, co pielgrzymowi potrzebném być mogło. Chłopak okno otworzył, biegając prędko. stołki poprzysuwał, dzban porwał by wody przynieść, księdza posadził, i uśmiechając mu się radośnie, wybiegł dla dalszéj posługi. Stary dziękował mu ręką i wzrokiem; pomimo mocy

duszy przybitym był i znękanym, mówić mu było ciężko. Osłabł też nic nie jedząc od wczoraj i pierwszą kroplą wody tu dopiéro zwilżywszy usta. Zwrócił przez okno wzrok na wesoły kraj, na żyzne łąki, na dalekie osady... pomyślał może co z nich uczyni wojna i pożoga, i oczy mu się łzami zwilżyły.

Po téj nocy niegościnnéj nastąpiło przyjęcie inne, jakby dla zatarcia jéj pamięci. Braciszek szpitalny śpieszył z polewką, niósł potrawy, znalazł kubek wina, aby starca posiłkiem odżywić. Na to do skromnego życia nawykłemu, nie wiele było potrzeba.

Jeszcze miski stały na stoliku przed nim, gdy wszedł podskarbi z twarzą weselszą.

— Ojcze mój — rzekł — do siostry chcieliście jechać do Torunia. Wóz dla was przygotowano, ja téż tam jadę, wszystko więc po waszéj woli. Nie miejcie do nas żalu, czasy są ciężkie, losy Zakonu zawisły od tych godzin, w których się ważą przygotowania wojenne; my nie dla korzyści swéj, ale w sprawie Chrześciaństwa pracujemy i troskamy się.

— Bóg dobréj sprawie pomoże — odparł stary — a wam politowanie wasze nad wiekiem i nieszczęściem zapłaci.

— Więc w drogę! — dodał podskarbi — ja na koń niebawem siadam, wy na wóz.

Nagła ta zmiana w usposobieniach z trudnościąby się wytłómaczyć dała, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności, który staruszka potrzebnym czynił dla Zakonu.

Merheim już napół odziany do podróży, zapukał do celi Mistrza. Wpuszczono go natychmiast. Ulryk właśnie odprawiał komtura Grudziądzkiego, który na gród powracał, gdy podskarbi stanął w progu.

Po wyjściu jego zostali sami, Mistrz posępnie spoglądał na uśmiechniętego Merheima.

— Jadę do Torunia — rzekł z pośpiechem podskarbi.—Patronowie Zakonu czuwają nad nim, wszystko się składa jak najpomyślniéj, nawet to co nam się groźném zdawało. Stary ksiądz co nam się podejrzanym wydał, gdy go na męki brać miano, znalazł świadka i obrońcę, niewinnym się być zdaje. Co dziwniéj, jest bratem osoby— dodał Merheim,— którą mam na myśli podesłać ku królowi, aby mu słabą głowę zawróciła do reszty. Ksiądz mi się przyda, aby jéj towarzyszył w podróży i od napaści ochronił. Nie zdradzi nas, bo o Bogu i niebie myśli, włosiennicę nosi i paskiem kolczastym się opina. On téż nic wiedzieć nie bę-

dzie. Niewiasta wybrana nie jego siostrą, ale szatana byćby mogła.., Tém lepiéj.

Śmiał się Merheim, Mistrz nie dobrze zdawał rozumiéć nawet... ruszył ramionami.

— Wasze to sprawy, bracie—rzekł—pomnijcie tylko, że zbytnia przebiegłość często zawodzi.

— Gdy jéj Bóg nie pobłogosławi — dodał podskarbi — a ja na Jego pomoc rachuję.

— I ja téż!— westchnął Mistrz — a ta jest najpewniejsza obrona i puklerz nasz! Gdybyście niewiast nie używali, stokroćby było lepszém — szepnął Ulryk.

— I trucizna lekarstwem stać się może — dokończył, skłaniając głowę podskarbi.

— Amen — zamknął Mistrz.— Jedźcie z Bogiem.

— Z Bogiem zostańcie.

Wkrótce potém orszak złożony z kilku zakonników, towarzyszących Merheimowi, wyruszył z bramy Malborgskiego zamku, a wśród niego szedł wóz, na którym siedział staruszek, odmawiając pacierze.

W początkach już XV wieku, Toruń liczył się do najpiękniejszych miast w Prusach, szczęśliwém i wdzięczném położeniem swojém. Piętrzące się mury zamku jego, mnóstwo ceglanych domków

czerwonych, co doń przylegały i otaczały go (których barwa poszła u nas potém w przysłowie), okrywały piękny brzeg rzeki, już naówczas winnicami z Niemiec sprowadzonemi i ogrodami wesołemi zasadzony. Z pomiędzy nich wyglądały dworki mieszczan, a sam gród warowny z wieżami kościołów, przedstawiał się wspaniale. Stara ta polska osada, pod panowaniem niemieckiego zakonu przybrała wprawdzie fizyognomię niemiecką, lecz część jéj ludności i mieszczaństwa, nawet charakteru swego pierwotnego nie straciła.

Na ówczesnym zamku, który do najważniejszych obronnych grodów się liczył, przebywali często i Wielcy Mistrzowie i wielcy dostojnicy zakonu. Tu się odbywały wojenne narady, tu skupiały siły ku obronie zagrażanéj więcéj od innych, ziemi Chełmińskiéj.

Handel téż i rzemiosła kwitły, a niemieckich przybyszów ze wszech stron siła ciągnęło i osiadało. Lubili tu rycerze zakonni na zamku przebywać dla wczasu, bo choć poufalsze obcowanie z ludźmi, a zwłaszcza piękniejszą połową rodzaju ludzkiego, najostrzéj było regułą zakonną wzbronione, tak że rozmowa nawet z kobietą za występek liczyć się była powinna: już naówczas nie rachowano się tak ściśle z dawną regułą zakonną, a po

folwarkach i szpitalach krzyżackich pełno było tak zwanych pół-siostr zakonnych, w białych habitach z półkrzyżem (T) na ramieniu, których bytność była niezupełnie między pół-bracią i bracią usprawiedliwioną. Po miastach zaś nie pilnowano ściśle stosunków zwłaszcza starszyzny, która czyniła co chciała. Pozwalało sobie czasem duchowieństwo krzyżackie sarkać na skażone obyczaje, ale to się raczéj stosowało do knechtów i służby, niż do rycerzy, którzy tu byli panami, a księżom w ogóle mało swobody dawali i niewiele okazywali uszanowania.

Choć sami zakonnikami się zwali, Krzyżacy obchodzili się ze swém duchowieństwem surowo. Księża skromne bardzo mieli stanowisko Ojców duchownych, rzadko ich do narad przypuszczano, rzadziéj do tajemnic i ważniejszych czynności Zakonu. Klasztorom zaś innéj reguły wcale się pod panowaniem krzyżackiém nie wiodło: podejrzliwie na nie patrzano. Zwłaszcza dóbr i posiadłości nabywać i przyjmować zapisy wcale było zakazaném. Kilka domów Dominikanów i Franciszkanów, dosyć ubogich, naliczyć zaledwie było można w ziemiach podbitych: tuliły się one po miastach z pokorą.

Reguła zakonna, w początkach bardzo ścisła, w czasie wypraw i wojen ciągłych, przy napływie świeckich gości, zupełnie się była rozprzęgła. Po domach, czasu pokoju wydzwaniano do chóru; ale mało kto na modlitwy wspólne chodził, każdy się miał czémś złożyć, byle od obowiązku uchylić.

Przez szpary na to patrzano, gdy rycerz konia dobrze trzymał, rynsztunek miał w porządku, a na wyprawach zalecał się męztwem i przebiegłością. Przez szpary téż i na uczęszczających do domów panów mieszczan, choćby w wieczornych godzinach patrzano. Trudno-bo było z dobrego żołnierza miéć razem dobrego zakonnika.

Rynek miasta Torunia wyglądał już bardzo pocześnie, a przyczółki jego kamienic z pięknéj cegły foremnie powznoszone, jak kościołki gotyckie niemal wyglądały. Jedną z najprzedniejszych była naówczas kamienica zwana „pod Jeleniem,“ bo miała nade drzwiami, w futrynach z szarego kamienia wyrzeźbioną dosyć nieforemnie głowę o dwóch rogach. Mieszkała w niéj i handel swój prowadziła wdowa, pani Noskowa, kupcowa bogata, z córką jedynaczką — obie niewiasty piękne i wielce wzięte u ludzi, choć obcy różnie o nich mawiali.

Sama pani Barbara mogła mieć naówczas lat do czterdziestu, ale gdy w złocistém czółku naszywaném perłami, w bindach i manelach, w półszubku z popielic lub kun szła do kościoła, niktby jéj więcéj nad trzydzieści nie dał, tak wyglądała świéżo i powabnie. Trochę otyłości nic jéj nie wadziło, bo białą była jak alabaster, a rumianą jak róża, i z twarzy nawet świeży puszek młodości zdawał się jeszcze nie starty. Ząbki jak perełki, nosek maluśki, trochę zadarty, włos złotawy bujny, rączka pulchna biała, czyniły ją dziwnie powabną dla męzkiego oka. Gdy przez rynek szła, od najmłodszego do najstarszego wszyscy ją oczyma gonili. A choć była tylko kupcową i mieszczanką, nosiła się górą gdyby wielka pani, z głową podniesioną, wejrzeniem śmiałém i nie dała się lada komu zbić z tropu, bo i w głowie nie źle było.

Nie śmiał jéj nikt nawet dopytywać gdzie i za kim była? i dlaczego się wdową zwała? choć tego męża nikt nie zapamiętał, ani mógł co o nim powiedzieć. Zapewne i ten nieboszczyk musiał u ludzi mieć zachowanie, które żona wzięła w spadku, bo się wysokiemi protekcyami cieszyła; poważali ją wszyscy: nikt zadrasnąć nie śmiał.

Raz przed laty dziesiątkiem, gdy niejaki Szpot, sąsiad jéj o mur, powadził się był z panią

Noskową, a poszło aż do magistratu i prawa, musiał ją potém jak niepyszny przepraszać, bo go omal z miasta nie wyświecono.

Znano téż wdowę, że była bardzo majętną i na złocie siedziała, a co o jéj dostatkach opowiadano, wiarę niemal przechodziło. Nie było domu zamożniejszego i lepiéj nad ten urządzonego.

Choć sama pani Noskowa była jeszcze wcale piękną, a gdyby palcem tylko kiwnęła, swatałoby się do niéj ludzi bez miary, kupców, burmistrzów i ławników; niczém wszakże była jéj piękność przy córce, która dosyć naówczas pospolite, spieszczone imię Ofki nosiła. Podobna do pani matki jak dwie krople wody, przechodziła ją stokroć świeżością, urokiem i ptaszęcém weselem. Taż sama białość płci i rumieniec, ten sam nosek miała odrobinę zadarty, usteczka z korali i ząbki perłowe, ale jak laleczka z pudełka wyglądała wiosenno i jasno. Matka, choć wesołość lubiła, umiała powagę zachować; Ofka o tém nie myślała, żywą była, wietrzną, zepsutą pieszczotami i psotnicą ze zbytku.

Matka rady sobie z nią dać nie mogła, a że ją jednę miała i kochała mocno, nie bardzo znać karciła i dziewczę na urwisa wyrosło. Wszystkie plotki miejskie ona pierwsza wiedziała, znała wszystkich i znali ją wszyscy; nie wahała się

zaczepić nikogo, a ostrego jéj języka obawiały się nawet kumoszki starsze i poważni ludzie. Wszystko jéj przecie dla matczynych kufrów i dla jéj piękności błyszczącéj, uchodziło bezkarnie.

Dziewczę na miejscu nigdy usiedziéć nie umiało i chwili. Jeśli nie stała we drzwiach, a nie było jéj w sieni, pewnie wyglądała oknem, a gdyby je matka przed nią zamknęła, znalazłaby sposób choć na dach się wdrapać, lub z poza muru ogrodowego na ludzi patrzéć i zaczepiać ich. Matka była może zbyt zrazu pobłażającą, ale potém nieraz z płaczem niemal mawiała, że jużby ją i przykuwać darmo, boby się urwała i postawiła na swojém.

Płoche to było, wietrzne, śmiejące się, zalotne, śpiewające, ruchliwe, a niezmiernie przebiegłe. Umiała daleko więcéj niż pani matka, która jak inne kobiety naówczas, nigdy się czytać nie uczyła, a choć i ona z papierem do czynienia nie miała nigdy, mówiła po niemiecku jak niemka i to wszystkiemi mowy, jakie się na krzyżackiéj ziemi spotykały; mówiła po polsku, od niańki wyuczyła się po litewsku, a byli tacy co utrzymywali, że gdy umyślnie po łacinie mówić zaczęli, aby się przed nią ukryć, ona i łacinę zrozumiała.

W jéj główce co raz posłyszała, to na wieki uwięzło. Bystrość téż miała wielką w poznawaniu ludzi, tak że w oczy człowiekowi popatrzywszy, wiedziała wnet jak do niego mówić i jak się z nim obchodzić. W początkach się młodzież do bogatéj Noskównéj tłumnie zlatywała, przez matkę, przez znajomych stręczyli się jéj nieustannie ludzie; ale dziecko kapryśne i zaufane w sobie, bawiło się z każdym jak kot z myszą, a w końcu każdego ząbkiem lub pazurkiem drasnęło. Szli tedy precz gachy z uszami spuszczonemi, narzekając, a dziewczę się śmiało. Czysty to był szatan z téj dziewczyny.

Gdy kto poważny do domu się zjawił, sędziwy człek, baron, książę, o których nie było wówczas trudno, bo ich Niemcy w gościnę Krzyżakom dostarczały, Ofka umiała się ułożyć, że poznać ją było trudno: minkę nastroić, siedzieć spokojnie, mówić poważnie, śmiech w sobie wstrzymać, oczy spuszczać, tak że brano ją za trusię i niewiniątko.

Nic ją nie kosztowało w jednéj godzinie czterykroć być i trzpiotem i pobożną, i urwisem i niewinną dzieweczką.

Do domu pani Noskowéj mnóstwo ludzi uczęszczało, już to z powodu handlu — bo trzymała zamorskie towary, wina, przyprawy, cukier i co do

kuchni a piwnicy było potrzeba (od niéj téż zapasy dla Malborga i innych domów czyniono)— już dla jéj gościnności wielkiéj i stosunków z innemi krajami. A gdy kto chciał listy słać, albo nakazać, lub pieniądze wyprawić, przez Noskową było najłatwiéj i najbezpieczniéj. Sam téż W. podskarbi Zakonu, często jéj pośrednictwa używał. Wdowa się na piśmie i na rachunkach nie rozumiała napozór, ale pamięć miała osobliwą i rozum bystry. Ona sama kierowała wszystkiém z pomocą jednego starego domownika, który się zwał Wolfem, a był człek siwy, przygarbiony, i dla głowy nagiéj, czapki ciepłéj nigdy nie zrzucał, nawet w kościele. Oprócz kamienicy od Rynku, mieli przypiérające do niéj składy wielkie, gdzie zawsze win, korzeni i wszelkiéj zamorszczyzny pełno było, a beczki i baryły stały jak brogi. Tam szafran co go gdzieindziéj na szczypty ważono, kamieniami leżał na składzie.

A gdy przyjmowała u siebie Noskowa, to nie po mieszczańsku, ale niemal po książęcemu. Ptasiego tylko mleka brakło. Gdy zaprosiła gości, muzyka być musiała i najdowcipniejsi trefnisie z miasta, a śmieszkowie i błazny, by kompanią zabawili. Naówczas téż obyczaj był taki i po dworach, że się uczta, biesiada, przyjęcie, wesele

bez błaznów obejść nie mogło. Błazeńskie rzemiosło tak dobre było jak drugie. Każde miasto swoich trefnisiów miało, zamawiano ich na zebrania, pojono, karmiono i bez zapłaty nie odeszli, a często i datków wyłudzili co od gości. Obiad bez trefnisia nie smakował i pełnym nie był, rychléj się bez pieczystego był obszedł.

Wprawdzie pani Barbara nie wyprawiała często takich *szmausów* kosztownych, ale gdy do tego przyszło, wiedzieli ludzie co to u niéj znaczyło. Występowały wówczas srebra zamiast cyny, weneckie szkła i najprzedniejsze gliniane misy—szafranu, imbieru, gwoździków, nie żałowano tak, że na ulicy je słychać było. Wino pijano grzane z cukrem i korzeniami, że się dusza radowała.

Nie dziw, że na taką wdowę, która za mąż nie idąc rady sobie dawać umiała i bez pomocy niczyjéj się obchodziła, pletli ludzie zazdrośni niestworzone baje: ona o nich albo nie wiedziała, lub nie dbała o nie. Mówiono téż o Ofce rozmaicie: ani ona, ani matka głowy tém sobie nie suszyły.

Raz tylko, gdy przyjaciel pana Szpota zbyt począł językiem szermować, niewiadomo z czyjéj naprawy czterech pachołków z kijami, nocą w uli-

cy go napadli i na kwaśne jabłko stłukli, powtarzając: — „Trzymaj język za zębami, chcesz-li cały być.” Tych co bili, nikt nigdy potém wyśledzić nie mógł, a razy na grzbiecie owego przyjaciela przepadły. Musiał je parę tygodni smarować, póki się wylizał, i milczał odtąd ostrożny.

Gdy się zaczęło zbiérać na wojnę, któréj końca zawsze trudno przewidziéć, ostrożna pani Noskowa wcześnie pono swe baryłki ze złotem i srebrem dała do lochu na zamku do przechowania, bo i u W. podskarbiego Zakonu, i u komtura nowo osadzonego, pana Jana von Sayn, miała wielkie łaski.

Chociaż komturowie na zamku odmieniali się często, wszyscy z kolei w wielkim mieli szacunku panią Noskowę.

Inni téż dostojnicy, przybywając do Torunia dla spraw Zakonu, gościli często w jéj domu, i nie było w tém nic dziwnego, gdyż ona zapasy sprowadzała kuchenne i piwniczne, a przez nią téż chadzały pieniądze za granicę i mnogie były z W. podskarbim rachunki.

Wkrótce po przyjeździe swym na zamek, podskarbi Merheim, wozy pozostawiwszy w murach, sąm nad wieczorem udał się do kamienicy pod Jeleniem.

Niemiłą tę i niepiękną postać zdala zoczywszy Ofka, która swym zwyczajem we drzwiach czatowała na przechodniów, klasnąwszy w dłonie pobiegła do pani matki. Rzuciła jéj tylko słowo:

— Podskarbi się wlecze!!

Sama zaś pobiegła się przybrać coprędzéj. Choć Krzyżak był stary i brzydki i wstrętliwy, a zakonnnik w dodatku, dziewczę nawet przed nim chciało wystąpić z całą swą krasą.

Matka zerwawszy się z krzesła, poszła téż do zwierciadełka włosy przyczesać, krezki poprawić i łańcuch dobywszy z szufladki, zarzuciła go sobie na szyję. Siadła potém w krześle z podnóżkiem i czekała nań w paradnéj izbie.

Mogła się ona paradną nazwać, gdyż rzeczywiście była wspaniale przybraną. Sklepienie malowane w gałęzie zielone, złocone grona i figury świętych, unosiło się nad izbą w kształtne łuki pogięte. Ściany okrywały opony wzorzyste, a gdzie ich nie było, stały szafy z drzewa misterną robotą, na nich konwie i naczynia srebrne, pozłociste, cynowe i kamienne. Stół w pośrodku okryty był kobiercem smyrneńskim, szkatułkami z bursztynu i hebanu i różnemi bawidełkami niewieściemi, między któremi kołowrotek mały z różanego drzewa stał do zwijania jedwabiu, lub dla przypomnienia,

że pokój był niewieści. Od sklepienia spuszczał się pająk mosiężny, świecący, wyginany, cały we floresach i gałęziach.

Gdzie było spojrzéć, coś pięknego i kosztownego znalazło oko dla zabawy. Przez otwarte napół drzwi widać téż było sypialnią z łożem, a kotarami barwistemi, przy niém mosiężne misy do umywania i konewki, i kubki przedniéj roboty.

Ledwie pani Noskowa siadła, pogładziwszy włosy i poprawiwszy łańcucha, gdy drzwi się otwarły i podskarbi wszedł, rozglądając się dokoła.

Na powitanie jego powstała z poszanowaniem wdowa i na swoje go siedzenie zaprosiwszy, sama na niższym stołku nie prędzéj miejsce zabrała, aż on go jéj wskazał. Uśmiechała się wdzięcznie do obrzydłego zakonnika, który téż to się uśmiechał do niéj, to marszczył i zamyślał, jakby mu nie łatwo do słowa przyjść było.

Oczy jego biegały tymczasem dokoła.

— Cóż nam Miłość Wasza przynosisz? — ozwała się wdzięcząc wdowa — pokój, czy wojnę? Tu u nas ludzie co dzień mówią inaczéj, a są tacy co przysięgają, że król Jagiełło już z wojskami na granicy stoi.

— Nie trzeba ludzi straszyć, ani popłochu siać, sławetna pani Barbaro — odezwał się zakonnik,—o królu gdzie jest nie wiemy, idzie ku nam to pewna, wojna za pasem nieunikniona, lecz Zakon nie ma się czego lękać. Zakon potężny jest!

Noskowa w rączki uderzyła i głową z ramienia na ramię wahając, milczała chwilę.

— Dla nas wojna—rzekła—straszne słowo! dla żołnierza wesołe, kupcowi groźne. Co my poczniemy?!

Nie odpowiadając wprost na to, podskarbi oczyma powiódł po komnacie, zajrzał do sypialni i antykamery.

— A gdzie Ofka—spytał cicho, przymrużając oczy.—Nie ma jéj tu? bo to ciekawa wiewiórka, gotowa się gdzie w kącie zaczaić, a mamy z sobą, moja pani, różnych rzeczy do mówienia wiele, o czém nie koniecznie jéj wiedziéć potrzeba.

Usłyszawszy to, poszła pani Noskowa dosyć lekką stopą, mimo dobréj tuszy, obejrzéć sama wszystkie kąty, za córkę bowiem ręczyć nie śmiała, a raczéj mogła chyba ręczyć, że gdy się sposobność nadarzy, figla spłata, a gdy szept usłyszy, podkradnie się i podsłucha.

— Nie, jeszcze jéj niéma — odezwała się

uśmiechając i siadając naprzeciw podskarbiego,—ale tylko co nie widać: pewnie włosy trefi!

— Korzystajmy z tego i mówmy, moja jejmość—rzekł schylając się podskarbi.—Nie potrzebuję was pytać czy sprzyjacie Zakonowi? jesteśmy pewni, że jako siostra służycie mu wiernie, i służyć będziecie daléj.

— Wszakżem i przysięgą i dobrodziejstwy związana—zawołała Noskowa.

— Dlatego z wami tajemnic nie mamy, ufamy wam i gdy trzeba idziemy do was wprost, jako siostrze mówiąc: to uczynić potrzeba...

— Rozkazujcie, miłościwy panie! rozkazujcie, byle sił nie przeszło.

Spojrzała badawczo wdowa na strasznego zakonnika, który wciąż się uśmiechał do niéj żółtemi zęby i sinemi wargami.

Już miał rozpocząć dalszą mowę, gdy z drugich drzwi ukazała się Ofka. wystrojona jak do kościoła na święto: włosy rozpuszczone, od których woń damasceńskiego olejku różanego się rozchodziła, z wianuszkiem zielonym na skroni, w rękach białych niosąc srebrną misę, a na niéj owoce świeże i suszone, i wina flaszę i kubek.

Szła piękna podczaszyna wiedząc, że jéj z tém do twarzy, przechylając główkę, usteczka składa-

jąc, ręce wystawiając na okaz całe w pierścieniach i manelach, nóżkę z pod sukni ukazując obutą w niebieski trzewiczek ze sznurówką i chwastami złotemi. Suknia na niéj jedwabna składała się pasem podpięta w fałdy świecące, a na szyjce przesuwały się łańcuszki i korale i bursztyny. Potrząsała główką, jakby jéj włosy zawadzały; lecz w istocie, ażeby szyjkę tę białą lepiéj na podziw światu odsłonić. Korale, łańcuchy i bursztyny służyły tylko, aby kość słoniową téj toczonéj szyjki jaśniejszą czyniły.

Podskarbi zobaczywszy ją, w niemém osłupieniu jakiś czas patrzał na dziewczę, oczu od niéj oderwać nie mogąc. Przystąpiła do stołu, niziutki czyniąc pokłon; wyprostowała się i owe dary zakonnikowi podała z uśmiechem. Matka tymczasem mały stoliczek wziąwszy ze strony, sama go przed Merheimem ustawiła; na nim tacę umieściły bezpiecznie, aby Krzyżak sobie gospodarzył, jak chciał. Wiedziano pewnie, iż łakocie lubił.

Zrazu jednak więcéj się wpatrywał w Ofkę, niż w owoce i ręką sięgnąwszy machinalnie do flaszki, trzymał ją nieporuszoną. Rozglądał się do zbytku ciekawie w téj świeżo rozkwitłej różycz-

ce, która się czując na oku, z radości i dumy płonęła i uśmiechała się.

— Królewski kąsek!—szepnął niedosłyszanym głosem, a raczéj zamruczał podskarbi.

Wtém matka jéj coś na ucho szepnęła: Ofka skłoniła się jeszcze raz wdzięcznie i jak ptaszek uleciała.

Zakonnik siedział zadumany.

Czego taka kobieta, gdyby rozum miała, dokazać nie może?—mruczał sam do siebie.

— Pani Barbaro!—odezwał się głośniéj—przyszła godzina wreszcie, że Zakonowi za opiekę wywdzięczyć możecie... posłuchajcie mnie. Czasu wojny, kobiety wiele mogą, bo na nie nikt nie patrzy...

Noskowa się zarumieniła.

— Słucham was—rzekła.

— Co uczynicie dla Zakonu—ciągnął podskarbi—to zaskarbicie sobie u Boga i u niego. Czasy są niezwyczajne i do sposobów się trzeba niezwykłych uciekać.

Pochylił się zakonnik niemal do ucha pięknéj wdówki, która z natężoną uwagą i błyszczącemi oczyma słuchała.

— Pani siostro! — rzekł zasłaniając się ręką—musimy do Polski słać listy ważne... Nie

mamy ich komu powierzyć, mężczyzn plondrują i wieszają, trudno się nawet żebrakowi tam przebrać... Kobiety nam do tego potrzeba. Rozumiécie?

— I mnie chcecie z listami słać do Polski?— przerwała Noskowa, ręce mimowoli załamawszy.

— Niéma się czém trwożyć—mówił Merheim,—najprzód glejt miéć będziecie, potém to żeście niewiastą, daléj wasz wdzięk niepochlebiając, który ludzi rozbraja, potém zręczność waszą... w ostatku i... przewodnika dobrego, o którym wam powiem późniéj.

Wdowa patrzała mu w oczy z natężeniem.

— Czy ja temu podołam?

— Któż, jeśli nie wy?? Słuchajcie mnie, bo o wielkie rzeczy chodzi. Z chytremi ludźmi chytrze poczynać potrzeba. Oręż orężem, a głowa więcéj jeszcze od niego znaczy... Nam wiedzieć trzeba o obrotach nieprzyjaciela, miéć kogoś swego tam... Wasz wyjazd nikomu dziwnym się nie wyda: polskiego jesteście rodu, do swoich wracacie. Dlaczego teraz? spyta kto?—A no, rzecz jasna! Losy wojny niepewne, nuż wtargnie Witoldowa dzicz pod Toruń, do Torunia.., nie chcecie córki i siebie na łaskę tatarską oddawać, wolicie w Polsce przesiedziéć burzę spokojnie.

Uśmiechnął się.

— Nie prawdaż? Czyż nie uwierzy tu każdy łatwo, że wy ową śliczną jagódkę chcecie w bezpiecznem miejscu mieć? Co dziwnego, że się tam przy jakim dworze przytulicie?

— Przy jakim-że dworze?—spytała ciekawie Noskowa.

— Przy książęcym, u Mazowieckich! pod opieką księżnéj Aleksandry Olgerdównéj—dodał uśmiechając się podskarbi.—Wszak miejsce dobre? Tam o wszystkiém wiedzieć będziecie, a ztamtąd nam donosić.

— Siebie to ja nie żałuję—rzekła Noskowa,—z Ofką biéda: o! z tém dziewczęciem i siedzieć trudno i jechać niebezpiecznie. W oko to każdemu wpadnie, a samowolna, co jéj do głowy przyjdzie, zbroić gotowa.

— Hm! hm!—mruknął podskarbi—a no, ją też użyć można, byle umiéć! Ona z pod serca każdemu dobędzie tajemnicy, przed nią wyśpiewałby człek grzech śmiertelny. Jedna taka Ofka na świecie. A rozumu jéj nie brak.

— Gdyby tyle statku miała!—westchnęła matka—ale to ogień i siarka!

— Drugich ona spali—począł śmiejąc się podskarbi,—a jéj się nic nie stanie. Strachu

o nią nie mam i wy mieć nie powinniście, raczéj o tych, co się z nią spotkają.

Noskowa sparłszy się na dłoni, milcząc rozmyślała.

— Ciężka sprawa, ciężka!

— A cóż lekkiego, gdy wiele jest warte. Złoto ciężkie téż, bo drogie. Słuchajcie mnie dobrze. Listy są pilne, dla Zakonu ważne: nikomu ich nie powierzymy, ino wam.

— Dalekoż je wieźć?

— Na Mazowsze—dodał Merheim,—do siostry Jagiełłowéj, która nam od całéj rodziny więcéj sprzyja, choć nie zawsze wyjawić to może. Jéj listy oddacie, a sami pozostaniecie na dworze.

To mówiąc, wina sobie nalał w kubek i podnosząc go, zawołał:

— Zdrowie wasze, pani Barbaro! zdrowie wasze i ślicznego kwiatka, któryście wyhodowali: niech kwitnie na waszą pociechę. Zdrowie wasze, pani siostro!

Noskowa schyliła się nizko, trochę zmieszana. Znać było, że odmówić nie śmiała, a podróż jéj nie bardzo szła w smak. Cóż miała czynić?

— Daj Boże tylko, aby się nam udało przerznąć szczęśliwie—rzekła—w taki czas wojenny,

dwie baby same, gdzie żołnierstwa obcego stek, a ludzi co ni życia, ni czci nie poszanują.

— Nie będziecie sami! Zaraz o przewodniku, mężu duchownym... mówić będziemy, a na ochronę przecież dwudziestu zbrojnych pachołków przy glejcie, to aż nadto.

— Zkądże ich wziąć?—zawołała Noskowa—teraz i o ludzi trudno.

— Znajdą się, znajdą!—mówił śmiejąc się Merheim—po zamkach u nas zbierze się takich niepozornych, a mądrych chłopaków łatwo, płaszcze pozrzucają, kubraki szare włożą, z polska po litewsku mówić będą, a na Krzyżakach psy wieszać! I cóż potém jéjmość winna, gdy oni łajdaki po jednemu uciekać do nas zaczną i przynosić od niéj ciche słowo?

Począł się śmiać, patrząc na Noskową.

— Wojna, moja siostro—mówił—ma swoje prawa, nam trzeba wiedziéć o wszystkiém, nawet jak się król prześpi i czy mu się jego Perun nie przyśnił. Tymczasem na dworze księżnéj Aleksandry będzie siostrze jako w raju, za to W. Mistrz ręczy, i ja... Któż wié jakiemu kniaziątku Ofka w oko wpaść może? Czemu nie? Nieprawdaż?

— A co mi po tém? choćbym za nią faskę

złota dała, to jéj nie weźmie do ołtarza—zawołała Noskowa.

— E! z faską złota... siostro miła, biorą oni i nie takie różowe kwiatki, jak ona. Przez Ofkę jéjmość wszystko wiedziéć możesz, co zechcesz, przez nią wnijść choćby do króla. A! gdyby poganinowi zawróciła głowę.

— Tego ani sobie, ani jéj nie życzę—rzekła Noskowa, — paść na ludzką zazdrość i języki, Boże uchowaj!

— Wiecznie tam z nimi żyć nie będziecie, wojna się skończy, wrócicie do domu, a co było. . w wodę!! Dla Zakonu wy tam potrzebni, i wiele uczynić możecie: takich oczów czworo za dziesięcioro mezkich stanie.

Noskowa wahać się jeszcze zdawała.

— Musi się tak stać, jak mówimy—kończył podskarbi żywo,—wiozę wam rozkaz W. Mistrza, a nad bezpieczeństwem waszém czuwać będziemy, boście dla nas drogą. Listy ważne; jeśli posłowie króla Zygmunta nic nie uczynią, aby wojnę zwlec, nim nam posiłki nadejdą większe z Niemiec, może to wyrobić na bracie księżna Aleksandra. Ona niedaleko będzie drogi i obozu Jagiełły, dojedzie do niego lub on do niéj. Będziecie króla pewnie widzieli.

— Nie ciekawam go oglądać—odezwała się Noskowa.

— Owszem, zobaczcie go i opiszcie nam przez posła każde słowo, każdy fałd na jego czole. Niechby stary i Ofkę zobaczył, ma holofernesowskie passye, a z niéj byłaby Judyta!

Podniósł ręce do góry, potém popatrzał na zmieszaną kupcowę i z kubka sączył wino powoli.

— Cicho! — oglądając się zawołała Noskowa—a nuż dziewczyna to posłyszy, gotowa oszaléć. Jéj tylko tego trzeba, żeby się głowa zawróciła. W niéj gasić trzeba ciągle, nie rozżarzać! nie chciejcie nieszczęścia mego!

— Szczęścia chyba! — przerwał Merheim — całeby Chrześciaństwo za bohaterkę ją sławiło, gdyby od chytrego ocaliła je wroga.

Noskowa oglądała się niespokojnie, palce trzymając na ustach. Zakonnik śmiał się.

— Nie miejcie obawy — rzekł — tymczasem o listy idzie i o wieści: pachołków my wam dobierzemy...

Rozmowa cała toczyła się pocichu, a niedaleko od napół przymkniętych drzwi sypialni. Ani Noskowa, ani Merheim nie spostrzegli, że dziewczę, które podawszy wino i owoce ustąpiło, potém się, suknię unosząc, podkradło za drzwi

przymknięte i podsłuchiwało. Nie wszystkie może słowa matki pochwycić mogło, ale to co podskarbi mówił głośniéj nieco, łatwo jéj było podsłuchać. Noskowa i podskarbi milczeli. gdy szelest sukni dał się z za drzwi słyszéć i Ofka śmiejąc się, a w ręce klaszcząc, nastraszywszy matkę, wpadła do izby.

Stanęła naprzeciw niéj, z kolei na zakonnika patrząc, i na nią

— Pani matko!—zawołała—wszystkom słyszała! Wiem wszystko i serce mi skacze. Pojedziemy, matuniu, pojedziemy.

Noskowa strwożona i gniewna, z groźną twarzą obróciła się do córki, dawała jéj znaki, by milczała. Podskarbi śmiał się pełen radości.

— Otóż to mi niewiasta! to mi Judyt—krzyknął—to mi wierna sługa Zakonu! nie lęka się nic, gotowa w ogień i w wodę. Bóg ci to zapłaci!

— A! ja? choć jutro na koń i w drogę!—ozwała się wesoło.—Matuś! w drogę! Ja dotąd nie byłam nigdzie, jak raz w Malborgu u Matki Boskiéj i w Tucholi! Ja się tu już duszę w tych murach, za któremi świata nie widać! Pojedziemy wspaniale, po książęcemu, dwudziestu pachołków zbrojnych dokoła, po pańsku, i na dwór

książęcy do sławnej księżnej, Jagiełłowej siostry. Za to warto W. Mistrzowi nogi całować!

Poskoczyła, w ręce białe klaskając.

— Na koń! w drogę! Konia się nie boję, żołnierstwa nie lękam, a szeroki świat zobaczyć, to rozkosz! matuniu! Książąt, królów, księżne, baronów, dwory, zamki...

Z ukosa spoglądała na podziwiającego ją Merheima, który za nią gonił oczyma.

— O listy—szepnęła—nie macie się co obawiać, założę je za sukienkę, a nożyk zawsze u pasa noszę; gdyby mnie kto śmiał tknąć: zabiję!

To mówiąc, ręką uczyniła ruch, jak gdyby istotnie w serce kogo ugodzić miała.

— Na głowę moją! to królowa ta dziewczyna! to delicye! — krzyknął wstając podskarbi — ona wszystko od pół słówka rozumie, a niczego się nie lęka. Nie ma lepszego posła nad nią.

Noskowa z pewną dumą podniosła się, zapomniawszy o niebezpieczeństwie, pochwyciła ją za głowę i pocałowała w czoło. Dziewczę całowało ją po rękach.

— Jedziemy, matusiu, jedziemy, a zobaczycie, że nas aniołowie poprowadzą bezpiecznie i koń w drodze nie utknie. Nikt nam nic uczynić nie

będzie śmiał! Póki jesteśmy na ziemi Zakonu, tośmy Niemkinie, wyjedziemy za granicę do Polski — Polki jesteśmy. Ja nawet umiem takie piękne polskie zawodzić pieśni, że się ich odsłuchać nie można.

Cała już nadzieją téj jazdy rozpłomieniona, Ofka nie wiele zważając na dostojnego podskarbiego. latała po izbie, we wszystkich zwierciadełkach przypatrując się sobie.

— Widzicie, siostro Barbaro—rzekł w końcu Merheim—że dziewczę się podróży wcale nie zlękło, a wybyście jéj obawiać się mieli? Zatém rzeczy ułóżmy wszystkie na razie, aby nic na jutro nie zostało. Dwudziestu pachołków wam przyślemy, za których ręczymy. Z tutejszych nie weźmiemy żadnego, aby się nie wydało, że zrzucili habity. Sprowadzimy ich z Balgi, Elbląga, Grudziądza, a zwiążemy mocną przysięgą. Wy woźników i kolebkę znajdziecie w domu. Trzeba też szat i ochędóstwa białogłowskiego wziąć podostatkiem, aby mieć czém na dworze książęcym wystąpić. Glejt i listy wam przywiozę, lecz o listach dusza żywa wiedzieć nie powinna, a doręczyć ich nie można nikomu innemu, krom księżnie saméj, i tak, by świadków przy tém nie było. Podarki dla niéj Mistrz przyśle; one nigdy sprawy

nie psują: z gołemi rękami nawet chłop do sądu nie chodzi.

Podskarbi nalał sobie nowy kubek i oglądał się, Ofka chciwie go słuchała.

— Dajcie-no drugi kubek dla pani matki— rzekł—niech kropelkę choć z cukrem wypije: to jéj ducha pokrzepi.

Wnet zakręciła się Ofka i przybiegła ze szklaneczką wenecką przezroczystą, po któréj bokach, jak nici, białe żyłki szkła się kręciły.

Podskarbi nalał trochę wina, jéjmość ze stojącéj miseczki cukru wzięła kawałek, i z nim zasłaniając się ręką, wina odrobinę wysączyła leniwo.

— Wszystko tedy dobrze—mówił Krzyżak,— a jeszcześmy jednéj rzeczy nie tknęli: zaraz o niéj pocznę. Bądźcie tylko dobréj myśli, bo wam niespodzianą jednę, a miłą nowinę przyniosę... zobaczycie.

Noskowa spojrzała jakoś zadumana i posępna, a Ofka uprzedzając jéj odpowiedź, ozwała się prędko:

— Niech Wasza Miłość nie zważa, że matusi tak zrazu smutno. Ona tak zawsze w początku na rozum bierze, ale potém i sama będzie rada! Jak na wóz siądziemy, a w pola wyjedziemy sze-

rokie... w świat! rozraduje się jéj dusza! Ona tego jeszcze nie widzi, a ja już mam wszystko przed oczyma. Lasy szumią, pola się złocą, obłoki białe ciągną skrzydlate, rzeki wrą... konie rżą... a my lecim coraz daléj, w świat! w świat!

Krzyżak słuchał rozradowany, matce się téż oczy zaśmiały.

— Teraz—rzekł—niech Ofka idzie sposobić się do podróży, my jeszcze mamy pomówić dwa słowa.

— Których mnie słyszeć nie wolno?—śmiejąc się przerwało dziewczę. Niech Wasza Miłość będzie pewna, że ja się ich domyślę, nie słysząc... więc idę.

Ukłoniła się nizko i znikła.

— Jeszcze jedna sprawa—rzekł podskarbi,—a téj nie wiem jak tknąć.

Obrócił się ku wdowie.

— Macie jaką rodzinę? myśmy nigdy o żadnéj nie słyszeli?

Zdziwiona mocno, ruszyła się wdowa z siedzenia.

— Rodzinę?—powtórzyła marszcząc czoło—rodzinę? Jam o niéj, ona o mnie zapomniała! Nie wiem, wymarli może; nigdy się nikt nie zgłosił, jam téż nie mogła... Miałam jednego przy-

rodniego brata, z jednego ojca, a nie jednéj matki, ten młodo pono z domu wyszedł i zakonnikiem, albo księdzem został.

— Niewątpliwa więc rzecz—rzekł podskarbi—iż go widzieć będziecie.

Noskowa poskoczyła przerażona niemal tą wiadomością.

— Zkądżeby się u Boga wziął? tu? on?—powiedzcie, proszę. Nie wiedziałam, że żyje i gdzie się obraca.

— Ja go wam przywiozłem—rzekł zakonnik—lecz posłuchajcie... Przybył z Polski, podejrzywano go, iż wysłanym został przez króla, u którego sługiwał. Zdaje się człowiek świątobliwy. Jego weźmiecie za towarzysza podróży, bezpieczniéj z nim będzie. Pomnijcie jednak, że i brat nawet o tajemnicach Zakonu wiedzieć nie ma: przestrzeżcie córkę, by milczała.

Kupcowa słuchała coraz więcéj zdziwiona i niema prawie, tak ją ta wiadomość wzruszyła.

— Gdzież jest? gdzie jest?—spytała niespokojna.

— Tu, na zamku!

— Tu? brat? Któż mówił, że on jest bratem moim?

— On sam.

Noskowa zamilkła.

— Dziwne zrządzenie Boże?

— Tak dziwne i dla Zakonu pomyślne. Dla bezpieczeństwa podróży waszéj, jakby naumyślnie Bóg go zesłał. Jemu niech będą dzięki. Przyjmijcie starego jak brata, ale milczcie przed nim, jak przed obcym: on o niczém wiedzieć nie ma, ani o listach, ani o poselstwie waszém. Ofce zamknijcie usta.

— Dziewczę ma rozum, dość dlań pół słowa: nie lękajcie się.

— Przyślę go tu, lecz czyńcie, jakbyście nawet nie wiedzieli o nim i nie mówili nic ze mną.

Podskarbi położył palce na ustach.

— Siostrą jego jesteście — dodał — ale i siostrą w Zakonie, a kto w naszą wszedł rodzinę, ten innéj nie ma...

Noskowa skłoniła głowę. Niespokojna przeprowadziła do drzwi Merheima, który szepnąwszy jeszcze słów kilka, w ciemnych schodach kamienicy zniknął.

* *
*

Mrok już był w izbie i dwie sługi przyszły ze świécami zapalonemi.

Noskowa wróciwszy od drzwi, padła na siedzenie i nieruchoma siedziała na niém, podparłszy głowę na ręku. Cicho było dokoła, tylko oddalony głos Ofki, która jakąś śpiewkę na górze nuciła, szturmując do kufrów i już sposobiąc się w drogę, dochodził przytłumiony uszów wdowy.

Wspomnienie tego nieznanego prawie brata, wywołało całe pasmo dawno grobową ziemią przysypanych pamiątek rodziny i domu.

Siedziała pogrążona w nich, gdy w korytarzu szelest i kroki oznajmiły czyjeś przybycie. Knecht zamkowy otworzył drzwi i wpuścił starca w wyszarzanéj sukni, idącego o kiju. Ręka jego u wnijścia zaraz szukała kropielnicy, któréj naówczas w żadnym nie brakło domu: przeżegnał się. Oczy jego zdziwione po wspaniałém toczyły się mieszkaniu, stąpał z obawą, czuł, że jego ubóstwo dziwnie na tle tych dostatków wydawać się musiało.

Noskowa zwolna wyszła ku niemu i patrzała milcząca. Twarz starca obudziła w niéj dawno zatarte wspomnienie rysów ojcowskich. Wstrzęsła się cała, jakby widmo ujrzawszy z grobu powstałe.

Ksiądz oparł się na swym kiju i zdało się, że słowa wyrzec nie śmiał.

Wpatrzył się w twarz gospodyni.

— Barbaro! — rzekł stłumionym głosem — dzieckiem cię pamiętam... ty mnie nie możesz... brat Jan jestem z Zaboru. Pomnisz Zabór, dworek nasz... ojca?...

Głos mu osłabł. Noskowa patrząc długo, coraz mocniéj wzruszona, zaryczała wielkim płaczem niewieścim i do nóg mu się rzuciła. Ksiądz na ramionach jéj ręce drżące położył, i całując w głowę, płakał także.

Na tę scenę niemą, śpiewając weszła, a raczéj wbiegła Ofka i ujrzawszy matkę klęczącą przy nieznajomym starcu, stanęła jak skamieniała. Nie mogła pojąć, ani co się stało, ani kto był ten człowiek, który zakonu sukni nie miał na sobie, a jak żebrak wyglądał.

Wtém matka przeczuła ją raczéj, niż zobaczyła i zawołała:

— Ofka! stryj twój! brat mój! klęknij, niech cię pobłogosławi.

Staruszek się odwrócił nieco, a ujrzawszy dziewczę śmiejące się jeszcze weselem, które nie miało czasu znijść z jéj twarzy, uśmiechnął się do niego dobrotliwie i łagodnie.

— Bóg Abrahamów i Jakóbów niech wam błogosławi i będzie z wami, na wieki wieków Amen.

Urok głosu odbił się w sercu płochego dziew-

częcia, z rozrzewnieniem przypadło rękę starca całować.

— Chodźcie, chodźcie — odezwała się podnosząc Noskowa i biorąc pod rękę księdza Jana — pewnie spoczynku potrzebujecie, widać to po waszéj twarzy.

Uśmiechnął się staruszek.

Piechotą do Malborga, do Matki Boskiéj idę, z naszego Szlązka... o jałmużnie — zaczął mówić usiadłszy. — Aż do progów kościoła anioł mnie stróż prowadził. Przyjmowano po klasztorach, noclegowałem po plebaniach, ludzie karmili dobrzy, jałmużnę miałem nieproszoną. Takem się dowlókł aż do wrót. Tu mnie nieszczęście spotkało. Koń nogę mi zdusił, alem był gościnnie przyjęty..

— A! w Malborgu — zawołała Noskowa — pielgrzymom tylko spoczywać, a używać.

Staruszek nie zaprzeczył.

— Dobrzy byli, miłosierni — mówił daléj — póki zły duch im nie podszepnął, że z Polski szpiegiem być mogę.

Wdowa pobladła.

— Gdyby nie miłosierdzie Boże, byłbym wydany na męki.

Ofka krzyknęła z oburzenia i strachu.

— Czas wojny, straszna na ludzi godzina — ciągnął staruszek spokojnie — oni niewinni, ja raczéj, żem listu i świadectw nie miał..., jak gdyby czasu pokoju. Bóg jednak chciał obronić sługę swego, znalazł się w szpitalu chłopak, co poświadczył za mną; odwołałem się i na was, siostro kochana. Przysłano mnie tu, i dzięki im winienem tylko, że was widziéć mogę, a pobłogosławić.

Opowiadanie księdza oniemiło kobiety.

— Wszystko to jak sen przed oczyma mojemi — poczęła mówić Noskowa. — Jakież to szczęście dla mnie!

Staruszek z obawą poglądał po mieszkaniu bogatém, a oczy jego padły potém na wyszarzaną suknię własną.

— Widzę, że Bóg wam w dobrach ziemskich szczęścił — rzekł powoli — jam się nie dobijał o nie. A mąż wasz?

— Owdowiałam już oddawna — cicho odezwała się kobieta — sierotą zostałam z tém dzieckiem, ale Bóg się opiekował nami.

Tak rozpoczęła się rozmowa, któréj Ofka, ciekawa wszystkiego, przysłuchiwała się, zmarszczywszy czoło. Starzec ten tak ubogi i wynędzniały, pociągał ją jak zagadka, któréj nie mogła zrozumiéć. Wpatrywała się i wsłuchiwała w niego

z podziwem i niepokojem. Płoche stworzenie czuło się pierwszy raz w życiu pokonaném, onieśmieloném jakąś siłą, któréj nie pojmowało. Chciała odejść i nie mogła. A gdy staruszek począł zcicha opowiadać o sobie i życiu swém, usiadła w nogach jego, by słowa nie stracić.

Tak zszedł wieczór. Przygotowano izbę wygodną po skromnéj wieczerzy, bo innéj przyjąć nie chciał, obie kobiety zaprowadziły go do gościnnéj. Ksiądz Jan prosił o łoże twarde, o pokrycie proste, i nic więcéj. Musiano zrzucić posłanie i zsunąć kotarę.

Ofka sama posługiwała milcząca, a matka wydziwić się nie mogła jéj posłuszeństwu i skromności. Gdy kobiety wysuwały się z izdebki, ksiądz Jan na twardą podłogę kląkł do modlitwy.

— Matuś!—szepnęła Ofka na ucho wdowie— mnie się tak zdaje, jakby Święty Franciszek przyszedł do nas w gościnę. Ja mu nie dowierzam, on gotów w nocy do nieba ulecieć! To człowiek święty, ale ja się go boję. Zimno mi, gdy nań patrzę; zdaje mi się, że czyta w méj duszy i wié wszystkie grzeszne myśli moje.

*
* *

Trwały jeszcze pozorne rokowania około pokoju z Krzyżakami, Jagiełło ociągał się z rzuceniem ostatnich kości, trwożąc się nie tyle potęgą Zako-

nu, jak intrygami jego i opieką króla Zygmunta, a zapowiedzią wojny od węgierskich granic. Wprawdzie Zygmunt mówił cicho, że wojnę wypowié, ale jéj nie rozpocznie, a mimo to usiłował Witolda odciągnąć na swą stronę i oderwać od przymierza z Jagiełłą. Możnaż było wierzyć tak dwoistéj polityce? Nikt nie wątpił, że wojna, a wojna krwawa i stanowcza, wybuchnąć musi.

W całym kraju przysposabiano się do niéj i ściągano pod chorągwie. Rycerstwo całe albo na koń już siadło, lub gotowało się wyruszyć z domów. Mnóstwo nawet tych, którzy po za granicami szczęścia, albo nauki rycerskiéj szukali, i ci, którym się tam dobrze działo, rzucali przy dworach urzędy, nadane majętności, a z ludem do domu śpieszyli.

Wszędzie czuć było i widać nadchodzącą wojnę. Gościńcami i szlakami, drożynami leśnemi, ciągnęli rycerze i zaciężne pułki, roty i poczty, wozy za sobą ciągnąc, ciurów i gawiedź niezbędną. Po rzekach opatrywano brody, gotowano mosty, a po puszczach, kędy dróg nie bywało, tylko ścieżyny kręte a ciasne, spędzone gromady w pień stare waliły drzewa i zasiekami spychały je na boki, czyniąc nowe dla wojsk królewskich gościńce. Wszędzie ruszał się lud, gromadziła wrzawliwie

szlachta, a przed chatami i dworami stały smutne z założonemi rękami niewiasty, lub tuliły dzieci, myśląc co wojna przyniesie, patrząc czy lasy, schronienie ostatnie daleko.

Gdzieniegdzie z rozpoczętemi żniwami, śpieszył lud rankami i nocami księżycowemi, aby się prędzéj ze zbożem do brogów uprzątnąć; bo gdzie żołnierz i koń głodny nadszedł, a chorągiew popasem, lub noclegiem stanęła, już potém nie było czego szukać w polu. Kręcili się posłowie i kursorowie na zwiady wysyłani za językiem na rubieże, a po grodach nad granicą u Krzyżaków pilność była wielka, bo szpiegów co chwila łapano. I nie nowiną było w polu na dębie zobaczyć wiszącego człowieka, lub świeżą na rozdrożu gałęźmi nałożoną mogiłę.

Z puszcz królewskich ogromne zapasy solonego mięsa, łosiny, dziczyzny, rogaczów nabitych wcześnie puszczano z wodą, aby wojsku żywności dostarczyć; wozy też długiemi sznury ciągnęły zapasy wojenne, wlokąc je do obozowisk królewskich.

Nad granicami zwłaszcza niepokój był najwidoczniejszy — tu się wszystko gromadziło i spływało: jedni by wtargnąć gdy godzina uderzy, drudzy by odwetu nie dopuścić, bo nieprzyjaciel ogniem za ogień, a mieczem za miecz płacił. Tu każdy za-

meczek musiano opatrzéć i uzbroić, aby na przypadek i z małą garścią wielkiém męztwem mógł się obronić.

Z miasteczek i wsi ludność na wozach ściągała mienie swe do gródków, cisnęła się pod mury i za mury, wioski zostawując na łaskę Bożą, a nie spodziewając się chat swych zobaczyć, bo nieprzyjaciel szedł ogniem, szedł mieczem, a gdzie żelaza nie miał na kim stępić, głownię podrzucał. Kędy przeszedł, nie zostawało nic, tylko ziemia czarna i zgliszcza siwe.

Po wszystkich kościołach nakazane były modlitwy, duchowieństwo ducha zagrzewając przemawiało, niewiasty łamały dłonie, rycerstwo błogosławiono na wojnę. Dzieci patrzały zdala i śmiały się zbrojom błyszczącym.

Choć wojna przeciw niemieckim rycerzom nie była nowością dla Polski, zawsze ten krzyż czarny na mniszym a rycerskim płaszczu, jakąś trwogę obudzał, aby walcząc przeciw zakonnikom, z krzyżem Chrystusowym się nie wojowało.

Miał też zakon niemiecki w sąsiednich krajach przyjaciół mnogich i pół-braci i współ-bratów jawnych i tajemnych, którzy sieli jak mogli wątpliwości, a potęgą Zakonu straszyli, i Bożą pomstą za rycerzy Maryi.

Mówiono, że na hasło z całéj Europy ściągnie się tam rycerstwo co najdzielniejsze, a Polska mu jedna ze swojém nie sprosta. Rzym i Cesarstwo było z Zakonem i za Zakonem. Chciwe łupieży Rittery z całych Niemiec, wychylali się ze swych burgów, stojących na czatach nad gościńcami, śpiesząc na zawołanie Wielkiego Mistrza, a spodziewając się obfitéj zdobyczy.

Nie łudzono ich ani odpustami, ani świętością wojny krzyżowéj, ale daleko ponętniejszemi honory i obietnicami łupów. Zakonu los obchodził Niemcy całe, bo nie było kątka w Germanii, któryby tam kogoś ze swoich nie wysłał: brata, stryja, krewniaka.

Najsłynniejsze imiona na spisach Zakonu świeciły: Lichtensteinowie, Zollerny, Saynowie, Hatzfeldowie, Salzbachy, piastowali najwyższe w Zakonie dostojeństwa. Ziemie, które Zakon trzymał, były kolonią niemiecką i zdobyczą dla przyszłych osadników, darem cesarskim i papiezkim. Ci co swojéj własności bronili, wydawali się napastnikami, a napastnicy pokrzywdzonymi.

Wieściami o bałwochwalstwie pogan litewskich, żmudzkich, ba! polskich, karmiono Europę, która naówczas tyle wiedziała o tych krajach, co dzisiaj. Jagiełłę wszędzie malowano jako pogani-

na, a Witolda nie odróżniano od Tatarów, których zaciągi miał pod sobą.

Zakon zwlekał walkę stanowczą, i możeby był ją odłożył do innéj chwili, bo czuł, że ona o losach jego przyszłych rozstrzygać może; lecz nie mniejsza obawa panowała w Jagiełły obozie, bo i tu przegrana nieobrachowane za sobą ciągnęła skutki.

Niemiecki świat, mieczem prący ku wschodowi, miał się zetrzéć z obrońcami ziem słowiańskich od napływu germańskiego plemienia; wojna rozstrzygnąć miała, czy zaborcze hufce poprzebierane za mnichów, zagarną ziemie aż do Herodotowych białych ciemności.

Świeżo ochrzczony poganin lękał się, by mu nie zadano, iż walczy przeciw Chrześciaństwu. Dlatego może i dla przejednania Boga, którego mniemane sługi miał wojować, Jagiełło po drodze nabożnym był jak zawsze, albo nabożniejszym jeszcze.

Jechał król z Nowego Korczyna ze dworem na Stopnicę do Słupi, jak na wojnę przystało z niezbyt gromadnym, przecież królewskiemu dostojeństwu odpowiednim orszakiem. W Koronie już on naówczas nie królował, zdawszy namiestnictwo swéj władzy ks. Mikołajowi z Kurowa, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, sam zostawszy wodzem, a żołnierzem tylko... Przeto i dwór bezmała składał

się z samych ludzi rycerskich, z wyjątkiem panów pisarzów, kapelanów i duchownych, których do nabożeństwa, pism i listów potrzebowano, bo król sam jak wiadomo, czytać ni pisać nie umiał. I służyło mu to dobrze, bo gdy mu co zarzucano, tłómaczył się skromnie, iż tyle tylko wié o sprawach, co mu ludzie powiedzą, choć wiedział o wszystkiém lepiéj od wszystkich.

W Słupi u stóp góry, dwór na noc stanąwszy, rozłożył się po miasteczku i po za niém obozem, bo orszak królewski i chorągwie ciągnące z nim, pomieścić się w domach nie mogły.

Wiedziano już w otoczeniu pańskiém, że nazajutrz pieszo pójdzie Jagiełło na Łysą górę, jak ślubował, i tam dzień na modlitwie spędzi. A nie dawniéj jak czterdzieści lat temu, taż sama Litwa jeszcze, klasztor i kościół ten splondrowała! Dziś przychodziła się modlić. Wysłano do mnichów, by z nabożeństwem byli gotowi.

Nazajutrz, że dzień obiecywał się upalny bardzo, o brzasku ruszyło się wszystko, co królowi towarzyszyć miało, a oprócz czeladzi przy obozie nikt nie został. Szli za panem wszyscy na Łysą górę. A był to widok uroczysty, owego długiego orszaku duchownych i rycerzy, żołnierstwa i czeladzi, ciągnących pieszo, za kapłanem, który dro-

gę wskazywał, czytając modlitwy i zawodząc ze śpiewakami pieśni nabożne. Kto Jagiełły nie widział wprzódy i nie znał, nie byłby go pewnie za króla wziął, zobaczywszy skromnie idącego wśród daleko strojniejszych panów, co mu towarzyszyli.

Jagiełło naówczas już nie młody, nie miał rysów twarzy, ani postawy majestatem uderzającéj. Znać w nim było wszakże puszcz litewskich wychowańca, nawykłego do obozowania pod gołém niebem, spoczywania w niepogodę pod dębami, a spędzania całych miesięcy w lesie, nie zajrzawszy pod dach i nie skosztowawszy miękkiego łoża.

Mąż był wzrostu średniego, tuszy nie wielkiéj, smukły i dość zręczny. Głowę miał małą, podłużną, nieco już łysą, osadzoną na szyi długiéj i żylastéj; twarz płci ciemnéj uderzała najwięcéj dwojgiem oczu czarnych, małych, żywych, niespokojnych i biegających. Zdawały się one badać każdego i chcieć pochwycić wszystko.

Z ust trudno było coś czytać, oprócz łagodności i dobroduszności, która łacno się mogła w gniew gwałtowny a krótki zamienić. Naówczas zacinały się usta, oczy błyskały, żyły wzdymały na skroniach i król strasznym się stawał. Takim bywał najczęściéj na łowach i w gromadce dworskiéj, a gdy do ludzi występował, hamował się

i sypał chętną dłonią złoto, byle pokój okupić. Na ten dzień uroczysty, król, który zimą w kożuchu prostym chadzał, a na posłuchania płaszcz brał szary, odział się swoją zwykłą szarą aksamitną suknią dostatnią, z pod którćj jedwabny taftowy żupanik widać było, z pasem szerokim czarnym, obramowanym, jedwabnicą brunatną ujętym. Na nogach miał czechczery sukienne ciemne, a w ręku czapeczkę szytą złotem. Za nim na obronę od słońca. Nowek, sługa pański, niósł zapaśny kapelusz słomiany, jedwabiem podszyty, aby król włożył gdy zechce.

Za nim długim szeregiem szli rycerze i panowie, dowódzcy, marszałkowie, podskarbiowie, krajczowie i wielka siła dworzan, sług, urzędników, pacholąt, czeladzi.

Z obu stron drogi stał tłum pospolity, mieszczaństwo ze Słupi, włościanie ze wsi okolicznych, żebracy ze świata całego, z wyciągniętemi rękami. Królowi do kalety podawał garściami grosze podskarbi, a on ręką własną jałmużnę dzielił cisnącemu się ubóstwu. Cała góra roiła się ludem.

Napół rycersko, pół księżo wyglądał dwór pański, bo w nim kleryków i duchownych dość było. Szlachta na ten dzień prawie cała zbroje ciężkie złożyła, przy szablach i mieczykach idąc,

z czapkami zamiast hełmów w ręku, aby ramionom i głowom dać spocząć nieco. A szli wszyscy w porządku wielkim, z processyą, bo ksiądz przodem niósł krzyż srebrny i odziany był w komżę a stułę. Na kilkoro stai od kościoła wyszło duchowieństwo całe przeciwko królowi i we dzwony uderzono. Niesiono chorągwie kościelne i relikwię ową, któréj Litwa uwieźć nie mogła. Tę spotkawszy król, przyklęknąwszy ucałował i ciągnęły tłumy wprost do kościoła. Do zachodu słońca klęczał potém na wezgłowiu, modląc się i ciągle rozdając jałmużny, a gmach ledwie mogący pomieścić dwór pański, stał oblężony ludem do mroku.

Dwór téż, naśladując pana, a skarbiąc sobie łaskę i błogosławieństwo Boże, o głodzie przetrwał dzień, późnym dopiéro wieczorem nadążywszy do miasteczka, aby się przed snem posilić. Czekały stoły niewykwintnie zastawne z mięsiwem, rybami i warzywem a plackami. Król oprócz wody, innego nie używał napoju, dla rycerstwa stały kadzie i konwie z piwem: miód się ledwie gdzie pokazał. Noże i łyżki mieli wszyscy przy sobie i z jednéj misy jedli. Mięsiwo i ryba z ladajaką przyprawą starczyły na zabicie głodu. Poczém jak kto stał, legł gdzie mógł, nie szukając innego posłania nad wojłok, siodło i siano. Nieopodal konie rżały, co by-

ło najmilszą dla żołnierza muzyką. Nie wszyscy namioty mieli i nie każdy rozbijać je kazał.

Na niebie gwiazdy się posiały, gdy król z izby wyszedł, w któréj siedziéć nie lubił i na podsieniu na ławie przypadł, rozpatrując się po okolicy.

Wtém Zbiszek z Oleśnicy, jeden z pisarzy królewskich, wielce od niego lubiony, nadbiegł z pokłonem i uśmiechem na twarzy, który się u niego rzadko widzieć dawał, bo mimo wieku młodego surowości był i powagi wielkiéj. Król nań grubym swym głosem zawołał, pytając, coby za wesołą nowinę niósł i czego się tak spieszył?

W istocie Zbiszek miał co zwiastować, dowiedział się bowiem pierwszy, iż panowie, którzy byli służbę króla rzymskiego i węgierskiego porzucili, aby do swojego pana powrócić, nocowali niedaleko i nazajutrz się Jagielle do boku stawić mieli. Między nimi byli Zawisza Czarny z bratem Farnrejem, Sulimczycy, Kalski Różyc, Wojciech Malski Nałęcz, Puchała Wieniawczyk, Janusz z Brzozogłów i wielu innych. Wiedziano już, że ich król Zygmunt zatrzymać pragnął i łaskami łudził i groźbami straszył; przecież nie złamał, ani znęcił, bo porzuciwszy dobra i skarby, precz poszli przebojem do swoich, zasłyszawszy o gotującéj się wojnie.

Rozradowała się twarz pańska i uśmiechnęła, a miał to za wyraźny znak łaski Bożéj i owoc modlitwy, że mu teraz o nich znać dano.

Inny z dworzan oznajmił téż, iż księżna Aleksandra, siostra Jagiełły, wielce mu ulubiona, drogę chce zabiedz, aby go widziéć i miéć z nim rozmowę. Spodziewał się téż książąt Mazowieckich obu, Janusza i Semiszki (Ziemowita), którzy z ludźmi nadciągnąć obiecywali ku Kozienicom pod Czerwieńsk, gdzie dla wojsk cieśle i budowniczowie niewidziany most na łyżwach budowali, któremu, kto go nie widział, wierzyć nie chciał.

Późną godziną król na rozmowie spędziwszy czas, szedł do przygotowanéj łożnicy, gdzie nań słudzy Borowiec, Czochal, Jurad i Nowek dla ściągnięcia szat czekali. Izbę dla króla w domu burmistrza obrano wprawdzie najlepszą, przecie mało co od tych jakie po wieśniaczych bywają dworach, pokaźniejszą. Podłogę wysypano tatarakiem, łoże świeżém sianem i skórami łosiemi usłano. Tu miednice mosiężne i konwie do umywania stały, daléj leżały szaty i kożuch, co go nigdy nie odstępował i drobny sprzęt podróżny. Para świéc woskowych w lichtarzach srebrnych, ciężkich, nieco izbę oświetlała. W progu legła czeladź na straży, a w sieniach pacholęta i słudzy.

Nazajutrz król choć się obudził do dnia, bo w miasteczku wrzawa była od rycerstwa, które przychodziło i odjeżdżało, wywczasowywał się, poufalszych tylko przypuszczając do siebie, wedle zwyczaju, gdy Dobek znowu panów z Węgier zwiastował, że już się zbliżają, a oprócz nich posłów księcia słupskiego, szczecińskiego i meklemburskiego.

Książęta ci napół, jeśli nie całkiem już zniemczeni, niechętnie tu byli widzianymi. Miano ich w podejrzeniu, że nie posłów ślą, ale szpiegów, którzyby o siłach donieśli, choć się z pomocą i posiłkami ofiarowali. Słońce się jeszcze nie było dobrze podniosło, gdy wesołe okrzyki oznajmiły o przybywających, Zawiszach, Malskim, Puchale, Brzozogłowie i innych. Wyszedł król sam na ich spotkanie. Orszak téż był, na którym mile oko spocząć mogło i dusza mu się radowała. Jechali z pocztami świetnemi, wszyscy we zbrojach jasnych i pozłocistych, poprzepasywani wstęgami krasnemi, na koniach silnych, w rynsztunku pełnym, z mieczami kowanemi srebrem i złotem.

Gdy zatoczyli przed Jagiełłą, co było rycerstwa i dworu wybiegło się im przypatrywać. Zsiedli wszyscy z koni, i z Zawiszą na przedzie, przy-

szli się do kolan pańskich pokłonić, których Jagiełło z niewymowną radością przyjmował, gości karmić i poić rozkazując. A jako był do datku ochoczy, gdyby był tyle zamków podoręczu miał, ilu go rycerzy witało, dałby pewnie każdemu po jednym.

Wnet za nimi, ale znacznie nędzniejszym pocztem, przyjechali zapowiedziani posłowie książąt, którym z oczów zaraz źle patrzało.

Meklemburski, starzec z siwą brodą, a miną lisią, mówił za innych.

Królowi wyniesiono na podsienie siedzenie pokryte i tak ich tu przyjmował w szaréj opończy i słomianym kapeluszu, kazawszy rycerstwu strojnemu stanąć dokoła.

Poseł foremnemi słowy oświadczał od książąt, iż gotowi byli królowi posiłkować przeciw Krzyżakom; na co z polecenia Jagiełły, podkanclerzy Klemens (z Moskorzowa) odpowiedział, że za dobrą ich wolę król książętom dziękuje uprzejmie; lecz że już przy pomocy Bożéj sam się zebrał z ludem swym i litewskim i ruskim, więc bodaj czy nie byłoby zapóźno.

Meklemburski szeroko prawił o potędze i o wielkich przygotowaniach Zakonu, jakby trwogę siać pragnął, dowodząc, że posiłkiby nie zawa-

dziły, bo i Zakonowi z Niemiec ciągną drudzy. Na co Klemens podkanclerzy odpowiadał, iż jakkolwiek krzyżacka potęga wielka, Boża jest jeszcze większa, a jeśliby do obozu książęta ich miłoście przybyć raczyli, gdziekolwiek króla zastaną, bodaj już na pobojowisku, rad im będzie.

Posłów potém marszałkowie u stołu swego przyjmowali i podejmowali hojnie z polecenia króla, a ci podochociwszy sobie, odzywali się z różnemi mowy i przekąsy, ale na odpowiedziach téż nie zbywało.

Nie dano się im bardzo rozpatrywać po obozie, ani na zapytania odpowiadano chętnie, ale ich do następnego dnia znosić musieli, dopóki się obdarzonych nie pozbyto. Dostał każdy po kożuchu pokrytym i po kubku pozłocistym, aby precz jechali.

W Sulejowie król już miał około siebie mało nie wszystkie siły swe, oprócz Wielkopolanów i Mazurów, którzy się z nim mieli połączyć dopiéro nad Wisłą. Tam téż nadciągać mieli Czesi z Morawianami, Sokoł, Sarnowski i inni z zaciężnym żołnierzem, taborami, wozy, działami i żywnością, którą różnemi drogi wieziono ku Czerwieńskowi.

Wszystko dotąd składało się bardzo pomyślnie, Jagiełło téż był dobréj myśli, chociaż przypadały

nań i dnie posępne, w które mało mówił, a przystęp doń nie był bezpieczny. Rycerstwo szło duchem wielkim, pieśni zawodząc, mieczami brzękając, zbrojami świecąc, a rano i wieczorem gromadząc się na modlitwy. I gdzie obóz przystanął, kapliczny namiot rozbijano, aby służba Boża nie ustawała. Król mszy codzień słuchał, nim na koń siadł.

Dziesięciodniowe zawieszenie broni dozwalało wojskom nie śpiesząc, dociągać do samych granic krzyżackich.

Nie było prawie w tém ciągnieniu ani przypadku, ani szkody: co dziwna, gdzie taki tłok ludu orężnego z różnych stron ściągnionego i prawie obcego sobie. W Sejmicach tylko nade stawem, gdy namioty rozbijać właśnie zaczęto i o posiłku myśléć, burza napadła wojska sroga. Był to dzień sobotni i właśnie się rybami raczyć miano, bo ich było podostatkiem, gdy w namiocie Dolka z Oleśnicy, który ze swoimi przy misie ryb siedział, piorun padł na samą misę, ryby ze szczętem spalił i zniszczył, tak że ich nic nie zostało, nikogo z siedzących nie tknąwszy. Za cud prawdziwy poczytano, iż się na wielkiéj trwodze skończyło.

Na ŚŚ. Piotra i Pawła ciągnęło wojsko do Kozłowa nad Bzurą, tam niedzielne i świąteczne razem odprawując nabożeństwo.

Niepokojono się nieco, wieści od Witolda oczekując, gdy goniec od niego do Jagiełły przybył, że ze wszystkiemi siłami swemi stoi nad Narwią, nie śmiąc się przeprawić przez nią, w obawie, aby go nieprzyjaciel nie zaskoczył z tyłu, lub z boku. Zaczém mu chorągwi kilka zaraz dla obrony posłano.

Ciągnęło tak wojsko daléj do Kozienic, gdzie ów sławny most dlań budowano, na owe czasy osobliwy i niewidziany. Był to pierwszy tego rodzaju do przeprawy użyty, a tak mocny, iż po nim nietylko wojsko całe, ale działa i kule kamienne i wozy z żywnością bezpiecznie przeprawiać się mogły na przeciwny brzeg do obozu, kędy Czechowie kunsztem swym tabory ustawiali.

Tu dano znać królowi o Witoldzie, naprzeciw którego ze świetnym pocztem jechał Jagiełło na powitanie i prowadził go do owego mostu, umocowanego kobylicami ogromnemi u brzegów i obwarowanego strażą.

Rycerstwo całe wysypało się niemal dla widzenia Witolda, który sam miał postawę pańską i orszak piękny, ale wojska jego, szczególniéj

Tatarowie, dziko wyglądali, szli niesfornie i uzbrojeni byli licho.

Rycerstwo Jagiełłowe w żelazo okute, uzbrojenie miało przedziwne, kopie długie i daleko sięgające; u Tatarów i Litwy oręża i zbroi było zamało, kopie lekkie i krótkie, a lud szedł tłumnie, kupami i hałaśliwie. Dopiero się to miało później w chorągwie i szeregi wedle wzrostu i siły uporządkować i ustawić.

Tu tedy wraz wojska oba poczęły zwolna przez most przeciągać, chorągwie ze starszyzną na czele, lud jak na processyi w porządku... i zaraz na drugim brzegu namioty rozbijano. Tu też zaraz obok królewskiego pierwszy wielki namiot na kaplicę przeznaczony ustawiono, w którym chór był i wszystko czego kościelny wymaga porządek.

W święto Nawiedzenia N. Panny Maryi, jechał król do Czerwieńska do klasztoru na nabożeństwo, ze znaczną częścią rycerstwa swojego. Tam nań czekał Jakób biskup płocki.

Msza dla wojska, które się w kościele pomieścić nie mogło, odprawiała się na wzgórzu przed murami, u ołtarza umyślnie ustawionego, obok którego też i kazalnicę wzniesiono dla biskupa, kobiercami obwieszoną.

Z niej Jakób biskup miał po polsku do tłumów zgromadzonych przemowę, przekonywając tych, którzyby jakową trudność w sumieniu mieć mogli, iż wojna przeciwko Zakonowi niemieckiemu sprawiedliwą była i tysiącznemi krzywdy, a przeniewierstwy i chciwością ich nienasyconą, wywołana.

A był ów biskup Jakób człowiekiem nietylko uczonym z ksiąg, ale natchnionym i wymownym, tak że gdy za krzywdy o pomstę do Boga wołać zaczął na Niemców, szmer się stał i okrzyki, jakby wnet kto żyw biedz chciał i wojować z nimi. Słuchali wszyscy poruszeni mocno i szable w pochwach brzęczały, bo po nich niecierpliwe uderzały dłonie. Nie jeden co ostygłym tu przyszedł, gorącym powrócił.

Tu także na obozowisku pod Kozienicami a Czerwieńskiem, posłowie panów węgierskich, którzy pokój niby mieli układać między Jagiełłą a Krzyżakami, z Torunia jadąc, przysłali polaka Dobiesława Skoraczewskiego, z prośbą, aby im król dzień na posłuchanie naznaczył. Żądania krzyżackie były im już bowiem wiadome, chcieli posłyszeć królewskie.

Gdy Dobiesław do obozu przybył i oznajmił się, król zaraz z księciem Witoldem naradzał się, jakąby dać odpowiedź. Oba oni znali doskonale

Niemców i Zakon, a wiedzieli dobrze, że rokowania te do niczego doprowadzić nie mogły. Nie chciano ich jednak odrzucać, ażeby nie mówiono, iż chciwymi byli wojny, a pokojem pogardzali.

Zaniósł więc podkanclerzy Dobiesławowi odpowiedź, iż król następującą sobotę i niedzielę na posłuchanie naznacza, ale miejsca ukazać nie może, bo wojsko dalej ciągnąć musi i stanowisk pewnych wyznaczonych niema.

Skoraczewskiego polaka, który przy Jagielle znajomych wielu miał, a w obozie pokrewnych, z Torunia wyprawiono i dlatego, ażeby się w wojsku rozpatrzył, a opowiedział jak je znalazł.

Gotowi do wyjazdu, czekali jeszcze w Toruniu na wysłańca panowie węgierscy Mikołaj Gara i Scibor ze Sciborzyc. Na zamku ich komtur ugaszczał z W. Mistrzem. Gdy o Dobiesławie znać dano, że wrócił, zbiegło się co żyło, słuchać co powie i co z sobą przynosi.

Komturów i starszyzny na zamku było wielu, wszyscy czekali odpowiedzi, gdzie króla zastał, i z jaką siłą i z jakiem sercem?

Skoraczewski, który całe dwa dni w obozie przebył, a miał czas się wszystkiemu dobrze przypatrzéć, rzekł, że król Wisłę przeszedłszy, stał już pod klasztorem w Czerwieńsku.

Zdumieli się wszyscy, ale uwierzyć nie mieli ochoty. Skoraczewskiego podejrzywano o kłamstwo.

— A książe Witold?—zapytał Mistrz—czy się już z królem połączył?

— Tego właśnie samego dnia, gdym ja do obozu przybył, nadciągnął z licznym, dobrze uzbrojonym i silnym zastępem—rzekł Dobiesław.

Na to uśmiechnął się W. Mistrz, a za nim i inni śmiać się zaczęli.

— W Witoldowém wojsku—rzekł—więcéj ludzi do łyżki, niż do zbroi!

— W. Miłość mi przebaczy—mówił Dobiesław—oczom moim wierzyć muszę. Lud dobry, odziany porządnie i wygląda na dzielnych rycerzy.

Na to jeden z komturów wyrwał się:

— Lepiéj my ich od waszmości znamy, bośmy z nimi nieraz do czynienia mieli: policzyćbyśmy mogli i ludzi i konie.

— Lecz—wtrącił W. Mistrz—powiedzcież nam co jeszcze o tym sławnym moście, który mieli na powietrzu zbudować.

Zaczęli się inni śmiać, most miano za bajkę.

— Widziałem i most—rzekł Dobiesław,—nie w powietrzu wprawdzie, tylko na wodzie zbudowany bardzo misternie. Wolno kto chce szydzić z niego, ale całe wojsko przeszło przezeń

suchą nogą i wozy po nim przeprowadzano w oczach moich, a most ani się ugiął pod ich ciężarem.

Za przykładem W. Mistrza śmiać się znowu poczęli Krzyżacy, podejrzywając już coraz bardziéj Dobiesława o kłamstwo i przesadę przez miłość dla swoich. Wielki Mistrz odwrócił się od niego i poszedł do siedzącego Scibora, któremu szepnął cicho:

— Wasz poseł bajki nam prawi do prawdy niepodobne. Posyłaliśmy tam od siebie ludzi wiary godnych i przynieśli nam oto pewną wiadomość, iż król Jagiełło po nad Wisłą się błąka, probuje przeprawy przez rzekę, próżno szukając brodu; że wielu potracił ludzi, którzy potonęli w Wiśle, usiłując ją przepłynąć, Witold zaś stoi nad Narwią i przejść jéj także nie może.

Pomimo, że W. Mistrz mówił z cicha, usłyszawszy to Skoraczewski, uniósł się gniewem, bo szlachcicowi kłam zadano.

— W. Miłość zadajesz mi fałsz—zawołał—opowiedziałem wszystko, jak widziałem naocznie. Raczcie ze mną kogo ze swoich wyprawić, a w ciągu trzech dni dowiodę i przekonam, że praw jestem i że tak jest jak donoszę.

Mistrz się odwrócił.

— A nam to na co potrzebne?—spytał.—Ani

słać, ani na nowo badać nie mamy ochoty. Okaże przyszłość, kto z nas lepiéj wiedział. Wy jako polak mówicie, wynosząc potęgę swojego króla, którego my wcale się nie lękamy.

Stanęło na tém.

Wielki Mistrz zaufany był w siły, w sposób prowadzenia wojny Zakonu i w zasoby. Mało co potém nadbiegł posłaniec od komtura ze Swiecia. Co przyniósł tajono ściśle, lecz wyrozumiéć było łatwo, że nic dobrego. Wojna się pod złą wróżbą rozpoczynała. Janusz z Brzozogłowy, starosta bydgoski, właśnie pierwszy na swą rękę wojnę rozpoczął. Natychmiast po wyjściu rozejmu zebrał garść ludzi i z nią puścił się pod krzyżacki zamek Świecie. Gdy łuny dokoła zaświeciły niespodzianie, uderzono na gwałt w grodzie; Krzyżacy siedli na koń i sądząc, że z małą jakąś garścią mają do czynienia, rzucili się śmiało w pogoń.

Tego właśnie chciał starosta. Uciekający napozór żołnierze, wciągnęli pogoń w zasadzkę uczynioną w miejscu dobrze osaczoném. Wszystkich Krzyżaków wybito, lub do niewoli pobrano. Oprócz knechtów i czeladzi, samych braci pięciu do niewoli się dostało. Przestraszony o los zamku W. Mistrz, posłał liczniejszą załogę i zwołał

rycerstwo z całego powiatu na jego obronę. To było pierwsze spotkanie i pierwsza wróżba, któréj Krzyżacy nie wzięli do serca.

Przypisano to nieudolności komtura i przypadkowi, zemsta tylko rozbudziła się w sercach.

Król Jagiełło w pochodzie między Czerwieńskiem a Żochowem, radośną tę odebrał nowinę.

* *
*

Wojsko ciągnęło lasem i zaroślami, dzień był skwarny, król uznojony i posępny jechał z głową okrytą na powolnym koniu, który miał nogi zdrowe i chód lekki, co rzadko razem się łączy.

Opodal nieco, konno i pieszo, szli i jechali dworscy, rycerze i panowie, rozmawiając pocichu. Zdala słychać było pieśni, które Witoldowi Rusini zawodzili, wytrwać bez nich długo nie mogąc w milczeniu. Las ledwie wolny wietrzyk poruszał, pogoda obiecywała się na dzień cały. Gdziekolwiek źródło lub studnia znalazła się na drodze, rzucało się do niéj co żyło i wysączano ją do dna. Nie jeden konia wprzódy pojąc, sam potém kropli już nie dostał, ale koń był pierwszy u żołnierza. Niektórzy, po borze, przypominając lata młodsze, dojrzéwających jagód szukali, by niemi zwilżyć usta spalone, inni grzybami napełniali hełmy,

aby je upiec na noclegu. Łamanemi gałęźmi opędzano od much zmęczone rumaki.

Zdążano już ku granicom, gdy w pośród gościńca, gdzie się drogi krzyżowały, a za pogańskich czasów stały bożyszcza na słupach, na których miejscu późniéj powznoszono figury i krzyże, ujrzał Jagiełło podniósłszy oczy, widok szczególny, a że bojaźliwym był na białogłowskie czary, spotkania i wszelkie uroki, zrazu konia zatrzymał, żżymając się.

W dąbrowie u rozstaju widać było rozłożony dosyć szeroko obóz, zapalone ognie, rozstawione stoły, rozbity namiot, wyładowane wozy, około których zwijało się więcéj niewiast, niż mężczyzn. Na gałęziach kilku dębów rozpięta ogromna opona różnobarwna, osłaniała proste z opiłków zbite stoły i ławy na pieńkach wymoszczone. Niektóre z nich przysłaniały wschodnie kobierce.

Przodem przed tém gospodarstwem leśném, z chlebem i solą na pozłocistéj misie, stała kobieta średnich lat, słusznego wzrostu, silnéj budowy, poważnéj postawy, w ciemne szaty ubrana, z białą na głowie zasłoną.

Twarzy była już nie pięknéj i zmarszczkami wczesnemi zoranéj, ale ślady piękności i siły w niéj się zachowały. Uśmiechała się zdała do króla,

który konia wstrzymawszy, przeciwko czarom możliwym usiłował się na wszelki wypadek obwarować, spluwając dokoła i złamane słomki, które zawsze przy sobie nosił, przez głowę koniowi rzucając na gościniec.

Jechał też za królem dworzanin Waśko i szedł pieszo podkoniuszy Hanusz. Obrócił się Jagiełło ku nim, wskazując ręką na obóz i pomrukując, aby się dowiedzieli, ktoby to był, co go chciał niespodzianą uczcić gościną. Waśko konia spiął, kilkanaście kroków pośpieszył naprzód, i popatrzywszy tylko, nie pytając nikogo, do stojącego króla zwrócił nazad, z twarzą rozjaśnioną, wołając:

— Kniażna Aleksandra Olgerdówna Siemiszkowa (Ziemowitowa).

Im chmurniejszą zrazu twarz był uczynił Jagiełło, tém się teraz rozśmiał weseléj, koniowi popuścił cugli, ale nim do miejsca dojechał, zsiadł i z wielką czułością siostrę poszedł witać.

Grubym swym głosem, który im weselszym był, tém silniéj brzmiał, począł jéj czynić wyrzuty, że go tą niespodzianką nastraszyła. Ale tuż, zrzuciwszy nakrycie z głowy, na ławie siadł i o wodę do swoich zawołał, bo jéj nikomu oprócz podczaszych, podawać mu nie było wolno. Nad-

jechał też i ks. Witold, który się witał i obok miejsce zabrał.

Księżna z licznéj rodziny dwóch tylko synów z sobą miała, ale kobiecy dwór bardzo liczny, który w téj chwili z za namiotów, drzew, krzaków i za wozów stojących dokoła wyglądał, ciekawie się przypatrując przeciągającym rycerzom i stojącemu orszakowi pańskiemu. Szło bowiem wojsko chorągwiami daléj ku Żochowu, a ze dworu tylko i przybocznéj straży cokolwiek przedniejszych zostało przy królu i Witoldzie.

Rozchodząca się woń pieczonego mięsiwa i kuchennych przypraw, nie jednemu wygłodniałemu wyrwała westchnienie. Król był jak zawsze, siostrze niewymownie rad, mając do niéj z lat młodych przywiązanie szczere.

Dwóch jéj chłopaków, którzy mu do nóg upadli, po głowach i policzkach poklepał, a oczyma też z ukosa, ostrożnie i ku białym paniom w głębi stojącym spozierał. Znano go z tego, że do niewiast miał słabość do najpóźniejszego wieku. Dwór księżnéj krył się niby wstydliwie, na prawdę jednak radby się był pokazał i bliżéj napatrzył rycerzy.

Szmer słychać było i śmieszki za oponami, a ciągnący żołnierz oczyma ścigał równie pożądli-

wemi piekącą się zwierzynę i chowające niewiasty. Jagiełło jął stojącą księżnę wypytywać o rodzinę jéj liczną, każdego wymieniając po imieniu, śmiał się rad i czekał, aż mu co jeść podadzą. Wtém nagle oczy jego biegające niespokojnie, zatrzymały się i utkwiły w miejscu jedném, oderwać się od niego nie mogąc.

U wnijścia do namiotu stało dziewczę, strojne, piękne, uśmiechnięte, z kwiatkami powtykanemi we włosy, śmiało patrząc w oczy królowi, jakby się nic majestatu jego nie ulękło. Wielka piękność i świeżość téj twarzyczki nie samego tylko króla uderzyła: Ks. Witold, a daléj nieco stojący dwór, oczy w nią mieli wlepione. Było coś wyzywającego i niepokojącego w tém zjawisku leśném, które jakąś boginię puszcz litewskich przypominało.

Król zcicha szeptał: „Ragana!" i znowu rzucał słomki dokoła siebie, ale oczów oczarowanych oderwać od niéj nie mógł.

Ks. Witold wreszcie przystąpiwszy do księżnéj Aleksandry, spytał kogoby to z sobą przywiozła?

— Czarownicę jakąś macie, która ludzi oczyma pęta—rzekł śmiejąc się.

Księżna odwróciła się i postrzegła dziewczę.

— Dowiecie się co za jedna — odpowiedziała — nie należy ona do mojego dworu, w gościnie u mnie z matką i wujem, a spotkałam ich właśnie, gdym tu w drogę jechała.

Jagiełło przysłuchiwał się ciekawie, patrzał i spluwał coś szepcząc.

— Dziwnie piękna — ciągnęła daléj księżna — a co więcéj dziwnie śmiała, wesoła i mądra, więcéj niż na dziewkę przystało. Od wczoraj mi cały mój dwór zbałamuciła.

Na tém się przerwała rozmowa, gdyż na stół właśnie przynoszono misy z polewką i mięsiwa dymiące parą, a wkoło zwijały się kobiety księżnéj i pachołkowie, najprzód stół zastawiając w pośrodku przed królem.

Nie tknął jednak Jagiełło nic, dopóki mu jego podczaszy z podróżnéj skrzynki nie dobył kubka, misy, noża, łyżki, do których nikomu się dotknąć nie było wolno, oprócz niego i nikomu królowi do stołu posługiwać, oprócz tych, co byli do osoby jego przywiązani.

Gdyby przypadkiem, czy umyślnie, ktokolwiek ruszył kubek pański, lub łyżkę, jużby ich król więcéj nie użył, tak się czarów obawiał i złych ludzi. A kiedyż więcéj mógł się ich lękać, jak

przed tą wojną, któréj był głową, czując, żeby go Krzyżacy zgładzić byli radzi?

Zasiadł ks. Witold opodal naprzeciw, księżna przy bracie, rycerstwo, kapelan i kilku duchownych w końcu i przy drugim stole. Podczaszy przyniósł miednicę, nalewkę i tuwalnię królewską, wszyscy dokoła ręce umywać zaczęli, aż wstał kapłan i błogosławieństwo odmawiał, którego wszyscy stojąc słuchali pobożnie. Siedli potém, ale nikt do misy nie sięgnął, póki król nie począł jeść i nasyciwszy głód, nie posunął jéj od siebie.

Wszczęła tedy księżna Aleksandra cichą rozmowę, o czém jeśli nie o wojnie a Krzyżakach? Jagielle wiadomém było, że książęta Mazowieccy sąsiedztwem zmuszeni, w stosunkach byli z Zakonem, a Mistrzowie krzyżaccy zawsze sobie łaski i względy księżnéj, jako siostry króla, skarbić starali. Szły często podarki z Malborga do Płocka i Warszawy, posyłano je téż ztąd do Torunia i Malborga, wraz z przyjacielskiemi listy. Mówiono, że księżna Aleksandra potajemnie Zakonowi sprzyjała. W Płocku wiedziano o Krzyżakach i ich obrotach lepiéj częstokroć niż w Krakowie i Wilnie.

Szli teraz książęta Mazowieccy razem z królem na wojnę, bo inaczéj począć nie mogli; lecz

więcéj niż ktokolwiek życzyli lub walnego zwycięztwa, coby nieprzyjaciela na wieki złamało, albo uniknienia wojny, za którą pomstą straszną grożono.

— Idziemy więc na tę wojnę — szeptał Jagiełło — niechętni, przymuszeni, bo pokoju sprawiedliwego nie chcą i nie dadzą; idziemy w Bogu ufając i w dobroci naszéj sprawy.

Westchnął, a księżna powtórzyła za nim to westchnienie.

— Zawsze wojna jest nieszczęściem — odpowiedziała — cóż dopiéro z takim nieprzyjacielem, który ma stu jawnych, a dwustu potajemnych sprzymierzeńców i przyjaciół, i tysiące kunsztów nam nieznanych. Sami się Panem Bogiem zasłaniają!

— Wiem-ci ja co ta wojna znaczy — rzekł Jagiełło — albo trzeba ich wywieść precz, lub głową nałożyć. Nie chciałem jéj i nie chcę. Czemuż nie przyjmą słusznych warunków? Ja tylko tego co nasze pragnę... Któż wié, ażali gdy panowie węgierscy nadejdą, nie ułoży się coś i daj Boże, aby się ułożyło, jeśli jeszcze czas po temu. Ale cóż słychać z tamtéj strony? co od nich?

— Właśnie mi wieści kobiety te z Torunia przywiozły, uciekając i szukając schronienia przed wojną.

— Jakie kobiety? — spytał król.

— Te, o które Witold pytał, a wy na nią patrzaliście, bo dziwnie piękną jest.

— Cóż mówią? co mówią?—poczęli król i Witold.

— Któż wie, czy one co wiedzą i czy nie rośnie im w oczach potęga Zakonu? — mówiła księżna.— Przygotowania wielkie i straszne być mają, jakby nie na wyprawę szli, ale na zawojowanie krajów naszych. Z zagranicy, z Niemiec, z Anglii, płyną goście niepoliczeni z orszakami łuczników, kuszników, rycerzy. Ściągają działa, kule, prochy. Najemny żołnierz z nad Renu, ze wszystkich ziem niemieckich, z Czech i Morawy nieustannie przybywa.

— Czechów i Morawian i my mamy dosyć — odparł król — dwom Bogom służą.

— Byle obu nie zdradzili—wtrącił Witold— boję się najemników, co się na cudzéj ziemi, za cudzą sprawę dla chleba biją: zły to żołnierz.

— Mówcie — rzekł Jagiełło — co więcéj? Gotowi oni tam?

— Wszystko w poruszeniu: na zamkach, po grodach, w powiatach, osadzają załogi knechtami, mało co zostawując rycerzy: co żyje ciągnie ku

granicy zastępy ogromnemi. Najdzielniejsi komturowie i sam W. Mistrz na czele.

— I nie trwożą? — spytał Witold.

— Odgrażają się tylko — mówiła księżna.

— Mistrza tego znam zdawna — przerwał Witold — jeszcze za Wallenroda czynniejszym był od niego. Rycerz mężny, dzielnego serca, ale pycha wielka. Jeśli go co zgubić ma, to chyba gorączka i porywczość.

— My Bogu ufamy! — dokończył król. — Nie tajna nam potęga Zakonu, ale mężnych ludzi i u nas sporo, a z zagranic coś się téż zebrało.

Westchnął król pochmurniawszy, zawołał na podczaszego, aby wodę podano, ręce chciał myć, jedzenia mając dosyć.

Drudzy w końcu stołu dopiéro byli mięsiwa rozbiérać zaczęli, pozostali dłużéj nad niemi, noże odpasawszy i krająć każdy sobie.

Wstał tedy Jagiełło i uszedł z siostrą na stronę nieco, a tuż znowu z poza namiotu ukazała się twarz uśmiechnięta dziewczęcia i obok siwa głowa staruszka, na którą król popatrzywszy z uwagą, uderzył się w czoło.

— A ten kto jest? — zapytał wskazując.

— Duchowny, który kobietom tym towarzyszył w drodze, krewny ich.

— Ja go znam — żywo dodał Jagiełło — jam go kędyś widział? Był między pisarzami moimi. To ksiądz Jan!!

Skinął ręką, ksiądz poruszył się, ale przybliżyć jeszcze nie śmiał, sądząc, że nie jego wołano; powtórzył król wezwanie ręką, i dopiéro się stary wychylił prędko, idąc do ucałowania ręki pańskiéj.

Weselszą twarzą witał go król.

— A witajże, witajże — zawołał — już was to dawno widać nie było? Coście czynili? gdzie bywali, co czynicie i jakeście się tu dostali?

— Sądzę, że mnie chyba Bóg tu wysłał, abym miał to szczęście jeszcze raz królewskie oglądać oblicze, bom się ani spodziewał tu być, ani nawet śmiał pragnąć.

— A no mów, księże Janie — dodał król — zkąd? jak?

— Wprost z Malborga i Torunia jadę.

Po dobréj woli?— rzekł król zdziwiony.

— Pielgrzymowałem do N. Panny pieszo, a razem siostry szukałem straconéj. Wzięli mnie za szpiega Krzyżacy i uwięzili, chcąc dać na męki. Cud Boży od śmierci uchronił, z siostrą razem uchodzimy z Torunia.

— A prawda to — wtrącił król żywo — że tam taka burza na nas się zbiera?

— Nie wielem widział — odparł ks. Jan.— Kobiety moje, które tam mieszkają, więcéj o tém wiedzą, ale jako niewiasty, tyle tylko, że się tam wszelka siła zbiera i gniew, a zaciętość wielka.

Popatrzał nań król.

— Cóż wy mówicie, księże Janie? co wy nam wróżycie.

Twarz starca zadumana, jakby od lampy w piersiach płonącéj, ożywiać się i rozjaśniać zaczęła; mienił się natchniony, a w oczach rosnął.

— Ziemskich spraw wiem niewiele — zawołał — rozumiem je mało. Przeszedłem pielgrzymując znaczną część ziem Zakonu, stawałem po ich zamkach, patrzałem na życie, dziwiłem się temu Zakonowi, z krzyżem chodzącemu wszędzie, a pogańskiego ducha i pychy!! Nigdy Bóg dumnym, a ufającym sobie nie daje długiego zwycięztwa. Cieszyć się im dozwoli, aby ich więcéj jeszcze poniżył i zgniótł. Kto z Bogiem w sercu idzie, zwycięży. Oni się Bogiem posługują, a nie Jemu służą.

Księżna słuchając pobladła nieco i spuściła głowę, zdawała się nie rada téj mowie.

— Potęga Zakonu wielka — odezwała się — a nie wszyscy w nim źli są i zepsuci: nie bronię ich, lecz się lękam. Za nimi papież rzymski, za

nimi król Zygmunt, cesarstwo i Niemcy całe; za nimi skarbiec ich i nauka jaką mają, i lud rycerski.

— A z nami będzie Bóg! — odparł ksiądz.— Na czyjej-że ziemi siedzą, dlaczego sobie ją przywłaszczają? Nędza i niewola ludu podbitego, na którą patrzałem, woła o pomstę nad niemi.

— Mój Ojcze — przerwała księżna — nie podżegajcie króla do wojny, lepiéjbyście go ku pokojowi skłaniali.

— Bóg świadek, nie do wojny zaczepnéj kuszę, bom kapłan Boga pokoju — odezwał się ks. Jan — ale do obrony ducha dodaję, a mówię czém mnie sumienie natchnęło.

Spuścił głowę z pokorą i umilkł: na twarz księżnéj wystąpił rumieniec.

— Posłuchajcie co mówią te kobiety — odezwała się żywo — wszak-ci to siostra ks. Jana.

— Siostra wasza? — wtrącił król — rad posłyszę.

Zwrócili się ku namiotom. Ksiądz za królem szedł. Księżna skinęła na stojącą obok Noskowę z córką i kazała jéj przystąpić.

Rozkaz ten zrozumiała téż Ofka, jako jéj dotyczący i niechcąc saméj puścić matki, zdążała za nią ku królowi, który na idące kobiety, strojne

i bogato przybrane, ciekawém spozierał okiem. Obu piękność czyniła na nim widoczne wrażenie, jednakże, choć siostrze księdza Jana i jéj córce, przystępu do siebie bliższego nie rad był dozwolić i cofnął się kilka kroków, dając poznać, by zdaleka stanęły.

Z równą ciekawością wdowa i córka jéj w króla się wpatrywały. Noskowa pochyliła się nizkim ukłonem, który Ofka powtórzyła za nią.

Piękne dziewczę przybrało poważny pozór twarzyczkę niewinną, oczy jéj tylko strzelały niepohamowane.

Stały tak milczące, nie śmiejąc przemówić pierwsze, gdy Jagiełło zagadnął:

— Cóż się tam u Krzyżaków dzieje? wielki wybór na wojnę?

— A!— łamiąc ręce poczęła Noskowa — ludzie mówią, że nigdy jeszcze takiego nie pamiętają. Co żyje ciągnąć musi. Co dzień nowe poczty przybywają z Niemiec. Siła ogromna. Pola około zamczysk, jak mrowiem okryte orężnemi ludźmi, zbrojownie wszystkie otwarto i wypróżniono. Zaklinają się i przysięgają, że nie włożą do pochew mieczów, dopóki nie zwyciężą i w Krakowie nie zawrą pokoju.

Jagiełło pobladł nieco.

— Kobieca to mowa — wtrącił ks. Jan. — Powtarzacie co na rynku w Toruniu słyszeliście.

— W. Mistrz — dodała, jakby nie słysząc Noskowa — pała gniewem wielkim, o pokoju i słyszéć nie chce.

Jagiełło milczał. Ofka przypatrywała się, ksiądz po chwili dodał:

— Bóg wielki, Bogu ufać i serca nie trwożyć.

— Tak się czyni — dodał Jagiełło cicho.

— Ja do stóp W. Królewskiéj Mości schylam się — dodał ks. Jan — o pozwolenie wolnego przejazdu i schronienie siostrze mojéj.

— Pójdźcie do pisarzów, znacie ich, niech glejt wydadzą, niech jadą kędy chcą.

Skłoniła się Noskowa. Król popatrzywszy długo, dał im znak, by odeszły. Ofka obejrzała się raz jeszcze za siebie i pobiegła za matką.

— Dziewczyna osobliwa — szepnął Jagiełło — coś nieczystéj siły ma w oczach.

Ks. Aleksandra ramionami ruszyła.

— Dziecko to jest — zamknęła.

Konie królewskie już czekały, sam na sam pozostawszy z bratem, księżna go daléj jeszcze uprowadziła pod drzewa, gdzie ich nikt podsłuchać nie mógł.

— Trwożę się — rzekła mu — nie można przed ludźmi pokazywać obawy, aby im serca nie odejmować, ale w mojém jest przerażenie wielkie. Zewsząd dochodziły nas do Płocka wiadomości o przygotowaniach Zakonu nadzwyczajnych. Nigdy tyle nie wysypali złota, nigdy tylu nie sprowadzili ludzi, tylu nie rozesłali szpiegów i posłów. Mają wszystko i wszystkich za sobą.

Jagiełło słuchając westchnął.

— Wiem o tém — dodał — i nie mniéj od was się trwożę, ale ludowi memu własnéj obawy wszczepiać nie chcę. Cóż począć? Panowie się na pokój nie godzą, Krzyżacy sami go nie chcą.

— Owszem oni go pragną — odezwała się księżna, dobywając papier z pieczęcią z za sukni i oglądając się wkoło. W. Mistrz pisze do mnie.... nie chce przelewu krwi chrześciańskiéj.

Oczyma prawie przerażonemi spojrzał król na list i cofnął się.

— Kto go przyniósł? — spytał.

Księżna pomilczała nieco, wahała się powiedzieć prawdy, a kłamać nie chciała.

— Ksiądz nic o tém nie wié — rzekła cicho, — kobiety te sekretnie mi go oddały.

Widać było, że król się wahał, chcąc list zabrać i tknąć się go obawiając; obrócił oczy, zdala

stał Zbiszek z Oleśnicy: skinął nań. Gdy nadszedł, pochylił mu się do ucha. — Weźcie list do siebie i nie okazujcie nikomu.

Zręcznie bardzo księżna papiér podała przybyłemu, król znowu dał mu znak do odejścia. Jagiełło był poruszony.

— Czemuż nie przyjmą warunków, jakie im panowie moi podają? — rzekł zniżając głos — ja cofnąć się nie mogę! jam zmuszony, ja poniewoli idę, bo miary dopełnili. Chytry Zakon wciągnął nas w tę wojnę, pewien zwycięztwa.

— Nakłaniajcie do pokoju, królewskie słowo wiele znaczy — mówiła księżna — jeszcze jest czas, jeszcze dla układów rozpoczęcie wojny przeciągnąć można.

— Wojna się już rozpoczęła pod Świeciem — odparł król cicho.

Księżna ręce załamała.

— Nasi zwyciężyli — dodał Jagiełło — lecz cóż znaczy jedna porażka i to pierwsza. Mówią, że to wróżba dobra, ja ją mam za nieszczęśliwą.

— Jestżeś pewnym Witolda?

Król z pod oka spojrzał, i nie odpowiedział nic.

— Nie jest-że on z nimi w zmowie?

— Będą czuwać nad nim — krótko dorzucił Jagiełło.

— Wisi nad nami miecz, który nas wszystkich zgładzić może — mówiła księżna — zwycięzcy nie przebaczą nikomu, najadą Polskę, zniszczą Mazowsze, złupią Litwę, w perzynę obrócą wsie i miasta.

— Alem ja nie wyzwał i nie chcę wojny, ja pragnę pokoju — powtórzył król oglądając się i ocierając pot z czoła — jam go dziś zawrzéć gotów. Czemuż odrzucają słuszne warunki?

— Więc zwlekać trzeba, zwlekać do ostatniéj godziny.

Konie zaczynały rżeć, a rycerstwo siadać, ruch wszczynał się na rozstajach.

Król téż spojrzał niespokojnie dokoła i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Losy wojny — rzekł głosem przejętym — nieodgadnione. — Kto wié, czy nie ostatni raz się widzimy. W duszy mam złe przeczucia, nic mi ich odjąć nie może. Módlcie się za mnie.

Ks. Aleksandrze nie mniéj poruszonéj, łzy płynęły z oczów, schyliła się do ręki brata, który ją ściskać począł milczący. Wszystek dwór księżnéj wysypał się z namiotów i obozowiska, patrzéć na rozstanie i odjazd dworu.

W gromadce kobiet stała Ofka z oczyma, jak-

by rozognionemi, któremi rzucała po wszystkich, drżała z jakiéjś niecierpliwości.

— Co ci, szalona dziewczyno? — szepnęła matka czując jéj poruszenia.

— Co mi jest? — na ucho poczęła mówić Ofka.— Oto-bym z nimi na koń siadła. Dałabym rok życia, dałabym dwa, żebym mogła pojechać w tym orszaku.

Noskowa odwróciła się aż strwożona i zlekka trąciła ją po twarzy.

— Milczałabyś nieszczęśliwa — odezwała się niespokojna, aby kto nie usłyszał, co ci się po głowie roi?!

— Siedziéć za piecem i nie widziéć co tam będzie! A! to nie do wytrzymania — powtarzała tupiąc nogami Ofka.

Właśnie królowi konia prowadzono. Koniuszy strzemię podawał, księżna szła aż do miejsca, zkąd wyruszyć miano, to łzy ocierając, to ręką śląc pożegnanie. Witold już na koniu siedział. Zaledwie Jagiełło spiął się na siodło, dwór pobiegł téż do swych koni i każdy co najśpieszniéj cugle zgarnąwszy, strzemienia nogą szukał, a drugi i bez niego na grzbiet koniowi skoczył. Zawrzało i zatętniało w tym tłumie, bo niektóre konie w las niosły, inne się spinały, kąsały się dzikie i biły

między sobą, dopóki silną ujęte dłonią, nie przyszły do porządku.

Ruszył tedy cały dwór, ustawiwszy się jak wprzódy, żegnając czapkami i głowami księżnę i dwór jéj, który coraz daléj występował na drogę.

Już czoło kolumny ciągnęło lasem, a za niém Jagiełło z Witoldem, dworscy, wojewodowie, rycerstwo, daléj konie, kolebki pańskie i wozy, i psy myśliwskie, i czeladź, i ciury.

Księżna zadumana stała z chłopakami swemi nade drogą, aż przeciągnęło wszystko i znikło w oddaleniu, a ksiądz Jan modląc się, żegnał ich długo krzyżem, który trzymał w ręku.

Naostatek umilkło w lesie i wozy księżnéj ładować do powrotu zaczęto. Noskowa téż z córką cofnęła się na bok ku swoim ludziom i koniom, stojącym daléj nieco w zaroślach. Tegoż wieczora zapowiedziany był wyjazd do Płocka. Kazano się toruńskiemu orszakowi Noskowéj do niego gotować, gdy ks. Jan przyniósł wiadomość nową, że księżna Aleksandra spocząć pragnie i noc w lesie spędziwszy, o brzasku dopiéro w dalszą wyruszyć drogę.

Jakoż wkrótce potém zwolna mrok padać zaczął, a ludzie się obwarowawszy od dzikiego zwierza i wszelkiéj napaści wozami, konie wziąwszy

we środek, sposobili się do spoczynku. Małe ogniska zostały tylko niedogaszone.

Rozstawione straże pilnowały obozu noc całą. Dzień się robił, i ludzie koło koni chodzić zaczynali, gdy od namiotu, w którym nocowała Noskowa, krzyk się dał słyszéć i płacz niezmierny. Wszyscy pobiegli dowiedziéć się, co się dzieje. Z rozpuszczonemi włosy, ledwie obrzuciwszy się odzieżą, z lamentem wielkim biegła wdowa do księżnéj namiotu.

— Córki mojéj nie ma! córkę mi porwano! — wołała.

Ruszyło się co żyło szukać śladów dokoła. Ks. Jan osłupiały z załamanemi stał rękami; młodsi na koń skoczyli, rozbiegając się na wszystkie strony. Nikt nie mógł pojąć, w jaki sposób od matki przy któréj spoczywała, nie rozbudziwszy jéj, mogła się dać porwać. Znikła, zabrawszy część odzieży, a co więcéj znikła znaczna część złota, w które wdowa na podróż opatrzoną była i znikł sam dowódzca straży z Torunia dodanéj, człek stary, siwy, ponury, milczący, ale z wierności swéj znany i ten któremu najwięcéj ufano.

Domyśléć się więc było już i matce saméj łatwo, że nie siłą pochwyconą została, ale po dobréj uszła woli. Dlaczego? dokąd? niepodobna było

odgadnąć, przypomniała sobie tylko Noskowa wczorajszy jéj wykrzyk, gdy dwór ruszał i rycerstwo, i padła na posłanie zalewając się łzami.

Nie było już mowy o czém inném, tylko o pogoni; ruszyli ludzie księżnéj i kilku z Toruńczyków, a obóz zwinąwszy, księżna rozkazała jechać do Płocka, dokąd Noskowa i ks. Jan za nią dążyć musieli.

* *
*

Im bardziéj zbliżano się ku granicom, tém surowiéj pilnowano porządku w ciągnieniu, a te tysiące ludu zbieranego po całym kraju i poza granicami utrzymać w karności i ładzie, nie łatwém było. Straże swoich własnych i od swych stawiać musiano, a karać bez litości niesfornych. Nie było noclegu prawie, na którymby mogiła nie pozostała zamordowanego w waśni, lub na drzewie nie zawisł winowajca bez pogrzebu. Ludzie się między sobą nie znali, i językiem a mową ledwie porozumiéć mogli. Obce twarze w tym tłumie ukazywały się nieraz, a opowiadały, że zbłąkały się od innych chorągwi. Zjawiali się ochotnicy zaciągający się na drodze, nadążali opóźnieni. Poza samém wojskiem wlokło się samopas idących ludzi wielu,

niby doń należących, w istocie jak krucy czatujących na zdobycz jaką, lub złą sprawę.

Choć wojsko się trzymało chorągwiami i ziemiami, coraz w nich nowe jawiły się twarze.

Rankiem w Żochowie, gdy hasło do zwijania namiotów otrąbiano, a w królewskiéj kaplicy dzwonek się dał słyszéć, z którym zakrystyan chodził do mszy wołając, właśnie pan Andrzéj z Brochocina miał już zbroję wdziewać, którą mu pacholę podawało, gdy w otworze namiotu zjawiła się postać zupełnie mu nieznajoma. Był to młodziutki chłopak, niepocześnie ubrany, ale bardzo pięknéj twarzy, lekko zaledwie uzbrojony, który z panem Andrzejem mówić pragnął, trochę zakłopotany i jakby czémś strwożony.

Brochocki Prawdzic był mąż stateczny, nie pierwszéj młodości, zawołany wojak, który więcéj życia spędził w obozach, niż w domu, gdzie gościem bywał. Prawy żołnierz, choć we dworze żonę i dzieci zostawił na Bożéj opiece, choć gospodarstwo całe też więcéj Opatrzności zdał, niż włodarzowi, ducha był niezłomnego i wesołéj twarzy. Śmiało mu się oblicze, bo czuł, że się do granic zbliżali, gdzie się ciągnienie owo ciężkie zakończyć a wojna rozpocząć musi.

Cała szlachta z jego ziemi uważała go niemal za wodza, bo im wszystkim przodował doświadczeniem i męztwem, a przebiegłością wielką. Postawy był prawie olbrzymiéj, kościsty, silny, twarzy krągłéj, bladawéj, oczu i włosów czarnych, ust rumianych, nieco wydatnych, a zarosły jak żubr, że mu tylko z brody i wąsów czerwone wargi uśmiechnięte, a po nad niemi oczy wypukłe i ogniste świeciły. Rubaszny był jak żołnierz i do żartu ochoczy.

Obaczywszy chłopaka, który się kręcił w progu namiotu, zapytał go raźnie:

— A co ci to? czego chcesz?

— Mam poufne słówko do Miłości Waszéj.

— Miłość moja zbroję wdziewa — zawołał pan Andrzéj — trąbią na konie, gdy masz mówić, mów a śpiesz.

Stojący w progu wskazał na pacholę, które pan Andrzéj wypchnąwszy z namiotu, w kaftanie jak był zbliżył się do młodego przybysza.

— Mów! — rzekł krótko.

— Uciekłem od matki, aby się do wojska zaciągnąć — rzekł chłopiec rumieniąc się — przyjmijcie mnie do pocztu waszego.

Rozśmiał się Brochocki, rozpatrując w przybyłym. Wziął go za ramiona i potrząsł nim.

— Swierszcz jesteś! — zawołał — gdzie ci to zbroję nosić: zgniecie cię na miazgę. Tfu! podobniejszy do dziewczyny, niż do żołnierza. Wracaj do pani matki i gęsi paś: lepiéj zrobisz.

Chłopak zakwitł jak wiśnia i do ręki Brochockiemu się rzucił.

— Mój panie! mój ojcze! ja muszę iść na wojnę.

— To cię znój, głód i niewczas zamorzy. Gdzieś musiałeś się chować w pierzynie, jeszcze ci nie czas. Probuj konia i kopii doma, a na przyszłą wyprawę....

Chłopcu się aż łzy z oczów potoczyły, lecz raczéj z gniewu, niż ze smutku. Podskoczył w głąb' namiotu za Brochockim.

— Wy mnie musicie wziąć! — zawołał — to darmo.

— Cóżeś ty za jeden? zkąd? utrapienie jakieś? — śmiejąc się pytał pan Andrzéj.

— Nie mogę powiedzieć — odezwał się przybyły. — Mam ochotę do wojny i rycerskiego rzemiosła. Imię mi Teodor, a jeśli chcecie nazwiska... to z Zaboru.

Ruszył ramionami napastowany.

— Cóż ty myślisz, jak stoisz, bez zbroiczki,

z mieczykiem, jak na ptaszki w pole iść! A konia masz?

— Koń jest, zbroję kupię i co trzeba.

— Kupisz? toś u pani matki grosza szarpnął: widzisz niegodziwcze.

— A cóż było począć? przecież to nie kradzież?

— Szalona pałka! — rzekł przypatrując mu się pan Andrzéj i obrócił go kilka razy we drzwiach namiotu. — Do czego się to zdało? Siły żadnéj, chrząszcz... w pierwszym lepszym ścisku, swoi cię zduszą: i na dziewczynę wyglądasz, jak Bóg miły.

Chłopiec się czerwienił.

— Gdybym chciał ulitować się nad tobą, na coś ty się mi zdał? niańki jeszczeby dla waszeci potrzeba. Sam jeden jesteś?— dodał Brochocki.

— Mam starego sługę.

— Dwie gęby więcéj? a tu i tak często nie ma co jeść!

— Ja się wyżywię sam.

— Matczynym groszem — śmiał się Brochocki — to mi zuch.

Wtém zatrąbiono po raz drugi. Pacholę nadbiegło oznajmując, że obóz się ruszać zaczyna i że na chorągiew niedługo przyjdzie koléj.

Brochocki więc co żywiéj poszedł zbroję wdziewać, lekką, jakiéj do pochodu używano. Myślał,

że chłopaka się pozbył, ale ten stał uparcie u namiotu.

— Mój ty Teodorku! — krzyknął — czy jak cię tam zowią, ruszaj zkądeś przyszedł, ja cię nie wezmę. Dlaczego chcesz do mnie przystać, kiedy tu tylu innych jest, co cię chętnie razem z pieniędzmi wezmą.

— Nie pójdę od was — rzekł chłopak — jak wola wasza, już-ci mnie nie odpędzicie. Wlec się będę choćbyście bili. Na pierwszegom was trafił, Opatrzność Boża. Tak sobie rzekłem, że gdzie mnie oczy zaniosą — zostanę.

— Prawdziwe utrapienie!— zawołał Brochocki — idź-że ty mi!

— Nie pójdę! — krzyknął śmiało Teodor.

Brochocki już zbrojną ręką zamierzył się uderzyć go po plecach, ale mu się go żal zrobiło. Byłby mu nieochybnie połamał kości, bo chłopię było mdłe i delikatne.

Splunął więc.

— A więc na koń, do licha! — rzekł nagle— jedź za mną, ale pamiętaj żem surowy, i to pomnij, że jeśli ci się co złego przytrafi, o co łatwo, sameś chciał.

— To wiem — rzekł Teodor całując go w rękę —niech się dzieje wola Boża: jadę za wami. Nie

zważajcie żem licho wybrany, kupię sobie napatrzywszy co potrzeba.

Ponieważ namiot zbierać było potrzeba i czeladź się zwijała około reszty rzeczy, wyszli więc na pole. Tu gotowało się jak w garnku, roiło ludem, zamęt był zwyczajny przy wyruszaniu i żegnaniu obozu. Krzykliwe głosy, i śmiechy, i klątwy latały w powietrzu. Brochocki postrzegł opodal stojące dwa konie. Odgadł, że należały do przybyłego i poszedł je zobaczyć. Przy jednym z nich stał z siwemi wąsami stary sługa. Konie były tłuste, ciężkie i silne.

Pan Andrzéj na starego począł gdérać.

— A po coś to dziecku do ucieczki posiłkował? hę? a godziło się to?

— Niech pan próżno doń słów nie szafuje— rozśmiał się chłopak,—ani jednego nie zrozumié: Żmudzin jest.

— *Kukutis!* — mruknął Brochocki — doskonale się do pary dobrali: jedno dziecko, a drugi niemy starzec. I na mnie to licho spaść musiało. Szczęście jeszcze, że ich karmić nie trzeba.

Na chłopaka, który konia dosiadał dosyć niezgrabnie, co stało dokoła patrzało: tak dziecinną, a raczéj kobiecą miał twarz.

Śmieli się niektórzy, markotno się zrobiło panu Brochockiemu i splunął.

— Jeszcze mnie kto oczernić gotów, że dziewkę za pacholę przebrałem!—mruknął. Tegoby jeszcze trzeba, żeby o tém jejmości doniesiono, toby mnie z domu miotłą wygnała za powrotem.

Wojsko z obozowiska ruszało, siadł i Brochocki na koń, już się nie bardzo troszcząc przybłędą: ani nań spojrzał do wieczora. Wieczorem nie spytał o niego, myślał, że się to albo gdzie zgubi, lub nastraszywszy drapnie do domu. Aliści nazajutrz rano chłopak się zjawił u namiotu. Wyglądał nieco inaczéj, bo już i zbroiczkę miał, i hełm lekki, i wszystko co żołnierzowi mieć przystało, a twarz znać sobie czémś umył, że mu zciemniała znacznie i kobiecéj téj białości nie miała.

Obejrzał go Brochocki wkoło i nie rzekł nic.

— Gdzieżeś to waszeć zdobył tak naprędce?—spytał późniéj.

— Ludzi tu siła—odparł chłopiec—każdy ma zbroi podostatkiem zapaśnéj, a nie wszystkim grosza staje: kupić tu łatwiéj, jak w mieście.

— Aby było za co!—wtrącił Brochocki śmiejąc się.

Choć sam pan Andrzéj na chłopaka niezbyt łaskawém patrzał okiem, w poczcie, do którego się tak trafunkowo przyczepił, przyjęli go towarzysze zrazu obojętnie, a drugiego, trzeciego dnia umiał się im podobać; młodość téż jego jednała mu serca: słowem, że go polubiono bardzo i choć go zwano i prześmiewano dziewczyną, przyjaciół miał we wszystkich. Wesołością, dowcipem i chętną szczodrobliwością najwięcéj sobie ludzi przyciągnął. Sypał pieniądze garściami koło siebie, poił i karmił, tak że mimo nieznanego nazwiska, mieli go za jakieś przebrane i utajone książątko.

Brochocki na to zdala patrzał, nic nie mówiąc; prawdę rzekłszy, nie było tam czasu lada czém się zajmować, bo wojna stała za pasem: wszystkim do niéj serca biły i wszyscy pytali się w duchu sami siebie, czém się ona skończy.

Na owe czasy, gdy z kilku tysiącami ludzi przedsiębrano wyprawy dalekie, przygotowania z obu stron były olbrzymie; łacno było przewidzieć, że na małéj utarczce skończyć się nie może.

Dwie potęgi zetrzéć się miały, na które cały świat zwracał oczy.

Żaden z sąsiednich krajów nie mógł wojska tak ogromnego wystawić, jakie z sobą Jagiełło prowadził. Sześćdziesiąt tysięcy rycerstwa szło

z Polski saméj, czterdzieści i dwa wiódł Witold z sobą ze Żmudzinami i Rusią, na czterdzieści tysięcy liczono Tatarów, a zaciąg z Czech, Morawy, Węgier i Szlązka przechodził dwadzieścia. Prawie sto tysięcy było pieszego ludu, reszta lekkiéj konnicy i ciężko uzbrojonego rycerstwa. Sześćdziesiąt ciężkich dział wlokło się za tą olbrzymią siłą.

Nie można było obrachować wojsk krzyżackich, nie dorównywały one jednak sprzymierzonym Jagiełły, chociaż przechodziły je niewątpliwie rynsztunkiem, wprawą i ładem. Trzydzieści i kilka tysięcy miał mistrz zaciężnego ludu z zagranicy, doskonałych wojsk niemieckich i pocztów gościnnych; — ale potrzebował obsadzić wielką przestrzeń granic, pozostawić w zamkach załogi i czuwać nad ogromną rozległością, nie wiedząc zapewne, zkąd nieprzyjaciel wtargnie. Dawniejsi sprzymierzeńcy książęta Mazowieccy i wielu innych, wypowiedzieli wojnę Zakonowi; a groźba króla węgierskiego i Inflantczyków przeciwko Witoldowi, nie bardzo Jagielle była groźną.

Wojska z Żochowa ciągnęły zaraz daléj ku granicom, które były już blizko, pojedyncze oddziały wyskakiwały potajemnie na łupieże i pożogi. W wojsku z wyjątkiem Tatarów i części Litwy,

którą w karności utrzymać było trudno, panował porządek surowy i powaga wielka na duchu. Dzień każdy zaczynał się od nabożeństwa, każdy niém kończył; pobożne pieśni rozlegały się po obozie i osiwiałych rycerzy klękających po dniu znojnym ze swoim ludem do pacierzy, widzieć było można wszędzie.

Zdawało się to niezmiernie dziwić młodego przybysza, który inaczéj sobie życie obozowe wystawiał. Często niedaleko od namiotu pana Andrzeja, przy którym się mieścił z pocztem jego, rozbijano drugi dla biskupa Wojciecha z Kraszewa Jastrzębca (poznańskiego). Poważny starzec gromadził zaraz lud, zagrzewając do modlitwy.

— Zaprawdę—mówił wesoły chłopak do towarzyszów—u was w obozie, jak w klasztorze, a zakonne rycerstwo krzyżackie pewnie się tak nie modli i tak ściśle godzin jak wy nie pilnuje.

— Za to nas w czambuł poganami nazywają!—odpowiedzieli śmiejąc się towarzysze.

Trzeciego dnia stary sługa, którego z sobą ów młokos przyprowadził, z noclegu zniknął. Nie można wiedzieć było czy się gdzie zabłąkał, i zwadziwszy został zabity, o co nie było trudno, czy zatęskniwszy do domu uszedł. Chłopak nie zda-

wał się tém bardzo dotknięty, drugiego sobie ciura nająwszy, aby mu około konia chodził.

— Stary Żmudzin—rzekł do towarzyszów—zanudził znać, że nie miał się z kim rozmówić; może do domu drapnął, a innego mi w swe miejsce przyśle.

A że nie było komu już pieniędzy, które z domu zabrało pacholę pilnować, Teodor zaniósł je Brochockiemu, prosząc by je przechował. Trzos był ciężki, i pan Andrzej poważywszy go na dłoni, rozśmiał się.

— Opatrzny z waszeci chłop—rzekł—matusię dobrze skrobnąłeś, ale tego na wyprawę nie będzie nadto, gdy konie zaczną zdychać.

Stanął obóz pod Jeżowem, gdy dano znać, że Węgrowie przybywają o pokój traktować. Rozeszła się wieść po wojsku błyskawicą, a że Teodor był ciekawy wszelkiéj nowości, wyprosił się z drugimi popatrzéć ku królewskim namiotom.

Wojsko zalegało przestrzeń tak ogromną, że jéj okiem objąć nie było można. Królewskie obozowisko stało na boku wzgórza, gdzie i kaplica i Witoldów namiot i pisarze pańscy, i co przedniejszego się gromadziło.

Wjechali panowie węgierscy, wiodąc z sobą Szlązaka Jerzego Gersdorfa, który u Krzyżaków

gościł, a miał polecenie rozpatrzéć się w wojskach i sile Jagiełły.

Teodorek z towarzyszami poskoczył ku drodze, kędy panowie jechali, ale Gersdorfa zoczywszy, cofnął się rychło i za innych skryć usiłował.

Poczęli zeń żartować, że się brody Ściborowéj uląkł. A co dziwniejsza, Szlązak ów zobaczywszy chłopaka, jak osłupiały stanął. Pomimo, że się chłopię zasłonić starało, podjechał ku niemu, wpatrując się bacznie.

Z początku się to zdało dziwném towarzyszom, lecz Teodorek im szepnął, że Gersdorf znał jego rodzinę i zamyśliwszy się postąpił odważnie naprzeciw. Węgierscy panowie szli do namiotu króla, Szlązak pozostał z oczyma w chłopaka wlepionemi.

Naostatek zbliżył się ku niemu.

— Zkąd wy, z przeproszeniem?—spytał—i co za jedni?

— Z pocztu pana Andrzeja z Brochocina—rzekł chłopak, uśmiechając się — dlaczegoż to pan pyta?

— Twarz mi się waścina zbyt podobną do znajoméj wydaje, ale małoż to do siebie podobnych?

— A pewnie—rzekł chłopak podchodząc do

Gersdorfa i przeprowadzając go ku namiotom.— Z pozwoleniem Miłości Waszéj, do kogoż to we mnie widzicie podobieństwo?

Gersdorf się rozśmiał.

— Nie mogę wam tego powiedzieć, bobyście się młody rycerzu, pogniewali na mnie.

Gersdorf był człek chytry i przebiegły, z oczów mu to patrzało; udawał towarzysza obojętnego panów węgierskich, a oczyma chciwie na wsze strony rzucał, więc téż rad był może, iż chętnego młokosa złapał, aby z niego co wyciągnąć.

Chłopak równie zdawał się z tego zadowolniony, jak to u młodzieży nie nowina, byle świeżą zabrać znajomość.

Rozmawiając odeszli nieco od stojących kup, co się ciekawie przypatrywały wjazdowi posłów.

— W. Miłość, panie Gersdorf—rzekł żwawo chłopiec, gdy dosłyszanemi już być nie mogli.

— A zkąd o mém nazwisku wiecie?—spytał zdumiony Szlązak.

Teodor się uśmiechnął figlarnie.

— Gdzieś tu w tłumie mi ktoś je powiedział, W. Miłość ciekawi pewnie jesteście naszéj potęgi. Jak mrowia nas tu. Wszakci do króla nie pójdziecie, chodźcież za mną.

— Dokąd? — zapytał Szlązak.

— Niedaleko—rzekł chłopak wskazując wzgórze — z wierzchołka téj wyniosłości będziecie mogli, jeśli nie policzyć, to choć okiem objąć ten lud, który idzie z nami. Myślicie, że drugie tyle będą go mieli Krzyżacy?

Gersdorf milczał niedowierzająco. Chłopak, który się już z obozem zapoznał, powiódł go między namiotami, sunąc się przez lud i konie, przeciskając zręcznie, aż na sam wzgórza wierzchołek. Tu dla upałów nie rozbijano namiotów, więc przestrzeń znaczna dosyć, piaskiem i jałowcami okryta, pustą była. Stanęli na niéj tak jak sami.

Widok jaki się z góry przedstawiał, najbardziéj oswojonego z rycerskiemi pochody i wojnami, mógł wprawić w zdumienie.

Było to jedyne miejsce może, z którego rozlane na niezmiernéj płaszczyznie obozy obejrzéć było można. Równina ku stojącym w dali lasom ciągnęła się jak okiem sięgnąć i jak wzrok sięgał, cała była ludem usłana. Gersdorf ręce załamał.

Widać ztąd było tabor królewski, Mazurów, obozowisko Tatarów i Rusi; namioty, szałasy, ognie, pasące się konie, utkwione w ziemię spisy ze znakami, wiechy, złożone w kupy długie kopie

polskiéj jazdy, całe sznury wozów z kulami, żywnością i zapasami.

Gersdorf obrócił się w drugą stronę, i zewsząd ujrzał to niezmierne mrowisko okalające górę, z którego głuchy szmer, kiedy niekiedy okrzykami przerywany się unosił.

W ogromnéj dali widać było kupy konne, które się rozbiegały ku lasom i nikły w pyłu tumanach.

Kilka krzyżów błyszczących wetkniętych nad namiotami, oznaczały kaplicę króla ogromną, Wojciecha z Kraszewa biskupa poznańskiego i innych chorągwi. Majestatyczny widok ten dwukroć stotysięcznego ludu, stojącego niemal już na granicy dla obrony swéj ziemi od najazdu, zamknął usta Gersdorfowi. Stał osłupiały.

Towarzyszący mu chłopak przerwał nagle milczenie głosem drżącym.

— Nie pytajcie mnie—zawołał—ani kto jestem, ani co tu robię, ani się domyślajcie nawet; dosyć wam wiedzieć, żem życie i cześć stawił, aby Zakonowi służyć.

— Zakonowi!—zawołał Gersdorf cofając się—co mówisz?

— To co słyszycie: wy także mu służycie—dodał żywo chłopak.—Dlategom was tu pierwsze-

go przywiódł, abym wam tę potęgę ukazał. Słyszałem, że W. Mistrz lekko ją sobie waży, iż ją tłumem nędznym nazywa. Patrzcież dobrze, byście mu sprawę zdali.

Gersdorf podwójnie zdumiony, i widokiem i mową, przyjść do siebie nie mógł.

— To nie zwykła wojna, co się kończy grabieżą i spaleniem kilku wiosek—podchwycił Teodor,—to szarańcza co leci na ziemie Zakonu i źdźbła na nich nie zostawi.

Gersdorf się wstrząsł.

— Ale kto ty jesteś chłopcze?

— Na co ci to wiedzieć?—smutnie się uśmiechając dodało pacholę—zanieś tam wieści, które już i z innych stron odebrać musiano? Ale czy im Zakon uwierzy? Policz oczyma ile to tu tysięcy ludu? jaka to nawała stoczy się na krzyżackie kraje. Macież wy tyle, aby stanąć przeciw nim murem?

Szlązak wciąż patrzał oczyma chmurnemi.

— Naszych stu zakonnych braci—dodał—popędzi tych tysiące: zbroi nie mają, żelaza im braknie i. . serca!

Chłopak się począł śmiać, ręką wskazał na prawo, gdzie się zwijała i warczała dzicz tatarska.

— Tam może!—rzekł—to dzicz, ale chciwa łupu i mnoga, a tu—odwrócił się w lewo ku rycerstwu polskiemu, którego zbroje świeciły na słońcu—i serca, wierzajcie mi, są, i koncerze i zbroje.

Dziwna ta rozmowa pacholęcia, któremu się coraz baczniéj przypatrywał Gersdorf, byłaby się dłużéj przeciągnęła, gdy na wzgórze nadbiegli ludzie z pocztu Brochockiego i otoczyli Szlązaka i Teodora.

— Tam—rzekł jeden—szukają was, Miłościwy panie, na obiad do króla, do którego i panowie Węgrowie proszeni.

— A traktowanie?—spytał Gersdorf.

— W wojsku słychać, że król je kilku słowy odprawił; więcéj nic nie chce jak zwrotu ziemi Dobrzyńskiéj i Żmudzi, a za ubytki co Zygmunt przysądzi.

Zamilkł Gersdorf, skinął swojemu towarzyszowi ręką i począł schodzić ku namiotom królewskim.

Młodzież na wzgórzu pozostała, ciesząc się wojsk widokiem, w których ruch wielki panował. Szczególniéj na prawém skrzydle u Witolda kręcili się ludzie, bo ich ze zmieszanych kup dobiérano i ustawiano w szeregi, dzielniejszych na przo-

dzie, słabszych za nimi. Rozdawano znaki, do których się kupić mieli i zdala widać było na tykach rozwijające się różnobarwne chorągwie, malowane w bramy, pogonie i słupy. Każdą z nich witał lud okrzykiem, który się po obozie rozlegał.

Jeszcze stali na pagórku, wpatrując się w ten widok, gdy już obiad się znać w namiocie Jagiełły skończył, i wszystko z niego ciągnęło na toż samo wzgórze. Chciał król, nie tając swéj potęgi, pokazać ją panom węgierskim. Główny wódz tych sił szedł w szarym swym płaszczu i kapeluszu ze słomy, wydając się pośród orszaku jednym z ostatnich; ale na twarz jego, gdy wstąpił na wzgórze i objął oczyma okolicę, wystąpił rumieniec i uśmiech.

Węgrowie oba i Szlązak w ponurém milczeniu stali.

Stał téż nieco opodal miecznik krakowski Zyndram Maszkowiec, herbu Słońce, jeden z najdzielniejszych rycerzy i dowódzców, który króla w dowództwie samego zastępywał. A gdy obejrzeli wkoło obozowisko, skinął nań Jagiełło, dając mu znak. Małego wzrostu, ale krzepki i wejrzenia bystrego człek, ledwie postrzegł rękę króla wzniesioną do góry, wnet z pagórka schodzić zaczął. Poniżéj stali z różnych chorągwi ludzie,

trębacze i obożni. Zyndram powtórzył ów znak i naraz ozwały się najprzód u stóp góry, a potém daléj i daléj po obozie całym, jakby głosy sobie podając, trąby i bębny na trwogę...

Wszystka ta fala głów ludzkich, jak morze wiatrem nagle wzdęte, poruszyła się, zakipiała. Widać było kupy biegnące do koni i rozpierzchłe tłumy zbijające się w szeregi, w górę podniesiono znaki, co żyło skupiało się przy nich. Zagrzmiały hasła ziem i rodów, gwar ogromny rozniósł się po powietrzu.

Był to znak na trwogę dany, aby Węgrom pokazać, jak też to wojsko, które Krzyżacy hałastrą zwali, ładu i porządku pilnować umiało. Jagiełło stał i nie upłynęło kilku pacierzy, gdy u stóp wzgórza poczęły przeciągać już w ściśnionych szeregach chorągwie, witając króla. Mogli Węgrowie napatrzéć się zbroi i hełmów, i kopij i mieczów, rozlicznych znamion, i rosłego a barczystego ludu, idącego z dzielnością wielką.

Przeciągały tak jedna po drugiéj chorągwie i pułki, a posłowie milczeli.

Ścibor miął w ręku długą brodę.

Gersdorf wyciągał palce, które mu w stawach trzeszczały.

— Najjaśniejszy Panie!—ozwał się wreszcie, skłaniając głowę przed Jagiełłą—widzimy już jak wielka jest twoja potęga, i że jéj się lekceważyć nie godzi; niechże ona ku chwale krzyża obróconą będzie, a nie przeciwko niemu! Godziż się ją słać na Zakon Chrystusowy?

— A godziż się Zakonowi Chrystusowemu zabiérać cudze ziemie?—odparł król krótko.—Jam człowiek prosty, ale mi codzień kapłani Ewangelią czytają; nigdzie w niéj nie znalazłem, aby Zbawiciel nietylko nakazywał, ale dozwalał najeżdżać spokojne kraje i krew niewinną rozlewać.

Zamilkł Gersdorf i inni. Słońce zapadające już jaskrawo oświecało najwspanialszy widok, który raz w ciągu wieków ziemia ogląda. W milczeniu uroczystém stał król posępny niemal.

Pomimo własnéj jego potęgi, tajemnicza, nieobliczona Krzyżaków moc, trwożyła go jeszcze. Nie wierzył sobie, w świeżo nawróconém sercu budziła się trwoga, aby Bóg chrześcian nie mścił się za tych, co się zwali dziećmi Jego.

Długo trwało wojska ciągnienie, aż znużony król, i dwór i posłowie, poczęli schodzić ku namiotom.

Był to dzień niedzielny i w kaplicach na nie-

szpór dzwoniono, chórem odzywały się pieśni do N. Panny.

Na całą noc spiesząc puścili się posłowie, którym dano osłonę aż do granic.

Nazajutrz rano zwinięto obóz, który stać nie mógł, ani czekać, i tabory sunęły ku Będzinowi nad Wkrę. Tu się okazało, jak niezmiernie trudno jest tłumy utrzymać w karności, gdy je wojenny szał ogarnie. Witoldowi Tatarowie po swojemu rozpuścili zagony, mordując, paląc i niszcząc, bo im ktoś podszepnął, iż tę ziemię trzymali Krzyżacy. Wygnane z wiosek pożarem i mordem kobiety, wpadły z jękiem do obozu: poruszyły się serca.

Ks. Mazowieccy, do których owa ziemia należała, podnieśli krzyki i narzekania; poszedł do króla biskup Wojciech, zbiegło się rycerstwo oburzone, grożąc, że pójdzie precz do domów, jeśli dzicz nie zostanie pohamowaną. W obozie stał się rozruch groźny Biskup Jastrzębiec dla zbiegłych niewiast i dzieci namiot swój odstąpił, inni nieśli im chleb i słowa pociechy, pognano zaraz z rozkazu Witolda za rabusiami, uwolniono jeńców i obdarzonych do domów odprawiono.

Tu biskup Wojciech nie chcąc więcéj patrzéć na obraz zniszczenia i mordów, jako mąż pokoju

pożegnał króla i wojsko. któremu aż do granic towarzyszył i nazad ku domowi zawrócił.

Widok tłumów zbiegłych ze wsi okolicznych, króla zaniepokoił. Spadła wina na Witolda i jego niesforne chorągwie, a w koronnym obozie nie prędko ukoiło się oburzenie.

Wojska wkroczyły za Będzinem w ogromną puszczę, która granic broniła. Nietknięty ten las odwieczny, cieniem swym przysłonił od upału i dał wytchnąć nieco. Tuż leżała rubież krzyżacka, i gdy się dęby rozstępować zaczęły, a pola i kraj ukazał nowy, król jadący z Witoldem, widocznie wzruszony konia zatrzymał. Jeszcze kroków nie wiele, a rozpocząć się miała wojna z nieprzyjacielem chytrym, ostrożnym i wytrwałym.

Przed nimi rozwijała się równina wielka, zieleniejące pola pokryte gdzieniegdzie zaroślami, i łąki.

Wodzowie i dwór skupił się cały przy Jagielle: była to chwila uroczysta. Drożyna ledwie dostrzeżona dzieliła od nieprzyjacielskiego kraju. Rycerstwo hełmy wznosiło do góry z okrzykiem. Stały w szykach chorągwie i tu dopiéro podniosły się nad niemi rozwinięte godła i znaki.

Każdy z wodzów stawał na czele przy chorągwi, kapłani w komżach święcili je. Chorą-

żowie wznosili je do góry, a rycerstwo klękało do modlitwy.

Królowi Jagielle podano chorągiew wielką z orlem. Wzruszony łzy miał w oczach, powtarzając za kapłanem słowa, które razem z nim w téj chwili wojsko całe odmawiało.

. . . . „W imię Twoje, Boże, w obronie sprawiedliwości i narodu mego, chorągiew tę podnoszę. Ty, litościwy Boże! racz być obrońcą i pomocą mnie i ludowi mojemu, a krwi chrześciańskiéj niewinnie przelanéj nie na mnie racz poszukiwać, ale na tych, którzy obecną wojnę wzniecili i dotąd ją podniecają.”

Gdy po odmówionéj modlitwie wstało rycerstwo, zanucono Bogarodzicę. Sto tysięcy ust śpiewało ją i zagrzmiała jak głuchy grom po dolnie, płynąc ku krzyżackiéj ziemi.

Razem z innymi stanęło pacholę pana Brochockiego blade i wylękłe niemal. Spojrzeli nań towarzysze, a pan Andrzéj widząc twarz zmienioną, i przypisując to znużeniu, ulitowawszy się chłopięciu, sam się zbliżył ku niemu.

— Co waszeci jest, młode rycerzątko?—zapytał—jeśli ci serca zabrakło, czas nazad do boru, dziecko moje. Dotąd szliśmy krajem swoim, od dziś wchodzimy w nieprzyjacielski; nie ma tu już

żartów, a kto siły nie czuje, albo męztwa, lepiéj pod strzechę, niż na srom.

Teodorek się zarumienił i z bladego jak mur, stał się czerwonym jak wiśnia.

— Sromu nie uczynię — zawołał — ni sobie, ni wam, ale gdy zagrzmiało wojną i śmiercią, pomyślałem o krwi, która się lać będzie i serce mi się ścisnęło.

Dziko spojrzało chłopię na pana Andrzeja, który nie wiele na oczy jego zważał. Poklepał go po ramieniu.

— Słyszę, że ci aż dwóch sług znowu przybyło? — zapytał — czy przywieźli ci dobre słowo od matki?

Teodor milczał chwilę.

— Matka nie wié o mnie — rzekł — ludzi mi nadesłał stary mój, co ztąd uszedł.

— I znowu słyszę takich, co się z nikim rozmówić nie umieją, a do kata, na Niemców wyglądają.

Chłopak zamilkł. Wojsko z tą pieśnią i okrzykami ciągnęło daléj, a tu już niczém niepowściągnione, chciwe oczekiwanych łupów tłumy Witoldowe, rozlały się znowu po kraju.

Na noc stanęły wojska pomiędzy dwoma jeziorami, na piaszczystém błoniu pod Ludborzem,

a gdy słońce zaszło i mrok gęsty osiadł na ziemi, zdala na ciemnych niebiosach ze wszech stron poczęły się roztaczać łuny krwawe. Wojna słała przodem swe gońce: paliły się wsie krzyżackie.

Niekiedy przygasały te ognie, to unosiły się i kłębiły dymami czerwonemi ku górze, i zdawało się wśród milczenia nocy słyszéć jęki i płacze.

Nocy téj młode pacholę nie spało.

Siadłszy przed namiotem, z oczyma wlepionemi w pożarne łuny, skamieniałe przetrwało do późna. P. Andrzéj obchodził swoją chorągiew, gdy dostrzegł chłopca, który zadumawszy się, nie widział swojego dowódzcy. Brochocki stanął i wlepił w niego oczy długo, aż zbliżywszy się, po ramieniu uderzył. Przestraszony porwał się z iskrzącemi oczyma Teodor i poznawszy starszego stanął w milczeniu.

— Co ci to dziś jest? — zapytał nadchodzący — wojna ci już nadojadła widzę, nim się poczęła! Nie w swoję się rzecz wdałeś, dzieciaku. Spać do namiotu!

I chłopak zniknął, wsunąwszy się szybko za płócienną ścianę.

Lecz nocy téj połowę obozu téż snu nie skosztowało, a ranek wielkim się rozruchem zwiastował. Tatarska dzicz wyrwała się była przodem,

aby piérwsze łupy pochwycić. Dodnia przyszła wieść do Zyndrama Maszkowskiego, któremu król zdał nad całém wojskiem władzę, że Tatarzy okrutnych gwałtów dopuszczali się w okolicy. Rabowano kościoły, znieważono hostyę, trupami dzieci i niewiast zasłano gościńce; na przebudzenie Jagielle przyszli zwiastować pobożniejsi rycerze, iż w wojnie takiéj, obawiając się pomsty Bożéj, służyć nie chcą. Król pobladł załamując ręce. Posłano do Witolda. Zebrała się rada, niepokój wielki wszczął się po obozie. Opowiadano straszliwe dzieje nocy, a tuż nie poczuwając się do grzechu, nadciągać zaczęli Tatarowie, na postronkach ciągnąc lud okrwawiony, do siodeł i wojłoków poprzywiązywane wiozą kielichy i sprzęty kościelne. Jeden jechał w ornacie na ramiona narzuconym, na głowę włożywszy misę srebrną kościelną, inny omdlałą dziewczynę przewieszoną przez konia uwoził.

Na ten widok wrzask zgrozy się podniósł okrutny, obstąpiono Tatarów, przypadł Witold. Wojsko stało u skraju starego lasu, z którego kilka dębów osamotnionych tylko sterczało wśród obozowiska. Poruszenie rycerstwa było tak groźne i wielkie, iż je tylko doraźna a straszna sprawiedliwość uśmierzyć mogła.

Książe Witold podjechał sam z przyboczną strażą ku pędzonym i przestraszonym już wrzawą, jaka ich witała, łupieżcom. W mgnieniu oka ściągnięto ich z koni. Tłum rycerstwa otoczył hołotę drżącą; nie było rozpraw długich, bo Witold czuł, że na nim ciąży wina tych zbytków. Dwom najwinniejszym wystąpić kazał. Całe wojsko patrzało. Ściąć nie było ich komu, powiesić najnędzniejszy ciura nie miał ochoty, aby rąk nie pokalać.

Ogromna gałąź dębu zwisła nieco, stala nad ich głowami. Witold kazał im rzucić sznury.

— Na gałąź zbójcy! — zawołał.

Z pośpiechem niezmiernym dwaj Tatarowie z ziemi podnieśli sznury i wiązali już pętle. Witold stał.

— Prędzéj! — krzyknął podnosząc rękę.

— Prędzéj! — słyszysz? — powtórzył jeden z winowajców do drugiego — prędzéj! Widzisz jak kniaź gniewny. A nu prędzéj...

To mówiąc, pierwszy z nich pętlę założył na szyję, siadłszy na gałęzi, skoczył w dół i zawisł. W téjże chwili, drugi nie dając się wyprzedzić, sznur ściągnął, rzucił się – wisiał. Reszta leżąc na ziemi, błagała o życie.

Milczenie głuche objęło obozy.

Na ramiona towarzyszów spiąwszy się młody ochotnik, patrzał na ten obraz zarazem dziki, dziwny, śmieszny i okrutny; w chwili gdy winowajcy na sznurach okręcając się dogorywali, zakrył sobie oczy i jak nawpół omdlały osunął się na ziemię. Inni się śmieli.

Szczęściem, téj chwili słabości pacholęcia nie widział nikt, a chłopak mógł się znowu wcisnąć ukradkiem do namiotu, nie będąc postrzeżony.

* * *

Jeszcze leżało wojsko na granicy, król zdawał się ociągać; czuł że wszystko ważył: koronę, życie, kraj.

Codziennie wysyłani szpiedzy donosili, że krzyżacki obóz stał w pogotowiu nad Drwęcą, że siła w nim była niepoliczona, że wszystkiemi językami ziemi mówił z całego świata pościągany żołnierz krzyżacki, że ze wszystkich grodów co było dział pościągano, że kul kamiennych leżały góry, że brzegi rzeki ostrokołami obwarowano. Siano zawczasu w wojsku trwogę. Nie można było dośledzić, kto wieści przynosił, kto je po wojsku rozsypywał, a z każdym dniem rosły baśni o niezmożonéj potędze Zakonu. Mówiono o przysłanych z Je-

ruzalem relikwiach wielkich, które im zapewniać miały zwycięztwo.

W wieku tak wiary pełnym, przerażała więcéj ta siła nieobliczona, ta niebieska potęga, niż tysiące zbrojnego ludu. Jagiełło dumał posępnie, ale nie czas było się cofać, ani wahać.

Pokój był niemożliwy i sromotny, należało zginąć, lecz trzeba było walczyć. Witold, który Krzyżaków znał dobrze, dodawał serca.

Następnego rana do namiotu pańskiego zwołano radę. Komu nad tym ludem, jakiego te ziemie nie widziały, dać dowództwo? Słynęli naówczas Czesi i Morawianie z umiejętnego ciągnienia i zakładania obozów, król niemal pragnął oddać jednemu z nich dowództwo naczelne.

Słońce wschodziło, gdy z namiotów swych wpół zbrojach poszli na zawołanie przedniejsi panowie, a na czele ich książe Witold najdzielniejszy i najwprawniejszy ze wszystkich w wojnie z Krzyżakami, z którymi to się bił, to przyjaźnił od dzieciństwa.

Lecz Witold do rady i do zarządzania takim ludem nie chciał się jąć: miał dosyć, by swoich utrzymać i nimi dowodzić. Szedł tedy za księciem Zyndram Maszkowski, miecznik krakowski, człek mały, szpakowaciejący, silny i bystrego wej-

rzenia, na którego już wszyscy niemal jak na wodza patrzyli.

Szedł Krystyn z Ostrowa, kasztelan krakowski, żołnierz nieposledni i człek powagi wielkiéj, i Jan z Tarnowa Leliwita, z rodu, który się sławił rycerską sprawą i jéj jednéj pilnował, ale w radzie téż głową najmędrszym sprostał; i Sędziwój z Ostroroga wojewoda poznański, do dowództwa nawykły, i Mikołaj z Michałowa Sandomirski i Mikołaj podkanclerzy mąż do pióra, rokowania i rady w zawikłanych sprawach zdolny, i marszałek królewski Zbigniew z Brzezia i Piotr Zaprzaniec z Pieskowéj Skały, podkomorzy krakowski.

Kołem stanęli około króla, który siedział na stołku jeszcze, bez zbroi, a frasobliwą miał twarz, jaką prawie przez cały ciąg wyprawy zachował.

Powitał ich Jagiełło ręką.

— Posłaliśmy — rzekł — raz ostatni zapytać panów węgierskich, ażaliby była jaka pokoju nadzieja; pojechał Piotr Korcbog, ale żeby przywiózł co dobrego, wątpię.

— Miłościwy Panie — wtrącił Jan z Tarnowa — najgorszą-by nam uczynił przysługę, gdyby pokój zwiastował. Teraz, gdyśmy się na wojnę wybrali jako nigdy jeszcze, raz skończyć potrzeba.

Cóż po pokoju, który oni złamią, gdy im będzie dogodniéj?

— A jednak, z krzyżem walczyć nie chcę — odezwał się król.

— I z krzyżem my się bić nie będziemy, ale z Niemcem, a to jest wróg przysięgły rodów słowiańskich, których ziemię zajął, wytępił z niéj ludzi i tępić ich nie przestanie, dopóki żyw.

Jagiełło ręką milczenie nakazał.

— Radźcież, waszmość, ilu was tu jest — rzekł — bo ja na moją głowę losu tych wojsk brać nie chcę. Radźcie i prowadźcie.

— Nie łatwo to — odparł Zyndram — ale porządku trzeba i surowości.

— Stoimy już niemal przed nieprzyjacielem— wtrącił Sędziwój.

— Czuć go, jeśli nie widać! — rzekł Witold.

— Dotąd szliśmy własną ziemią i godziło się dać trochę swobody ludziom, teraz-by ona była zgubną.

— Nie ma ładu, gdzie nie ma głowy jednéj; dziesięć rozkazów, gdyby najlepsze były, zamęt sprawią: jednego trzeba, aby wiódł i rozkazywał. Temu ja władzę zdam chętnie.

Spojrzał na stojących, wszyscy téż po sobie patrzyli, ale każdy drugiego oczyma wskazywał.

— Zdaniem waszém, czyjéjże tu dłoni cugle

zwierzyć! — zawołał król i popatrzał na miecznika krakowskiego.

Wszyscy zgodnie też oczy zwrócili ku Maszkowskiemu.

— Tak jest, dał dowody, że rozumié sprawę: niech rozkazuje — rzekł król rękę ku niemu wyciągając.

Chciał się wymawiać miecznik, ale mu słowa rzec nie dano.

— Rozkaz pański! — rzekł Jan z Tarnowa— usłuchać go i milczéć trzeba!

— Jednéj tu głowy zamało, by wszystkiemu podołała — odparł Zyndram — ja nie wodzem, ale panów Rady ręką prawą będę.

— Słusznie— rzekł Jagiełło— niech wszyscy radzą, niech jeden wykonywa.

— Ks. Witoldowi to przystałoby — odezwał się Zyndram.

— Nie — odrzekł Witold — panowie koronni złém-by na mnie okiem patrzyli, a ja mam dosyć moich bojarów, by ich w ryzie trzymać.

— Radźcie nie zwłócząc — rzekł król.

— Pierwsza rzecz—zawołał Zyndram— ład.. jeszcze go nie mamy. Trzeba surowe rozkazy po wojsku otrąbić, aby nikt nie śmiał samowolnie ru-

szyć z obozu, ani się na swą rękę wyrywać, dopókiby hasło nie było dane, gdy marszałek Zbigniew z Brzezia chorągiew królewską podniesie.

— Trąbi i hasła daje komu się zamarzy — przerwał Jan z Tarnowa — niechże tego nadal nie będzie, niech nie śmié nikt oprócz trębacza królewskiego dawać znaku.

— Nie może być, aby jedno trąbienie starczyło — mówił Zyndram — troje trąbienia ustanowić należy. Na piérwsze zagranie o świcie, a choćby i nocą na trwogę, aby się wszyscy mieli do koni i zbroi; na drugie niech siodłają konie i zwijają namioty, a za trzeciém hasłem rycerstwo w gotowości być ma do ruszenia.

Na to się wszyscy zgodzili.

— Nikt z nas tych pruskich ziem nie zna lepiéj — dodał Zyndram — nad W. kniazia Witolda, który je stokroć wszerz i wzdłuż przerzynał.

— Alem pamięci nie pewien i sobie nie wierzę, gdzie o powodzeniu dwustu tysięcy ludu idzie — odezwał się Witold — trzeba przewodników.

— Tych mamy — rzekł Zyndram — wcześnieśmy się o nich postarali.

— Co zacz są?— spytał Jagiełło.

— Prości ludzie: Trojan z Krasnego stawu

i Jan Grünwald, wójtowie parczowscy, oba z Prus rodem.

— Niech ich tu przyprowadzą — rzekł Jagiełło — często z oczów ludzkich więcéj się dowiedzieć można, niż z powieści.

Poszedł tedy Zyndram do płotka w namiocie i uchyliwszy go dał znać służbie królewskiéj, aby onych Prusaków przywiedziono.

Cicha rozmowa wiodła się między panami, gdy podniesiono zasłonę i dwóch z prosta ubranych, w kapotach, mężczyzn z ogorzałemi twarzami, z długiemi włosy, wprowadzono przed króla. Ci od tego poczęli, że do nóg mu upadli.

Zaczął im tedy mówić podkanclerzy ks. Mikołaj o wielkich obowiązkach jakie na siebie brali, o wielkiéj zasłudze, lub wielkiéj winie, na jakie zarobić mogli.

— Żadnemu z was chleba na starość nie zabraknie — odezwał się król — byle służba wierną była.

— Miłościwy panie, a ojcze — rzekł śmielszy Trojan — obaśmy, Janasz i ja rodem z tych krajów, oba je znamy, przeszedłszy nieraz pieszo, tak że każdą rzeczułkę i ścieżynę, i bór i kałużę po nocy znaléźć możemy; a resztę Bóg miłościw zrządzi.

Kazano im tedy zaprzysiądz zaraz na krzyż i Ewangelią przed ks. podkanclerzym na wierne służby, co też uczynili, i w gotowości być dniem i nocą dla wskazywania drogi. Tu obradzono i obmyślono też dalszy pochód ku Drwęcy, bo nikt już ściągać dłużéj nie chciał, dla samego żywienia tak wielkiéj wojsk liczby, co nie łatwo przychodziło.

Kędy przeciągnęły te tłumy, końskie zęby i kopyta nie zostawiły ani trawki, studnie stały suche, a żywności naokół kęska-by nie znalazł. Więc w imię Boże iść, a wojnę rychło kończyć było potrzeba. Król jeden jeszcze się na panów węgierskich oglądał; w innych gorzały już dusze do boju.

Tego dnia na noclegu pacholę królewskie, jeden z najulubieńszych jego, Janko Dobrek, który od dni kilku, dochwyciwszy się wody, zgrzany zachorzał mocno, w gorączce wielkiéj na noclegu zmarł, z żalem wszystkich. Sam Jagiełło dowiedziawszy się o tém, za złą wróżbę znowu to wziąwszy, wielce był markotny. Jankowi mogiłę usypano za obozowiskiem i biały krzyż naprędce wystrugany na niéj zatknięto.

Poszedł tedy Jagiełło sam oglądać poczty i ludzi, szczególniéj co przedniejszych chorągwi, kiedy już ruszać miano i wszyscy na koniach siedzieli.

Zdala widzieć wojsko niczém jest, jak mrowie wygląda i bucha życiem; lecz z blizka oglądać, w oczy zajrzéć, w twarze i czoła, dopiéro po nich ducha poznać i wróżyć można o wojnie. Tego chciał Jagiełło, a wielu téż z rycerstwa radzi byli pana bliżéj powitać i słowo od niego posłyszéć.

Tak się rozpatrując nadszedł król do pocztu pana Andrzeja z Brochocina, którego dawno i dobrze znał. a liczył go do tych, którym najwięcéj ufał. Stali ludzie jego dobrze zbrojni i dobrani, młodzież dziarska, a między nimi krył się i ów Teodorek z Zaboru, znać wstydząc się swojéj młodości. Ale trafiło się tak, że drudzy ustępując obnażyli go i królowi w oczy wpadł, schować się nie mogąc.

Zdumiał się czegoś bardzo Jagiełło zobaczywszy go i splunął.

— A tegoś-to zkąd wziął? — pytał wskazując na chłopca.

— Ten mi się, Miłościwy panie, przyplątał sam, ochotnikiem, a radbym się go był pozbył, ale się odpędzić nie dał. Dzieciak to i do niczego, w wojnie się chyba przyuczy.

— Zkąd-że jest?

— Ani go dopytać.

Skinął p. Andrzéj, aby z konia chłopak zsiadł

i do stóp królewskich przyszedł, choć król mu się do siebie zbliżyć nie dał.

Rad nie rad zsunął się chłopak z konia i stanął zarumieniony.

— Osobliwsze podobieństwo — odezwał się Jagiełło — albo niegodziwe czary. Spytajcie go, czy siostry nie ma?

Pytanie to posłyszawszy pacholę, szybko odparło, iż siostrę ma i że do niéj wielce jest podobnym, a siostra jego na dworze księżnéj Aleksandry Mazowieckiéj pod tę porę być musiała.

Dopiéro się król uspokoił i uśmiechnął, a w chłopca dziwny jakiś duch wstąpił, iż zamiast nieśmiało stać, Jagielle w oczy wprost z natarczywością dziecinną patrzał.

— Zginie to gdzie marnie w ciężkim pochodzie — rzekł p. Andrzéj — ale samo sobie winno, gdy mu się przedwcześnie rycerzem być zachciało.

— Do domu wracać zapóźno — odezwał się chłopak śmiało — może mi we zbroi za ciężko, a w lada służbie nie miło; lecz gdyby król pan miłościwy, w miejscu Janka przy swéj osobie raczył mi dać przytułek, wierniebym służył.

Wszyscy się temu zuchwałemu żądaniu i prośbie niezmiernie zdziwili: spojrzał Brochocki, inni uśmiechali się. Król zdawał nie rozumiéć zrazu,

dopiéro gdy mu Brochocki powtórzył śmiejąc się to życzenie, jakby namyślać się począł.

Na dwór królewski nie łatwo dostać się było niewypróbowanemu; myśleli więc, iż Jagiełło zbędzie go niczém, gdy popatrzywszy nań bacznie, odezwał się:

— Odeślijcie go marszałkowi, szkoda dziecka, jeśli z niego co może urosnąć.

Skłonił się do stóp pańskich, niepomiernie uradowany chłopak, na konia skoczył, na ludzi swych mrugnął i zajechawszy za szereg, a pożegnawszy dowódzcę, który go téż rad się pozbywał, pośpieszył do dworu królewskiego.

A że już obóz miał się ruszać do dalszego pochodu, marszałkowi się przedstawiwszy pacholę za dworem, który nań cały koso patrzéć poczynał, w milczeniu ciągnęło, od Ludborza o mil dwie ku jezioru wielkiemu Rupkowu i Kurzętnikowi.

Lipcowe upały i spieka, która w tym roku zdawała się większą niż innych lat, wielce pochód utrudniała.

Mdleli ludzie i padały konie od znoju. Zbroi nikt w pochodzie dźwignąć nie mógł, bo żelazo i przez kaftany piekło. Wieszano więc je na koniach, składano na wozy, a innym i suknie ciężyły, i koszuli było zanadto. Gdy się nad wieczo-

rem ukazało jezioro, do onéj wody śpieszyło wszystko, konie i ludzie, jak do zbawienia. Lecz tu już samopas iść, ani się bezpiecznie wyrywać nie godziło. Krzyżacy stali w niewielkiéj odległości nad Drwęcą, tak, że na drzewo wlazłszy dostrzedz już było można obozy i ostrokoły.

Ledwie namioty u jeziora rozbijać zaczęto, gdy p. Brochockiemu, który był tylko co z konia zsiadł, dał znać jeden z jego ludzi, że Krzyżacy nieopodal konie pławią i że tam już garść ochotnika na nich się zbiera.

Nie zważając więc na surowe rozkazy, napowrót konia, zbroję wdziawszy, dosiadł pan Andrzéj i puściło się cwałem co było gorętszych, tak że ich już ani wołanie, ani trąba wstrzymać nie mogły. Król tylko co był rozdziewać się począł, gdy się to stało. Rycerstwo, które samo nie zdążyło do harcowników przyłączyć się, powłaziwszy gdzie kto mógł patrzało, lecz tuman kurzu wprędce kupkę tę oczom zasłonił. Drudzy téż jeść siedli i spoczywać.

Słońce zaszło było i upał nieco ustawał, gdy nagle krzyk i trąbienie na trwogę, cały spoczywający tabor jak piorunem poruszyło. Jak to bywa w zgrai wielkiéj, gdzie niewiele widać, a z ust do

ust podają sobie słowo, każdy doń coś swojego przyczyniając, gruchnęło:— Krzyżacy!

Konie były rozsiodłane, ludzie porozbierani, kto jak stał, dopadłszy miecza tylko, w mgnieniu oka prawie siedział już na swoim; ale zamęt wszczął się niewysłowiony, który mrok pomnażał: swoich nie rozpoznawali swoi, trącano się i łajano, nim starszyzna ład krzykiem i trąbą wprowadziła.

Król też jak stał w białym żupaniku, z namiotu wyszedł, dopytując co się działo i rozsyłając gońców na wsze strony. Nikt dobrze nie wiedział, co było przyczyną popłochu. Od strony tylko krzyżackiéj wielki pyłu i kurzawy kłąb się wznosił, który się napastniczém wojskiem wydawał.

Dopiéro w chwilę przybieżono królowi dać znać, iż Brochocki z innymi na konie przedniéj straży krzyżackiéj napadłszy, rycerzy z nich zwaliwszy, pięćdziesięciu ich zabrał i prowadził. Zmieniła się tedy trwoga w radość, a p. Andrzéj ze swemi konie przed namiot prowadził, jako pierwszą zdobycz na nieprzyjacielu. Cieszono się z niéj pomiernie, bo nie tyle konie warte były, ile popłoch mógł zaszkodzić przedwczesny. Lecz co się stało, przyjąć trzeba było za dobre.

Wybiegł z królewskimi dworzany świeżo do służby zaciągniony Teodorek, a ktoby go był wi-

dział, jak się owym koniom przypatrywał i oczyma wodził po tych co je przywiedli, łacniéjby się w nim żalu i gniewu, niż radości domyślił.

Tu znowu radzono w nocy, jak sobie począć wypadało. Czekano na powrót Korcboga, lecz już w pokój nikt nie wierzył, od obozu dostano języka, iż nad Drwęcą przeprawy broniąc, Krzyżacy ostrokoły pobili i z za nich mogli się ostrzeliwać; postanowili więc wodzowie i przewodnik Trojan, aby z pod Kurzętnika wrócić do Ludborza i ztamtąd próbować wkroczyć, kędy mniéj się obrony spodziewano.

Nocą wyszły szpiegi na wsze strony. Obóz się uciszył i legł, straże tylko przednie jedne i drugie czuwały dokoła i ludzie do trzymania porządku wysadzeni.

Wieczorem spodziewano się z powrotem Korcboga, ale go nie było, ani żadnéj innéj od Węgrzynów wieści.

Jagiełło ze zwłoki wnosił, ażali do pokoju się nie skłonią; drudzy Boga prosili, ażeby im rozumu tego nie dał.

W falach jeziora odbijały się gwiazdy i cisza była dokoła uroczysta, a wązki pas ziemi dzielił

dwa obozy uśpione, które lada godzina jak dwa lwy spiąć się miały i walczyć o śmierć lub życie.

*
* *

Po drugiéj stronie Drwęcy, na błoniu szerokiém rozłożony był wspaniały obóz Krzyżaków. Na uboczu panując innym, wznosił się namiot Wielkiego Mistrza, nad którym powiewała chorągiew z krzyżem jego podwójnym; na innych godła niemieckich książąt, baronów i szlachty, która przybyła w pomoc Zakonowi. Nieco opodal wozy z działami leżały jak wał straszny, paszczami zwrócone ku granicy.

Po nad rzeką widać było naprędce rozszczepionemi palami, które białym rdzeniem świeciły, obwarowane brzegi. Tu chodziły straże, jak na blankach murów zamkowych.

W namiocie Mistrza Ulryka, o godzinie rannéj, on sam tylko i podskarbi się znajdował. W twarzy rycerskiéj Mistrza, pomimo, że go jeszcze nic zaniepokoić i zburzyć nie mogło, malowało się zniecierpliwienie, gniew i rozdraźnienie. Chodził krokami wielkiemi myśląc. Podskarbi stał wpatrując się w niego.

— Straszą nas tą potęgą napróżno—zawołał Ulryk — znam ją, nie lękam się jéj. Liczbą

mnie chcą przerazić: ona tylko popłoch, zamięszanie i ofiary powiększy. Kości rzucone.

— Tak, i rozegrać się trzeba z nimi—dodał podskarbi.

Zbliżył się do Mistrza.

— Wczoraj powrócił nasz od Sarnowskiego, słowo jego uroczyste mamy, że się Czesi bić nie będą. Chcieliśmy skłonić ich, aby oręż obrócili na Jagiełłę, w chwili stanowczéj, ale się na to nie zgodzili. Dosyć, że miecza z pochew nie dobędą.

— Jesteście Sarnowskiego pewni?—zapytał Mistrz.

— Pieniądze wziął—uśmiechnął się podskarbi—i gdyby zdradzić nas miał, byłby się targował o napaść na Polaków, a przecie jéj nie przyrzekł. Wnoszę więc, że co obiecał, spełni.

Tu podskarbi jeszcze bliżéj do ucha W. Mistrza przystąpił.

— Tatarowie pierzchną—rzekł mrugając oczyma.—Wszyscy wodzowie ich kupieni, kilkunastu powiesić kazał Witold: łacno nam przyszło ich zyskać. W Witoldowém wojsku mamy swoich pełno, którzy pierwsi tył podadzą i innych za sobą pociągną.

Z tego kilkadziesiąt tysiącznego tłumu,

noga na placu nie pozostanie. Ludzie do rzucenia popłochu dobrani najsprawniejsi, hasło dane; lewe nasze skrzydło w pogoń tylko poszedłszy, tył królowi zabierze, a z dwóch stron osaczony, zginie marnie!

Zatarł ręce podskarbi.

— Nie rachuję na króla Zygmunta, ani na węgierskie obietnice, ale na to cośmy sami złotem naszém i rękami zgotowali. To pewniejsze. Nie dosyć na tém—kończył podskarbi uśmiechając się—w obozie króla, w jego namiotach, koło jego osoby mamy ludzi naszych, pacholęta, służbę, cudzoziemców kupionych i ponamawianych; mamy ich u boku Witolda, mamy u książąt mazowieckich. Któż wié—dodał—jeśli dla ocalenia Zakonu, zadać będzie potrzeba co w napoju... i na to się ręce znajdą... Wojsko bez wodza, mąż bez głowy, trupem jest.

Wielki Mistrz zadrżał, ale nie odpowiedział nic.

— Ja wierzę w męztwo nasze i w relikwie świętych.

— I ja też—dorzucił skwapliwie podskarbi—ale to mi nie przeszkadza pracować i zabiegać.

Ruszył z lekka ramionami. Rozmowa przerwała się, gdyż komturowie i dostojnicy Zakonu schodzić się poczynali.

Namiot, około którego stojące straże, nikogo obcego nie wpuszczały, napełniał się coraz przybywającymi na radę zakonnikami. Wszyscy komturowie dowodzący oddziałami, byli przytomni.

Ulryk zagail radę.

— Posłowie króla Zygmunta do pokoju nas skłaniają—rzekł—straszą nas Jagiełły potęgą, przesadnie malują to wojsko złożone z niesfornego ludu. Prawda, że tłuszcza ta zalega przestrzeń wielką, lecz nie wiemyż ich uzbrojenia i siły?

Wtém Lichtenstein W. komtur przerwał:

— Wieziemy z sobą relikwie jerozolimskie—rzekł—one za sto tysięcy ludu starczą, z niemi niezwyciężonymi jesteśmy. Pierzchnie ta ciżba i padnie, a naszém będzie staraniem, aby ich noga nie uszła do domu, aby nie było komu zanieść wieści o klęsce! Dość tych rokowań o pokój!

— Dość!—zawołał Schwelborn.

— Naród dziki, barbarzyńce, nie znają umiejętności walczenia—rzekł komtur Głuchowski—co tu liczba znaczy? Działa nasze, relikwie nasze, broń nasza, przyjaciele... umiejętność wojenna: wszystko nam taką wyższość daje nad nimi, iż gdybyśmy w stu na tysiąc mieli walczyć, obawy mieć się nie godzi. Byłoby to zwątpić o Bogu,

o sobie i o wszystkiém co za nami stoi, a co panuje światu! O papieżu i cesarzu... Wojna!

— Wojna!—powtórzyli wszyscy komturowie, prawie jednogłośnie.

Dwóch starców na stronie milcząc stało: byli to komturowie von Wende Gniewski i Hazfeld Nieszawski. Mistrz spojrzał ku nim.

— A wasz głos?—spytał.

— Co znaczą dwa głosy—odparł von Wende —milczéć wolę.

Odwrócili się ku niemu inni, szczególniéj Schwelborn z gniewem i niecierpliwością.

— Wy więc inaczéj trzymacie?

— Tak jest—rzekł Wende—radzę pokój, bo czuję zgubę.

Krzyk oburzenia powstał. Wende się cofnął, zakładając ręce na piersi. Mistrz spojrzał groźno.

Wrzawa i spór byłyby może natychmiast powstały, gdyby zakonnik wchodzący nie oznajmił, iż posłowie węgierscy pilno się posłuchania i ostatecznéj domagają odpowiedzi, dłużéj na nią czekać nie mogąc.

— Stoją przed namiotem.

— Wpuścić ich—zawołał Mistrz.

Komturowie poglądając po sobie, rozstąpili się, Wende i Hazfeld stanęli na boku.

Wszedł Gara i Scibor ze Sciborzyc, który choć zamieszkały na Węgrzech, jak imię jego oznaczało, pochodzenia był polskiego. W. Mistrz uroczyście w tém otoczeniu całéj rady przyjął posłów Zygmunta.

— Po odpowiedź przychodzimy—odezwał się Gara—a radzibyśmy ażeby była pomyślną dla nas i dla wszystkich. Skłońcie serca wasze do pokoju.

W. Mistrz nie mówiąc słowa, wskazał na marszałka Zakonu, który wystąpił naprzód.

— Zgodzilibyśmy się na pokój—rzekł—gdyby go od nas zawczasu żądano, gdyby Jagiełło nie na granicy stojąc z wojskami, wymódz go na nas pragnął. Jakże mówić dziś o pokoju, gdy wojna już jest rozpoczętą, część krajów naszych złupiona, łuny i zgliszcza i krew o tém świadczą. Nigdy żaden z panujących nie śmiał się targnąć na Zakon z takiemi siły, z taką zaciętością, a wy żądacie byśmy pokrzywdzeni przyjęli pokój, jaki nam narzucają? Zawrzemy pokój, ale wprzódy pomścimy się orężem za łupieztwa, mordy i krzywdy. Wzajemnych naszych sporów i zatargów nikt nie może rozstrzygnąć, ani próżne słowa, ani choćby cesarska powaga, tylko oręż i wojna.

Spustoszono ziemie nasze: krwią niech za to zapłacą.

Gara słuchał tych słów w pośpiechu i gorącości wyrzeczonych, z widocznym bólem i smutkiem.

— Losy wojny niepewne—rzekł.—Krzywdy z obu stron poniesione zdajcie na rozjemców, przyjmijcie pośrednictwo króla rzymskiego, sprobujcie innych środków, nim się odwołacie do oręża.

Wrzawa i głosy zewsząd się odzywające, nie dały mówić posłowi, który umilkł. Nieopodal stał milczący Wende.

Na niego spojrzawszy Gara zapytał:

— Wszyscy, więc i wy, pałacie tą żądzą boju i zemsty?

— Ja, nie—odparł komtur Gniewski spokojnie. Jestem stary, pamiętam wojen wiele, wiem co krwawa wojna znaczy, umiem cenić błogosławieństwa pokoju; dlatego pragnę, abyśmy zapomniawszy krzywd naszych i ofiarując je Bogu, zdali się na układy. Ileżto razy stojące naprzeciw siebie zastępy, mądre słowo wstrzymało i przejednało? Życzę pokoju! życzę!—powtórzył śmiało.

Krzykiem go zagłuszono.

Tettingen, komtur elbląski i Schwelborn, przypadli z podniesionemi pięściami do starca.

—Trzeba ci było, stary niedołęgo—zawołał—siedzieć w domu i chorych pilnować; do wojnyś się nie zdał: po coś tu przybył?

Wende stał spokojnie niewzruszony.

— Przybyłem, abym z innymi walczył, gdy każą i padł gdy potrzeba—rzekł głosem wielkim. Rada moja była zdrową radą, pokój przenoszę nad wojnę; powtarzam, iż póki jest choć słaba nadzieja uniknięcia krwi chrześciańskiej przelewu, układy wolę, niż rwanie się do broni. Tak jest, pokój radzę, pokoju pragnę, ale jeśli Bóg zawyrokuje inaczéj, stanę mężnie i zginąć potrafię; patrzcie wy, byście z placu nie pierzchnęli, mimo waszego junactwa.

Tettingen wstrząsł się cały i kłótnia groziła, gdy stary Scibor ze Sciborzyc, dotąd milczący, mówić zaczął.

— I ja—dodał—starym jestem żołnierzem, walczyłem całe życie nie lękając się wojny: przecież nie odrzuciłbym pokoju, gdy jest możliwy.

W. Mistrz obrócił się ku niemu z szyderskim pół-uśmiechem.

— W waszych ustach tłómaczy się ta mowa—rzekł ironicznie—Polakiem jesteście, wiemy, że

rodzina wasza z Kujawskiej ziemi pochodzi; mówicie za swoimi, bo się o swoich lękacie: ale ani Zakon, ani ja, nie zgodzimy się na pokój haniebny, nożem na gardle wymożony. Nie! nie!

Scibor się usunął nieco.

— Zdaje mi się—odezwał się—że nie dla Polski, ale dla was samych życzyłem dobrze, i życzę: nigdy się nie godzi chrześcianinowi zgody i pojednania odtrącać.

— Pozwólcie—odparł Ulryk ciągle szydersko—że i my też coś o obowiązkach chrześciańskich wiedzieć musimy.

— Wychwalacie wszyscy potęgę Jagiełły—przerwał W. komtur—znamy ją! wiemy z czego urosła i co waży; ale wy nie znacie potęgi Zakonu, który po całym świecie rozciąga swe sieci, który od Jerozolimy sięga do Marienburga i za Dźwinę, który ma w Niemczech tysiące sprzymierzeńców, w królach obrońców i opiekunów, w Najwyższym pasterzu głowę swoją. Z potęgą Zakonu żadna inna mierzyć się nie może. Niech Jagiełło drży: ziem zabranych raz i zawojowanych w imię krzyża, wydrzeć sobie nie damy, a za krzywdy, musi nam nowemi ustępstwy zapłacić.

Merheim przyklasnął, inni wtórowali. W. Mistrz dodał w końcu:

— O pokoju mowy już niéma i być nie może, o czém innem radźmy! Król Zygmunt winien nam opiekę i pomoc: przyrzekł ją...

— Tak—odparł Gara—lecz przysługa jaką wam wyświadcza, warta odwzajemnienia. Król potrzebuje téj summy, o którą prosił.

— I wypowié wojnę królowi polskiemu? macież listy wypowiednie?—spytał Mistrz.

— Mamy je—odparł Gara.

— Radzibyśmy je widzieli—dodał Mistrz.

Scibor nieco się zżymnął.

— Wasza Miłość tyle nam przecie wiary dać może, iż co opowiadamy w imię króla Zygmunta, fałszem nie jest. Mamy listy wypowiednie i polecenie wysłania ich naówczas, gdy czterdzieści tysięcy czerwonych złotych wypłacone nam będą.

Mistrz się uśmiechnął.

— Znaczna summa dla Zakonu—odparł—ale cześć nadto wielka, że możemy nią służyć królowi, byśmy się o nią targowali. Zapłacimy więc tu zaraz dwadzieścia, tyleż oczekuje na was w Gdańsku.

Podskarbi dał znak przyzwolenia.

— Byleśmy listy mieli, pieniądze oczekują gotowe — dodał potrząsając pękiem kluczy u pasa.

— Rzecz więc skończona—rzekł Gara.

— Lecz listy widzieć musimy!— odezwał się Mistrz — abyśmy ich siłę mogli ocenić.

Gara i Scibor spojrzeli po sobie i poszeptali: ostatni wyszedł z namiotu.

— Idę — rzekł u drzwi — Piotra Korcboga do króla odesłać, a listy wam do odczytania przynieść. Z czémże Korcbog odjedzie?

— Z wojną! z wojną! — okrzyknęli tłumnie komturowie, podnosząc ręce — niech zapowie walkę krwawą.

— Upokorzymy tego dumnego poganina— zawołał Schwelborn — z nim i z jego rodem jaszczurczym niéma nigdy walce końca; raz potrzeba téj hydrze łby poucinać do ostatniego. Nienawistne plemię bałwochwalców bez czci i wiary!

Niektórzy wtórowali Schwelbornowi, inni milczeli. Mistrz chodził niespokojny. Po chwili wszedł Scibor i Korcbog z nim, niosąc szkatułkę.

Korcboga tego Krzyżacy, choć musieli przyjąć w obozie, równie jak Scibora ścigali oczyma niechętnemi. Byłto człek niepozorny z twarzy, ale wielkiego serca, milczący i wytrawny; mało się więc odzywał i wdawał, co zwiększało niechęć ku niemu.

— Panie Pietrze — odezwał się doń Scibor— już dłużéj czekać tu na co nie macie, pokoju na-

dzieja znikła; nieście więc od nas królowi wyraz żalu, żeśmy nic uczynić nie mogli.

— Niémamy czego płakać! — szepnął Piotr. Uśmiech jego i obojętność, do najwyższego stopnia oburzyły Krzyżaków, którzy go dumnemi oczyma ścigali.

— Tak jest — zawołał marszałek Zakonu, zbliżając się do szlachcica.—Powiedz królowi swojemu, że mu niesiemy wojnę, a z nami Bóg!

Wskazał na krzyż swój na płaszczu wyszyty. Korcbog zlekka się pokłonił, nic nie odpowiadając i ścigany oczyma przytomnych, wyszedł zwolna z namiotu.

Panowie węgierscy pozostali już tylko dla otrzymania haraczu przyrzeczonego, nie wdając się więcéj w żadne o pokój układy. Tém pilniéj zaś stali przy odebraniu summy całéj, że dla nich przyszłość Zakonu była dosyć wątpliwą. Wojna na jaką się zanosiło, obiecywała wyczerpać niezmierne skarby, o jakich u Krzyżaków opowiadano. Powszechne naówczas chodziły wieści, iż jedna z krągłych wież Malborgskiego zamku była nasypana złotem, które tam korcami i worami wyładowywano. Sami może zakonnicy szerzyli te wieści, dla dania wyższego jeszcze pojęcia o potędze Zakonu, niż ona była w istocie.

Cała starszyzna złożona z najsłynniejszych rodzin niemieckich, dumna, uważająca się za przedstawicielkę potęgi Cesarstwa i Chrześciaństwa, lekce sobie ważyła tłum zbierany rycerstwa, z którego szydzić należało do najlepszego tonu.

Starcy tylko, którzy nieraz już w walkach spróbowali się z Jagiełłą i Witoldem, niektórzy komturowie nadgraniczni, lepiéj znający Polskę, innego byli przekonania. Wende komtur Gniewski, miał za sobą wielu innych; lecz ci wszyscy milczéć musieli, aby się na zarzut tchórzostwa nie narazić.

Drugiego dnia, gdy Scibor ze Sciborzyc zabierał się do przyjmowania przyrzeczonych pieniędzy, około południa wpadł jeden z braci z twarzą rozjaśnioną i począł panów węgierskich prosić, aby do namiotu Mistrza Wielkiego szli, gdyż ma im ciekawą zwiastować nowinę.

To powiedziawszy, uszedł, jakby unikał, ażeby go więcéj nie dopytywano.

Zdziwieni mocno, pośpieszyli Gara i Scibor do niezbyt odległego Mistrza namiotu, ku któremu téż w téj chwili komturowie płynęli pośpiesznie, jakby zwołani także.

Gdy weszli, u wchodu zastali wcale niepoczesną figurę, z czapką w ręku. Był to mężczyzna w kubraku szarym, butach do kolan długich, przy

lichym mieczyku, chudy, blady, szyi wyrosłéj, twarzy przeciągłéj, pomarszczonéj i głowy wygolonéj. Z pozoru za Polaka wziąć go było można i był nim w istocie; zwał się Korbacz, a dość o nim powiedziéć, że za donosiciela służył Krzyżakom, a nie on jeden w tych obowiązkach zostawał, bo ich było téż więcéj, jak Prusaków w usługach polskich. Tak samo Piotr Swinka, chorąży Dobrzyński, przed samą wojną poszedł do Krzyżaków i walczył z nimi przeciwko swoim, przez zemstę osobistą, któréj szukał. Korbacz stał u drzwi, gdy weszli Węgrzy.

W. Mistrz podszedł kroków kilka na ich spotkanie i wskazując na człowieka, zawołał:

— Posłuchajcie oto tego człowieka — Polak przecież jest i nie od dziś go znamy. Zobaczycie co się stało z ową Jagiełłową potęgą!

— A cóż się z nią stać mogło?—zawołał Scibor zdziwiony.

— Mów, mości Korbacz — dodał Mistrz.

Stojącemu u drzwi znać i tak już język świerzbiał, postąpił kilka kroków naprzód, rozglądając się po zgromadzeniu.

— Na wszystko święte zaręczyć mogę, że prawdę szczerą powiadam, jako mi miły Bóg — rzekł szepleniąc i śpiesząc.— Przez dni kilka cho-

dziłem napróżno, szukając obozu polskiego. Nastatek dostałem języka, że z pod Ludborza, nad jezioro Rupkowskie pociągnęli. Ja za nimi. Ja mogę wnijść wszędzie gdzie chcę, bo mam i w obozie wielu dobrych przyjaciół i znajomych. Aliści pod Rupkowem jak na dłoni, tylko ślady! gdzie? co? niewiadomo. Pole stratowano do szczętu, jak zajrzéć, tu i owdzie garnki pobite, słoma rozsypana. Kołek z ziemi sterczący, do którego konie wiązano; daléj koni trzy zdychających, jeden kulawy co się pasł na chudéj trawie i stos kul kamiennych porzuconych.

Co się stało? niewiadomo: poszło wojsko całe bez wieści, dokąd? nikt nie wié. Szedłem tedy tropami, aż do rozstajnych dróg; daléj, wszędy ślady i w prawo i na lewo i na prost: porozdzielali się widać, aby śpieszniéj do domu zdążyli.

Rozśmiał się Korbacz, łyskając oczyma.

— Jak Bóg miły prawda, w tył, nazad uszli.

Uderzył się w piersi złożonym kułakiem.— Niéma już ani jednego.

— Ha! — przerwał Mistrz tryumfująco — nie mogło inaczéj być. Nie ulękliśmy się my ich, musieli się oni nas zlęknąć. Jagiełło zna potęgę Zakonu, nie wymodlił pokoju i uszedł sromotnie przed zemstą potajemnie.

— Ścigać ich! — zawołał Schwelborn — na koń i w pogoń.

— Tak jest — dodał marszałek — całą siłą na uchodzących się rzucić i stłuc na miazgę. Ścigać ich!

Wende przytomny ramionami ruszył.

— Zastanówcież się, a lekkomyślnością nie podwajajcie złego, które pycha rodzi! Zkądże pewność, że uszli! Ruszyli z obozu, cóż ztąd! Nie mogliż pójść gdy my tu stoimy, z siłą całą na nasze bezbronne niemal zamki i miasta. Mogą być pod Malborgiem, gdy my pójdziemy ścigać ich na Mazowsze.

Mistrz stanął uderzony tą myślą.

— Gdzie zaś! gdzie? — przerwał Korbacz — toćby kupy kul nie zostawiali, gdyby daléj wojować chcieli?

— Ma słuszność! — zawołali inni — ale są ptacy, co zawsze muszą smutne nucić pieśni i złowrogie wieszczby!

— Radziłbym wieszczbą nie gardzić — dodał Wende — bodajbyśmy dopiéro po klęsce z naszego nie wyszli obłędu. Mówię co każe sumienie: czyńcie co chcecie.

Oddalił się.

Panowie węgierscy odeszli, zwołano radę. Wieczorem już zwijano namioty i wojsko ruszało ku zamkowi Bratyan, gdzie się obozem położyć miało. Panowie węgierscy oczekujący wypłaty przyrzeczonych pieniędzy, jechali z W. Mistrzem.

Ztąd dopiéro z orszaku ich wysłany został Frycz z Reptki, Szlązak, do Jagiełły, z listy wypowiedniemi króla Zygmunta, choć nie wiedziano dobrze, gdzie go z niemi miał szukać.

Dnia 10 lipca, Frycz opuścił zamek Bratyański i na los się zdawszy, jechał, wywiadując o Jagiełłę.

*
* *

Gdy po zniknięciu Ofki, za księżną Aleksandrą do Płocka jechać przyszło nieszczęśliwéj Noskowéj, zrazu jéj służba namówić nie mogła, aby na wóz siadła. Leżała na ziemi płacząc i narzekając, bo do córki była acz nierozumnie przywiązaną, jak do życia. Było to dziecię jedyne, pociecha serdeczna, nadzieja. Miłością tą zbytnią popsuła Ofkę i nie widziała tego, bo dotąd nigdy samowola dziecka do tego stopnia nie doszła. Rozumem i bystrością o wiele prześcigając matkę, dziewczę umiało z nią uczynić co chciało i co chciało jéj wmówić i narzucić. Wielu téż spraw a stosunków swawolni-

cy nie wiedziała pani Barbara; dla siebie i dla niéj nie będąc zbyt surową, na wiele wybryków patrzała przez szpary.

Ucieczka dopełniała miary.

Czuła matka nieszczęśliwa, iż winną była pobłażania zbytniego i gdyby nie ono, nie ważyłaby się nigdy Ofka na krok tak szalony.

Nie pojmowała dokąd uciec nawet mogła, a lękała się o cześć jéj i życie, gdyż domyślała się, że nie gdzieindziéj, jak za wojskiem i z płochą myślą szpiegowania a pomocy panom swym, dziewczę ulecieć musiało.

W takiéj sprawie, dziewczynie, która łatwo poznaną i zdradzoną być mogła szło o życie. W myśli téj utrzymywało ją zniknięcie współczesne najstarszego z orszaku, najprzebieglejszego z dodanych jéj knechtów. Zabrane pieniądze na podróż, świadczyły téż, że Ofka na losy niebezpieczne puścić się musiała.

Płakała więc matka, nad sobą samą najwięcéj i nad słabością swoją. Ksiądz Jan jéj nie opuszczał pocieszając jak mógł, sam téż strapiony wielce i niemal zawstydzony tą ucieczką, która całą rodzinę w oczach ludzi sromem okrywała. Któż się mógł domyśléć pobudek innych, nad płoche i dziewczynie właściwe.

Dwór księżnéj Aleksandry mówił cały, że za rycerzem jakimś, dawszy się zjednać, zbiédz musiała. Ani już wśród niechętnych dłużéj tu trwać było można. Dobrotliwie pocieszała matkę księżna, przecież znać było, że sromowi jaki to i dla dworu jéj czyniło, nie była rada.

Noskowa wśród łez i rozpaczy sama nie wiedziała co poczynać daléj z sobą, gdy dojechawszy do pierwszego popasu, ksiądz Jan jéj powiedział po namyśle, że byle miał o czém i jak, do obozu polskiego nawróci i Ofki szukać będzie, choćby mu przyszło od jednego do drugiego pacholęcia cały obóz przetrząsnąć.

— Pójdę choćby do króla — rzekł — poproszę go, aby otrąbić kazał o zgubioném dziecku; przecie je tam odszukamy, jeśli jest, a gdzież indziéj być może?

— Wiem-że ja gdzie ją oczy i szaleństwo poniosło? — odezwała się łamiąc ręce matka — któż zgadnie co się dzieje w téj głowie? Wychowało się to niemal trzymając sukni zakonników, nauczywszy się Zakon szanować i wszystko dlań święcić. Nie wątpię, że poszła mu służyć? ale jak? Czy do obozu polskiego na szpiega, czy do Torunia, aby donieść co widziała?—mogęż zgadnąć?

A! byle przy życiu była! Moja to wina — płakała Noskowa — mój grzech. Rycerstwo jéj dzieckiem zawróciło głowę.

Po długich jękach i radach, nie było już nic innego do czynienia, tylko przyjąć księdza Jana ofiarę, który do Krzyżaków powtórnie jechać już nie chciał, ale obóz polski obiecywał przeszukać.

Litość go wielka nad siostrą przejęła, która z żalu spowiadała mu się z całéj swéj przeszłości, a jak zazwyczaj w nieszczęściu wielkiém, przyznawała się do win, któreby inaczéj taiła nawet przed bratem.

Z boleścią wysłuchawszy tych zeznań, ale z chrześciańskiém pobłażaniem, ksiądz Jan postanowił do drogi się sposobić. Domyśliwszy się jednak co za jedni byli pachołkowie, dodani Noskowéj z Torunia, żadnego z nich z sobą wziąć nie chciał. Litując się nad nim i kobietą, księżna Ziemowitowa dwóch ludzi swoich księdzu dodała i konia którego potrzebował. Noskowa go opatrzyła pieniędzmi, a wyjeżdżającemu rzuciwszy się jeszcze do nóg ze łzami, wyprawiła go zapłakana, rada, że choć próbę jakąś do odzyskania dziecka uczynić mogła.

Zawrócił więc starzec nazad tą drogą, która do gościńca wojskowego wiodła.

Kraj był pusty zupełnie, bo ludzie przed wojskami pierzchali wszędzie w lasy głębokie, uprowadzając trzody i unosząc mienie; ale bez języka obejść się można było, bo ślady pochodu wszędzie jeszcze widoczne zostały. Mimo burz i deszczów lipcowych, zbita końskiemi kopytami ziemia, mogiły i kopce, pogaszone ogniska, gdzieniegdzie szkielet koński, który wilki ogryzły do białych kości, prowadziły lepiéj od człowieka. Gdziekolwiek wojsko leżało, widoczniejsze jeszcze po niém znać było spustoszenie i resztki noclegów. Nie jeden trup czekał pogrzebu, na który czasu niestało, ledwie przysypany gałęźmi; potłuczone czerepy, pogubione rzemyki, poszarpane płachty, leżały po polach. Kopane pod namioty i na ogniska jamy, stały nie zasypane. Bezpiecznie więc idąc tak torowaną drogą, ks. Jan coraz świeższe znajdował znaki.

Na całym tym obszarze żywéj nie spotkali duszy: wioski stały pustkami. Nad wieczorem stada ogromne kruków zrywały się z po nad lasów i widać je było ciągnące w tę stronę, kędy wojsko ciągnęło, jakby już czuły żer i trupy. Ludzie towarzyszący ks. Janowi, patrzyli na lecące ptaki i żegnali się przelękli, szepcząc, co to oznaczać miało.

Niekiedy wśród pola, na padłym koniu siedziała ta czarna chmura, a za zbliżeniem się jeźdzców, podnosiła spłoszona nagle i zwijała, kłębiła, wrzeszczała, nim się w powietrze podniosła.

Drugiego dnia, jadący poczuli woń spalenizny, którą przesiąkła była ziemia i lasy. Zdala siniały po nad puszczami obłoki dymów, a nocą czerwone łuny odbijały się w górze na chmurach. Wiatr, który czasem powiał od granic, niósł z sobą gorzki zapach pożarów. Powietrze od skwaru duszne, stawało się od niego do oddychania ciężkiém: do ust gorycz przylegała.

Poza granicą, gdzie Tatarowie dopuścili się krwawych łupieży, ślady ich jeszcze były straszniejsze. Z popalonych wsi resztka ludu ocalonego, okaleczona, okrwawiona, opalona, ściskała się około ognisk i szałasów, nie mając dachów, pod któremiby przytulić się mogła.

Zdala słychać było jęk głodnych dzieci, które matki, na rękach kołysząc, uspokajały. Z blademi twarzami ludzie kopali korzonki i szukali ziela, aby głód nie zaspokoić, a oszukać i stłumić.

Przybywszy pod Kurzętnik i Rupkowskie jezioro, ks. Jan i tu tylko znalazł obozowisko puste. Byłby się z cofającemi napowrót wojskami spotkał, gdyby do Ludborza niedojeżdżając, Mazury dodani,

puszczą krótszéj drogi znajoméj nie wybrali, wymiarkowawszy, że wojsko ciągnęło nad Drwęcę. Jagiełło cofał się napowrót, gdy wieczorem, ze znużonemi końmi, nadjechał ks. Jan do Kurzętnika, a że ludzie się obawiali do miasteczka zaglądać, obrali więc nocleg nad jeziorem wśród łóz, z których jaki taki szałas sklecić było można.

Też same ślady, jakie tu oglądał pruski posłaniec, poszedł o zmroku opatrywać ks. Jan, usiłując się domyśléć, gdzieby mu daléj jechać należało. Zdało mu się téż, iż u ludzi w poblizkiéj mieścinie, może języka zasięgnąć, nie narażając się na niebezpieczeństwo, od którego suknia kapłańska broniła. Przechodząc pieszo pole, zbliżał się już ks. Jan do miasteczka, które niemal opuszczoném mu się wydawało, gdy naprzeciw siebie postrzegł wybiegających kilku konnych.

Byli to wysłańcy krzyżaccy, którzy dla niepoznaki białe swe płaszcze pozrzucali. Widząc ich dążących ku sobie, ks. Jan zatrzymał się, pewien, że jakąś garść Jagiełłowych żołnierzy spotyka i radując się im w duszy. Nie strwożył się bynajmniéj gdy go otoczyli i w mgnieniu oka pozsiadawszy z koni, zbliżyli się do bezbronnego.

Pierwsze słowo, z którém się odezwał przodu-

jący téj garści Niemiec, wywiodło księdza z błędu. Umiał dosyć mowy ich, aby się z nimi porozumiéć.

Na zapytanie zkądby i po co dążył, ks. Jan odpowiedział prawdę całą, iż szukał wojska polskiego.

Śmiech radosny wyrazy te powitał, wnet jeden pochwycił go za ramię, krzycząc, że szpiega pojmali.

Wpadłszy w ich ręce, nie było się już co ani tłómaczyć, ani opierać; na piersi spuściwszy głowę, ks. Jan nie odpowiadając nic, dał z sobą czynić co chcieli.

Odgrażali się go wieszać; powiedział im, że był księdzem. Powitali knechci śmiechem to zeznanie, zaręczając, że u nich i księży wieszano.

Kazał jeden z jezdnych, ręce skrępowawszy ks. Janowi, siąść na koń, a sam się za nim uczepił. Do obozu jeszcze stojącego nad Drwęcą nie było daleko, pokłusowali więc Krzyżacy ze zdobyczą swoją.

Mazury zdala w łozach, widząc co się stało, a zasłabi będąc, aby odbić mogli, przypadli w krzakach i zaczajeni siedzieli w nich, dopóki kupka ludzi z oczów im nie znikła.

Ratując siebie, gdy noc zapadła, konie poła-

pawszy co się nad stawem pasły, nazad uszli w lasy, niosąc złą wieść o pojmaniu księdza, który sam sobie los swój był winien.

Tymczasem ze zdobyczą swą knechty do obozu zdążyli, dając z za rzeki znać o sobie, aby ich łucznicy nie powitali z za ostrokołów jak nieprzyjaciela. Poszły wpław konie, a ludzi na podaném czółnie wraz z księdzem przeprawiono. Najbliższym był namiot marszałka i do niego téż, nagrody się spodziewając, przywiedli związanego księdza pachołkowie. Właśnie z namiotu wychodził podskarbi, gdy bystre jego oko w mroku jeńca spostrzegło. Zbliżył się, knechty ze śmiechem opowiadali, jak im wpadł w ręce. Poznał go natychmiast podskarbi.

— Nieszczęście was jakieś ściga, mój klecho—zawołał—jakimże sposobem mogliście znowu popaść w ręce nasze?

— Opowiem wam wszystko—rzekł ks. Jan—témbardziéj, że siostra moja pod opieką Zakonu zostaje, i że się to więcéj jéj niż mnie tyczy.

Merheim natychmiast księdzu ręce kazał rozwiązać i z sobą go poprowadził do namiotu. Tu staruszek usiąść już musiał, bo stać zmęczony nie mógł.

Wieść o jeńcu wnet wielu innych Krzyżaków napędziła do namiotu. Coraz to nowy zaglądał

do drzwi i wchodził, tak, że się tłok stał wielki dokoła. Chciano się dowiedzieć coś o wojsku i o królu, o których ks. Jan tyle wiedział co i oni. Zamilkł więc, dopókiby nie rozeszło się zbiegowisko i nie pozostał sam z podskarbim. Dano mu się nawet posilić trochę, aby mógł lepiéj opowiedzieć o sobie i swych przygodach.

Nie było co taić, począł więc od spotkania z Jagiełłą i wojskami. Merheim nie miał czasu dopytywać o liczbę i siłę.

— Siostrzenica moja—rzekł—córka Barbary Noskowéj, dziecko szalone. Po przejściu wojsk w nocy, z jednym sługą znikła. Matka jest w rozpaczy, domyśla się, że stawiąc życie, poszła przebrana szpiegować w obozie.

Podskarbi zdziwiony przyskoczył do księdza.

— Możeż to być!

Jedno spojrzenie dowiodło mu, iż ksiądz Jan kłamać nie mógł.

— Tak, to zawsze była dziwna i samowolna natura, dziecko niepohamowane, gotowa była to uczynić.

— I pójść na zgubę oczywistą!—dodał ks. Jan.

Merheim nie zdawał się podzielać tego zdania. To poświęcenie dla Zakonu cieszyło go.

— A Wasza Wielebność jedziesz ażeby ją odszukać i matce przyprowadzić?—zapytał.

— Nie inaczéj.

— Do obozu polskiego?—dodał podskarbi.

— Tak jest.

— Dziewczyna, jak mówicie, wzięła z sobą starego knechta?

— Tego, który dowodził ludźmi.

— To się jéj nic nie stanie!—rozśmiał się podskarbi. Nie widzę potrzeby odrywać jéj od dzieła, które może z wyższego uczyniła natchnienia. Kto wié gdzie jest? kto wié co zamierza?

Merheim nie dokończył.

— Wy się z nami zostać musicie, albo gdzie na zamku przesiedziéć: do obozu was puścić nie sposób.

— Przecie nikomu szkodzić nie mogę?

— Ani wy, ani ja o tém wiedzieć nie możemy — odrzucił Merheim — dziewczę do takiego kroku nie rzuciłoby się bez Bożego natchnienia. Któż wié! Cuda się dzieją!

— Miejcież litość nad matką! ona z niepokoju umiera.

— Na litość już nie pora—odezwał się podskarbi.— Czas wojny i sądów Bożych. Rodzą się Judyty.

Ksiądz Jan zadrżał.

— To słabe dziecko.

— Nie, to bohaterka biblijna! — zawołał Merheim — ani się godzi stawać jéj w drodze? Wy więcéj pewnie dla Jagiełły niż dla nas macie miłości i chęci, chcielibyście ją oderwać, a jego ocalić: ja pragnę, aby była Judytą.

Ks. Jan zamilkł patrząc przerażony na podskarbiego.

— Niech Bóg uchowa by nią była: sama myśl zgrozą napełnia. Któżby ją jéj mógł poddać. Sama nie zrodziłaby się w jéj dziecinnéj głowie.

Uśmiechnął się podskarbi.

— Mógł się znaleźć taki, który myśl w młodą rozżarzoną głowę i serce rzucił. Nie inaczéj tłómaczę ucieczkę, a widzę w tém palec Boży, iż was zbłąkanych los oddał w ręce nasze, abyście spełnieniu tego co przeznaczone nie stawali na przeszkodzie.

Nie śmiał już się odezwać stary, ręce obie zanurzywszy w dłonie. Podskarbi zmienił zaraz rozmowę, dopytując o wojska Jagiełły.

— Nie widziałem z nich wiele — odparł ksiądz — a to com widział, strasznóm mi się wydało i groźnóm.

— Dla was ono niém być mogło, nie dla Zakonu—przerwał podskarbi—a król?

— Król jest dobréj myśli...

— I dlatego uciekł, jak nam donoszą—rozśmiał się podskarbi.

— Jeśli tak jest, po cóż wam rąk Judyty—odparł ks. Jan—kiedy sam wasz postrach dostateczny.

— Aby poganin drugi raz tu nie powrócił—zakończył podskarbi.

To mówiąc wyszedł z namiotu, i posłał zaraz sługi, które starego księdza uprowadziły pod strażą.

Mistrz, którego natychmiast uwiadomił podskarbi, słuchał opowiadania z niesmakiem, lecz uwięzienie księdza pochwalił.

— Wszystko to baśnie są—odezwał się—drugi raz łapiemy go w podejrzeniu szpiegowstwa; nienależy puszczać ztąd, ażeby po raz trzeci chwytać nie trzeba było. Dla mnie rzecz jawna, iż chytry klecha splótł baśń niedorzeczną, aby kark swój od stryczka ocalić.

Zesłać do Gilgenburga, niech go tam do lochu posadzą.

* * *

Polskie wojska pod Działdowem już leżały, ominąwszy ostrokołami obwarowane brzegi. Nigdzie jeszcze większego spotkania nie było, oprócz zasadzki na Świeczan i harcu u jeziora Rupkowskiego. Okrążono wojska Krzyżaków, którzy śladów jeszcze nieprzyjaciela nieświadomi szukali.

Po ciężkich dniach pochodu w lipcowe upały, rycerstwu spocząć trzeba było: chorych wielu w obozie, konie wychudzone, znękani ludzie musieli odetchnąć przed stanowczą boju godziną, która się téż tuż zbliżać zdawała.

Powrót mimo Ludborza, nowego trudu kosztujący tyle, przedsięwzięto za radą Korcboga, który od panów węgierskich przybywszy z oznajmieniem o wojnie, dobrze krzyżacki obóz opisał i trudność w przebyciu Drwęcy, którą wyżéj suchą nogą przejść było łatwo. Dodał on królowi otuchy, gdyż sił Zakonu nie znajdował strasznemi, a o niezgodzie komturów i nieładzie między obcymi gośćmi szeroko prawił, bo miał się czas im przypatrzéć.

Za Działdowem pod Wysokie nadbiegł do obozu Frycz Szlązak, od Węgrów wysłany z wypowiednim listem króla Zygmunta, przez Krzyżaków kupionym tak drogo.

Wzięły go przednie straże i najprzod powiodły

do marszałka Zbigniewa, przed którym nie taił Frycz z czém jechał i co wiózł.

Szlązak był, pół-niemiec, trochę polak, człowiek, który spełna nie wiedział, kogo miał kochać, a komu źle życzyć. Ciągnęło go czasami w jednę, to znów w drugą stronę, i tak się życie kołysało. Źle wszakże Jagielle nie życzył w téj chwili, bo mu duma białych płaszczów dojadła, równie jak węgierskim panom.

Marszałek Zbigniew, jak skoro się dowiedział co niósł, usta mu zatulił.

— Chcesz-li u króla łaskę miéć i podarek przystojny — rzekł — nie głoś-że coś przywiózł. Gdyby się po obozie rozniosło, że nam wojnę wypowiadają, nie jednemuby ducha zabrakło i trwogaby go ogarnęła. Po cóż macie nam szkodzić? Królowi panu oddacie jutro listy wypowiednie i poselstwo wasze sprawicie.

Zgodził się Frycz milczéć, tém więcéj, że dwojakie miał zlecenia, bo król Zygmunt na tę wypowiadaną wojnę wcale się nie myślał wybiérać.

Nazajutrz rano po mszy świętéj, którą kapelan Jagiełły, Jarosław proboszcz kaliski odprawiał, wezwano Frycza do namiotu, gdzie tylko książe Witold i rada wojenna zgromadzoną była.

Nie miał Jagiełło we zwyczaju nawet na uroczystości występować, przyjął więc posła siedząc na klocu pokrytym skórą i w letniéj odzieży dla skwaru.

Opowiedział Frycz urzędownie to, o czém wiedziano dobrze, jako starania panów próżnemi były, jak się mistrz Ulryk wszelkiemu rokowaniu o pokój oparł, jako orężem i wojną chciał rozstrzygać.

— Gdy Zygmunt król węgierski, od którego panowie moi poselstwo sprawują, jest Rzymskiego państwa namiestnikiem, a niegodzi mu się Zakonu krzyżackiego, podlegającego rzymskiemu cesarzowi, w tém niebezpieczeństwie odstępować: przeto z rozkazu panów węgierskich, składam W. Kr. Mości list wypowiedni, w którym się po stronie Mistrza i Zakonu oświadcza, a wojnę W. Kr. Mości wypowiada.

Jagiełło list przyjął nie mówiąc słowa, Witold i rada nie rzekli téż nic. Rozmowa nie ciągnęła się daléj, a wychodzącemu Fryczowi, Zbigniew marszałek przypomniał obiecaną tajemnicę, którą on zachować znowu przyrzekał.

Król dworzanina za nimi posłał, aby Frycza po stole do niego wezwano. Ugościł go marszałek sam i z oka nie spuszczono, ażeby się gdzie niepotrzebnie nie wygadał.

Z południa wprowadzono go znowu do Jagiełły, a byli już sam na sam. Frycz ujęty przez marszałka, z owego strasznego herolda wojny, stał się bardzo dobrym służką, pokłoniwszy się do kolan.

— N. Panie—odezwał się cicho co mi kazano mówić publicznie, tom powiedział rano, a no to nie wszystko.

— Cóż więcéj? — spytał król, patrząc mu w oczy.

— Panowie moi polecili mi rzec jeszcze—dodał — że list wypowiedni dobrze zapłacony, bo Krzyżaków czterdzieści tysięcy czerwonych złotych kosztował, dla postrachu rzucony jest, ale na ten kawał papieru zważać nie ma co, bo wojny z niego nie będzie.

— Uśmiechnął się Jagiełło.

— Ani król Zygmunt, ani Węgry o niej nie myślą, a złota potrzebowaliśmy... Strachy to są próżne, N. Panie—mówił daléj—widziałem ja obóz krzyżacki i widzę ten, a zaprawdę myślę, że po téj stronie waga będzie i zwycięztwo. Zbiérany tam lud, dużo głów, ładu mało, a buty wiele; przy pomocy Bożéj otrzymacie zwycięztwo, z którego myślę, że i król Zygmunt nie bardzo smucić się będzie. Moim panom, N. Panie—

rzekł w końcu—ich zachodów za złe mieć nie będziecie, bośmy się nie o co innego, tylko o pieniądz starali, o Zakon nam wcale nie szło i nie idzie, ani go tak bardzo kochamy.

Wysłuchawszy téj mowy król, począł pytać Frycza o to co widział w obozie.

— Połowy tego ludu nie mają co Wy, N. Panie—rzekł Szlązak—wiele po zamkach rozproszyć musieli.

— A ducha jakiego są?—pytał król.

— Nigdy go oni nie mienią—mówił Frycz—zawsze u nich jeden: pychą żyją i pychą zginą.

— Amen!—dodał Jagiełło—bodaj tak było jak mówicie.

— Że tak będzie pewniśmy wszyscy, bo kto zbyt sobie ufa i szczęściu swojemu, zawsze zawiedziony bywa.

Po krótkiéj rozmowie, obdarzonego sowicie, bo Jagiełło do rozrzutności był wspaniałym, odprawił król żegnając do jutra.

Frycza zaraz przejął marszałek i znowu go ugaszczał, czuwając nad tém, żeby się z listem nie wygadał. Nazajutrz rano znowu go król powołał, nie z własnéj myśli, ale podkanclerzy i Witold poddali, ażeby jeszcze z Fryczem mówił, coby życzył, aby Zygmuntowi doniesioném zostało.

Jagiełło począł mu wymawiać, jak niegodziwie Zygmunt względem niego postąpił, dla złota na powinowactwo i przymierze nie zważając, co innego obiecując zrazu, a inaczéj czyniąc.

Wymawiał król gorzko zawiedzioną nadzieję swą i oddane w czasie wojny tureckiéj Zygmuntowi posługi, a naostatek dokończył tém, że Bogu ufa i wyrokom Jego sprawiedliwym.

Frycz wiedząc, na co mu to mówiono, wysłuchał żalów nie odpowiadając na nie.

Posłuchanie téż nie długo trwało, bo ranek był wielce uroczysty dla całego wojska. Duchowieństwo czując zbliżanie się godziny, w któréj nie jednemu życie położyć przyjdzie, ten dzień przeznaczyło na obchód wielki. Całemi szeregami rycerstwo przystępowało do spowiedzi i komunii: król, wodzowie, wszyscy niemal do ostatniego pachołka, oprócz jednéj dziczy tatarskiéj niechrzczonéj. Chodzili księża po klęczących w szeregach żołnierzach, rozdając Przenajświętszy sakrament. Spowiedź odbywała się pod gołém niebem i pod namiotami oblężonemi niemal od ludu, bo każdy chciał być gotowym na śmierć i z Bogiem się przejednać.

Obóz przedstawiał obraz wspaniały i piękny, bo na ten dzień panował w nim spokój, zgoda

i cisza. Frycz się dziwował temu, czego w krzyżackim nawet nie widział i dobrze wróżył. Jak sam król, tak i cały dwór jego, wszystek w kaplicy nadwornéj spowiadał się także. I nowy więc dworzanin, który się wprosił między pańskie sługi, musiał pójść z innemi.

Od tych kilku dni, jakie spędził przy królu, trochę się mu tu polepszyło. Wołał go kilka razy Jagiełło i do różnych drobnych posyłek używał, a że się zręcznie i dobrze sprawiał, okazał, iż rad był z niego. Chłopak był jakby strwożony i milczący. Nie bardzo się téż tu swobodnie poruszać było można, bo starszyzna w srogiéj ryzie trzymała, a kroku po dobréj swéj woli nie można było uczynić: szło wszystko po wojskowemu i ostro strzeżono porządku.

Pacholę z niezmierną ciekawością przypatrywało się królowi, z czego się drudzy wyśmiewali. Zdawało się śledzić każdy ruch jego, każde chcićć posłyszéć słowo, każdą myśl odgadnąć. Kilkakroć król je słowem zaczepił żartobliwém, bo był okrom polowania, wielce łagodny, a niekiedy dobréj myśli, choć chmurnéj twarzy. Pierwszych parę dni tego nowicyatu przebywszy, Teodorek już coraz śmielszym być zaczynał, a dziwny téż jakiś umiał wpływ wywierać na tych, co go otaczali.

Towarzysze zrazu wyśmiewali go, drudzy pozbyć się go radzi, wyrządzali mu przykrości i chcieli zrażać od służby, ale się im to nie powiodło. Jednych rozbroił dowcipem, drugich pokorą, innych śmiałością, naostatek cierpliwością, tak że mu w końcu pokój dano, zważywszy, że król coraz nań lepszém poglądał okiem. Chłopak téż umiał sobie jednać przyjaciół tym środkiem wszechmogącym, którym Krzyżacy pozyskali króla Zygmunta. Do posługi był niezmiernie ochotny, byle mógł coraz bliżéj się docisnąć, wszystkiego dotknąć i ciekawość nienasyconą nakarmić. Słuchał rozmów, podkradał się pode drzwi, wypytywał.

Szczęście, które mu służyło we dworze, znać się nie rozciągało do tych, których miał przy sobie, i którzy jego koni dozorowali, bo z tych jeden znowu uszedł, i, jako stary, niewiedzieć gdzie się podziawszy, dopiéro trzeciego dnia na zmęczonym koniu powrócił, a tłómaczył się tém, że się na pastwisku zabłąkał, szukając straconego konia, którego nie rychło mógł odzyskać.

W tym zamęcie ciągłym i przy tylu sprawach ważniejszych, nikt prawie na to nie zważał.

W sam dzień Ś. Małgorzaty z rana jeszcze odprawiwszy nabożeństwo, zatrąbiono do pocho-

du... Wojsko wypoczęte ruszyło raźnie, wedle wskazówek Trojana ku miasteczku i zamkowi Dąbrownu.

Dzień był niesłychanie skwarny i widocznie zbierało się na burzę, którą wszyscy prorokowali; ku północy leżały ciężkie nieruchome chmury po nad lasami: najmniejszy wietrzyk powietrza nie chłodził. Przyszło wojsku wlec się w spiekotę, szczęściem niezbyt długo, gdyż przed wieczorem pokazała się równina, a wśród niéj ogromne jezioro dąbrowskie, wśród którego sterczały na kępie wzniesione wysoko mury zamku, opasanego dokoła kurtynami, na których wieżyce i rondele gdzie niegdzie rozstawione były, jakby na straży. Zdala już widziéć było można mnogi lud, który na blanki wybiegał i roił się na bramach, po grzbietach murów. Zamek wyglądał silny i poważny, jakby urągał sobie z potęgi, która przeciwko niemu kroczyła. Nie było wcale zamiarem króla ani wodzów zamek ów zdobywać, aby w pobliżu będącemu nieprzyjacielowi nie dać hasła do napaści i nie narażać się na wycieczkę z jednéj, a nacisk z drugiéj strony, o pół mili więc za Dąbrownem rozłożył się obóz u jeziora.

Stało się jednak, czego nikt w świecie przewidziéć nie mógł. Jak skoro rycerstwo zaczęło

się rozkładać u brzegów jeziora, ruch się wszczął na zamku; podniosły się żelazne brony we wrotach, opadł most zwodzony i garść zakonników stanowiąca załogę, wystąpiła na spotkanie.

Widząc nieprzyjaciela prawie o staje, p. Andrzéj Brochocki, który zbroję miał składać, zadumał się, przyszli doń drudzy. Nie pytano rozkazów.

— Co oni nam pod nosem kiwać będą?—zawołał Brochocki—a my cierpiéć i patrzéć będziemy, jakbyśmy tego nie rozumieli?

Inni téż poczęli wołać:

— Dać im naukę...

— Na ochotnika, komu świerzbi dłoń! — krzyknął Brochocki.—Przecież nie grzech poharcować.

W mgnieniu oka zebrała się kupa spora jezdnych i ruszyli ku Krzyżakom.

W obozie gdy ich zobaczono jadących, co najmniéj dziesiąty, który konia pod ręką miał, siadł nań i daléjże sznurem za tamtymi. Krzyżacy stali przed zamkiem, a już od nich pierwszych dolatywały obrzydłe klątwy i łajania, jakiemi zawsze lubili szafować. Na przodzie starszy w białym płaszczu, dwie pięście wystawiwszy przeciwko jadącym, śmiał się i wrzeszczał.

Nie mogąc wstrzymać się, ochotnicy z Brochockim na czele, padli jak piorun z kopiami na nich, i stało się zamieszanie ogromne. Krzyżacy nie wytrzymali uderzenia: zwinęli się. Kilku z koni spadło, dla ciężkich zbroi podnieść się nie mogąc.

A tuż za pierwszą garścią z obozu, druga biegła i trzecia i dziesiąta, z okrzykiem, hukiem, pieśnią, śmiechem. Król, który nierychło zobaczył, że samopas wszystko szło, kazał trąbić, posłano z rozkazami, lecz już nie było sposobu ludzi utrzymać. Rzucali namioty, rozłożone ognie, jadło, sprzęty. Niektórzy bez zbroi ledwie hełm upiąwszy, z jedną szablą lecieli. Na grobli wyprzedzali się, parli, spychali niemal do wody, aby coprędzéj dobiedz, gdzie się już na dobre ścinano. Białe płaszcze, z których kilka na ziemi konie stratowały, pędziły w odwrocie ku bramie, Polacy za nimi. Most zwodzony ledwie zdążono dźwignąć, gdy garść ta z Brochockim u fossy stała. Daléj już nie było sposobu iść, a wracać po małéj utarczce, gdy się ledwie pokosztowało walki, nikt nie chciał. Napływało ludzi coraz a coraz więcéj z obozu. Pomiędzy nim, a miasteczkiem cała droga była zalana tłumami konnych i pieszych.

Napróżno Zyndram Maszkowski, Zbigniew z Brzezia, Krystyn z Ostrowa, stanęli na gościńcu hamując; wszyscy byli głusi: omijano ich i pędzono ku zamkowi.

Tu się nie na żart walka poczęła. Ludzie z końmi i pieszo powskakiwali w jezioro, które było niegłębokie, ale grzązkie, trzymając się za ręce, popychając, pchając drapali na wał pod mury. Niektórzy drabiny już z obozu nieśli, inni siekiery, toporki i samopały. Mrowię to obsiadło zamek dokoła. Poznali dopiéro zakonnicy i mieszkańcy, że się tu naprawdę do szturmu zbiérało. Poczęto z murów dawać ognia, a z wieżyc i blankowania ciskać kamienie. Tyle to tylko pomogło, że gorzéj jeszcze rozpłomieniło. Młodzież zaklinała się, że nie odstąpi od zamku, aż go zdobędzie.

Sam król bardzo niespokojny, zdala na to poglądał i wielce był markotny; posyłał ciągle od siebie, aby porzucono szturm; ale kto pojechał, to go już nie było widać: połowa niemal obozu była pod zamkiem. Widziano od namiotu Jagiełły, jak się jedni drugim spinając na ramiona parli do góry, jak walono w mury siekierami, młotami i stawiano kobylice i drabiny. Miasteczko stało całe w dymach od strzałów, a że powietrze było spokojne, obwinięte niemi było jak szarym

całunem. Huk nieprzyjacielskich dział rozlegał się po okolicy, a razem ogromny wrzask zdobywających, którzy sobie nim serca dodawali.

Słońce zachodziło. Jagiełło patrzał z założonemi rękami, stojąc milczący. Za nim w dali co pozostało z jego dworu, i ów nowo zaciężny dworzanin z Zaboru, na którego bladéj, to rumieniącéj się twarzy, dziwne zdawały się przebiegać uczucia. Drżał cały, czy z żądzy boju, czy ze wzruszenia, któremu oprzéć się trudno na widok zaciętego boju, a było tam na co patrzéć, gdyż nigdy może obronnego zamku takim nagłym napadem nikt się wziąć nie pokusił.

Tysiące rycerstwa pięło się na mury. Krzyżacy nie wiedzieli, z któréj bronić się strony, bo nie było najniedostępniejszego zakątka, któregoby szturmujący nie zajęli. Niestało więc rąk do miotania pocisków i wrzątku, niestało dział wymierzonych w jedną tylko stronę, na obronę wszystkich.

Na murach widać było lud, kobiety, tłum spędzony niebezpieczeństwem i broniący się rozpaczliwie.

Nagle wśród zdala dochodzącéj wrzawy, rozniósł się okrzyk piorunujący. Z murów zaczęli niknąć ludzie i uciekać, w bramie błysnął pło-

mień. Dąbrowno było zdobyte. Żołniérz jeden konny wysłany od bramy przez Brochockiego, przyniósł tę wiadomość do obozu.

Pan Andrzéj był jednym z pierwszych co wpadli, bramę wyrąbawszy, do miasta. Z drugiéj strony przez wyłom zrobiony w murze sypnęła się téż garść Wielkopolan. Wrzawa ucichła, wieczór nadchodził, a wojska wracającego widać jeszcze nie było. Dąbrowno pełne było ludu z całéj okolicy i pełne bogactw i żywności, które tu chciano przechować.

Żołniérz rozwścieczony obroną, na Krzyżaków rozżarty, nic nie oszczędził. Zaczęło się gospodarstwo wojenne w mieścinie tak przepełnionéj ludem obojéj płci, iż niewolnika brano tysiącami. Niektórzy posłali po wozy swe, inni się opatrzyli w nie w miasteczku, ładując łupami.

Napróżno pan Andrzéj Brochocki chciał powstrzymać i ład jakiś wprowadzić: jak go nie było w napaści, tak nie mogło być w rabunku. Brał co kto pochwycił i zarwał, rzucano z okien domów na ulice kosztowny sprzęt, srebra, odzież drogą; zapasy do życia, beczki z napojami wytaczano z piwnic: słowem powstał chaos, jękiem tylko mordowanych krzyżackich knechtów i płaczem niewolnika przerywany. Na zamku Brochocki ze swoją

garścią działa gwoździł i około broni a skarbcu się zawijał. Krzyżaków co go bronili, do nogi niemal wybito, lub rannych pobrano w niewolę. Obchodził właśnie izby puste, gdy jednę znalazł zamkniętą. Żelazny drąg i kłódka drzwi zapierały. Powołał więc ludzi, aby odbić je, nie wątpiąc, iż tam skład jaki znajdzie. Zdziwionym był bardzo, pustą, sklepioną widząc izbę, a w niéj na klęczkach modlącego się księdza. Przypadli doń porywczo niektórzy, ale ich Brochocki odepchnął.

Staruszek był siwy i po sukni poznać się dawało, że do zakonników nie należał. Gdy doń przemówił p. Andrzéj, zdziwił się niepomału słysząc go odpowiadającego po polsku i oznajmującego, że był więźniem przez Krzyżaków na drodze pochwyconym.

Był to ksiądz Jan, którego tegoż dnia właśnie przywiedziono tu i zamknięto, a który sądząc, że wybiła dlań ostatnia godzina, gotował się już na śmierć.

Po krótkiéj rozmowie, bo na dłuższą w zamęcie tym czasu nie było, Brochocki puścił go do obozu, dodawszy dla bezpieczeństwa jednego z towarzyszów, który już dobrze zaopatrzony, bo był dopadł jakichś ładownych kufrów krzyżackich, do namiotu rad powracał.

Tymczasem i część rycerstwa rozjuszona i czeladź obozowa plondrowały jeszcze po mieście, a jak wprzódy grobla i gościniec pełne były tych co zdobywać chcieli, tak teraz wozy i ludzie i konie obładowane zalegały groblę i drogę. Pędzono powiązanych sznurami jeńców, mężczyzn, kobiety, knechtów krzyżackich, niemieckich osadników i wrzawa pomiędzy zamkiem a obozowiskiem nie ustawała, choć noc już nadchodziła.

Wśród tego plondrowania, czy z umysłu, czy wypadkiem zarzucony ogień padł na składy siana i paszy pod zamkiem i w jednéj chwili buchnął płomień ogromny, szerząc się na wszystkie strony. Zdobywcy z czém kto mógł uciekać musieli, bo w ścieśnionéj mieścinie, ogień po suszy i upale z przerażającą szerzył się szybkością.

Z obozu widać już było tylko czarne grube mury, w łożysku ognistém stojące, przez których okna i otwory buchały płomienie szukając pastwy.

Ogromne kłęby krwawego dymu wiły się nad nieszczęśliwém gniazdem. Spadały dachy, ogień wyskakiwał z wieżyc, waliły się sklepienia i po chwilowém przygaśnięciu, znowu podnosiły się ognie, żrąc co jeszcze do strawienia znalazły.

Przez całą tę noc przyświecała łuna pożarna obozowi Jagiełły i przez całą niemal nikt nie za-

snął. Targowica stała się ze spokojnego taboru, w którym nikt nie mógł utrzymać porządku. Wieziono, niesiono, dzielono łupy, a wśród namiotów resztka niewolnika, bo więcéj padło na miejscu przy pierwszéj napaści, niż ocaliło życie, jęczała na ziemi leżąc, nie wiedząc jakie ją losy czekały.

Towarzysz ks. Jana, ocalonego przez Brochockiego, zaprowadził go do swoich namiotów, gdzieby starzec mógł spocząć. Dano mu się czém orzeźwić, lecz nie nawykły do podobnych widoków starzec, z oczyma wlepionemi w płonące miasteczko siedział jak osłupiały. Nie o sobie myślał, tylko o losie ludu tego i o marném życiu człowieka, przeszedłszy po stosach trupów, które zawalały podwórza i bramy.

Z północy dopiéro powrócił Brochocki uznojony, okrwawiony, opalony, bo i bił się i ratował i ład chciał utrzymać, gdzie już żadnéj starszyzny nie znano. Rzucił się na posłanie, które mu czeladź wcześnie przygotowała; odpiąwszy zbroję, leżał jak kłoda ze znużenia. Dopiéro księdza zobaczywszy, który posłania nie miał i przypomniawszy kto był, począł wołać na sługi, aby mu podle niego rzucili słomy i kobierzec dla spoczynku.

— Gdzieżeś się to wybrał tak bezbronny, pod

te ciężkie czasy, gdy nam i z bronią nie bardzo tu bezpiecznie?— począł pytać leżąc Brochocki.

— Nie po dobréj woli, ale z musu — odparł ks. Jan.

— To się rozumié, bo dla ciekawości niktby pono tego się nie podjął — rzekł pan Andrzéj — choćby jak baba ciekaw był nowych rzeczy. I zkądże to Pan Bóg prowadzi?

— Od księżnéj Aleksandry Ziemowitowéj jechałem, gdziem siostrę zostawił — mówił daléj ksiądz. — Uwierzyć trudno co mnie prowadziło. Płoche dziecko nam uciekło, którego szukając, puściłem się za obozem.

— Jakie? co? — spytał powstając Brochocki zaciekawiony.

— Wstyd powiedzieć, ciężko się przyznać — cicho począł duchowny znowu — ale W. Miłości poczciwie i pobożnie z oczów patrzy, winienem mu życie, taić nic nie będę. Jestem Szlązak, król Jagiełło mnie zna, bom swojego czasu pisarzował przy nim, około listów będąc używanym. Widziałem go oto i teraz, gdy na wojnę szedł, i dobry pan poznał starego sługę... Ale jam duchowny i sługa Boży, a dziś jeno o zbawieniu myślę, rzeczami ziemskiemi mało się zajmuję. Siostrę miałem w Toruniu na krzyżackim chlebie wyrosłą.

Dostałem się do niéj, a z nią i siostrzenicą potém zjechaliśmy na dwór księżnéj Aleksandry. Ta to siostrzenica nam zbiegła! — westchnął ks. Jan.— Dziewczyna z głową zapaloną, z nienawiścią w sercu do wszystkiego co nie krzyżackie i co Zakonowi nie służy. Po co uszła? nie wiem, a że pewnie nie z dobremi zamiarami dla króla... nie wątpię. Szaloną ratować chciałem, jeśli jeszcze ratunek możliwy...

— Dziewczyna? — podchwycił Brochocki — a z kimże, jak i kiedy od matki uciekła?

Ksiądz dnie rachować począł.

— Jakże wyglądała? — spytał p. Andrzéj.

Opisał ją staruszek o ile umiał i mógł, a gospodarz porwał się z pościeli.

— Osobliwszy traf! — zawołał — bo do mnie się tu był przybłąkał chłopiec, bardzo do dziewczyny podobny, właśnie w téj saméj dacie. Nie wiecie jakie konie zabrał z sobą?

— Owszem, mówiono mi, że pod starym sługą, którego z sobą uprowadziła, był bułany.

— To ją mamy! — klaskając w dłonie począł Brochocki, śmiejąc się. — Prawdziwa łaska Boża, że w czas się to odkryło. Dziewczyna nazwała się Teodorkiem z Zaboru.

— A bośmy my z Zaboru—podchwycił ksiądz — to ona! nie ma wątpliwości: gdzież się znajduje?

— Wprosiła się między pacholęta królewskie — rzekł Brochocki.

— Na miłość Bożą, chwili do stracenia nie ma; jeśli do króla się dostała, gotowa na wszystko i choć Bóg strzeże pomazańca swego — zawołał powstając ks. Jan — idźmy, zapobieżmy, pochwycić ją potrzeba.

— Nie ma się tam tak dalece czego lękać — rzekł Brochocki. — Choćby ochotę miała popełnić co, pilna tam straż około osoby pańskiéj. Więc choćby jutro, zawsze czas. Dziś noc, mój Ojcze, a ja ledwie w sobie tchu odrobinę czuję, takem się u Dąbrowna zhasał.

— Więc pójdę sam do namiotów królewskich, wskażcie mi drogę! — zawołał ksiądz, składając ręce.

— Was niedopuszczą straże po nocy, ani nawet do płotu, który pański tabor otacza. Daremna to rzecz, króla téż na żaden sposób straszyć się nie godzi, bo ma i tak dosyć na głowie.

Ksiądz się wyrywał, Brochocki choć niechętnie wdział kubrak i czapeczkę, aby z nim iść. Miecza już nawet nie przypasując, obuszek tylko chwycił,

aby całkiem bezbronnym nie być, i wyszli z namiotu.

Noc już była ciemna, na północy w ławie chmur strasznie błyskało, w prawo płonęło jeszcze Dąbrowno, a księżyc się z chmur dobywał.

W obozie gwarno i huczno i tłumno, jak za dnia było... trudno się przecisnąć.

Wozy i łupy wszędzie przejścia tamowały, a do królewskich namiotów był téż spory drogi kawał. Dobili się do nich wreszcie, choć Brochocki nieraz obuszkiem sobie drogę musiał torować. Około płotu i wozów, które zwykle otaczały nadworne namioty, trzeba było stanąć. Marszałka Zbigniewa mały namiocik stał u wnijścia, a on sam, w koszuli przed nim, bo tylko co był z konia zlazł, naupędzawszy się za tymi, co z Dąbrowna się jeszcze wlekli i po drodze dokazywali z jeńcami.

— Co WMość tu robisz? — zapytał marszałek Brochockiego — pewnie ze skargą jaką; ale ja nic już dziś poradzić nie mogę: rycerstwo wzięło na kieł, i bodaj czy nie wy, miły panie, temu winniście. Byliście jednym z pierwszych?

— Nie ostatnim, to pewna — odezwał się Brochocki.— Co się stało, źle się nie stało. Krzyżakom strachu napędzim.

Spojrzał marszałek na stojącego księdza i zbliżył się prędko.

— Cóż was tu przywiodło, ks. Janie? — zawołał — wszakci to dawniśmy znajomi.

Brochocki mu pomógł.

— Jest od kilku dni przy królu JMci chłopak Teodorek z Zaboru, który u mnie z początku w pocztcie służył. Za nim to my z księdzem przyszliśmy.

— Był! był, ale go oto właśnie w czasie téj napaści na Dąbrowno niestało. Wymknął się z drugimi bez zezwolenia i do téj pory nie powrócił. Mogło go co złego spotkać, lub się z innymi zabałamucił: dość, że go niéma. Król go polubił, parę razy pytał o niego! posyłałem za nim.. nie wiem co się stało.

Brochocki zmilczał, spojrzał na księdza, jakby mu dawał znać, żeby nie mówić więcéj.

— To się pewnie z ciekawości gdzie zatrzymało — rzekł — a no pora późna i czas-by spocząć: ja księdza z sobą zabiorę. Gdyby chłopię wróciło, niech WMiłość raczy mu o nas nie wspominać. Zbiegło to od rodziny pokryjomu, będzie się obawiać strofowania.

— E! król go obroni!— rozśmiał się marszałek Zbigniew. — Chłopak zręczny, roztropny

i usłużny. Bardzo nam na rękę, że zastąpił tego, co z febry jakiéjś zmarł.

Ks. Jan ani mógł, ani chciał mówić więcéj; tak był zmieszany i przybity, zakłopotany i nieszczęśliwy tém, że milczéć musiał i tajemnicę w sobie chować, iż twarz jego zmieniła się boleścią i niepokojem.

Odeszli.

*
* *

Świtało zaranie, gdy dwaj jeźdzcy na koniach okrytych pianą i znużonych, wydobywszy się z lasu, ujrzeli przed sobą zamek Bratyan i pod nim leżący obóz krzyżacki.

Jeden z podróżnych, młody chłopak z rozognioną twarzą i pałającemi oczyma, drugi stary i znużony, powstrzymali nieco konie, ażeby im dać odetchnąć.

W obozie, około którego chodziły i stały straże, wszystko się spać zdawało. Wcale on różnie od polskiego wyglądał. Mniejszą daleko przestrzeń zajmował i jednostajniejszy miał pozór; namioty były kosztowniejsze i lepiéj pozaciągane: wszystko tu z cudzoziemska urządzone, bogatsze, więcéj ku wygodzie obmyślone było.

Przyjmując gości z daleka, Zakon musiał, oprócz niekiedy dawanych honorowych stołów i biesiad królewskich, w codzienném téż życiu myśléć by nikomu nie zbywało na wygodach, a ci co ofiarowali się walczyć za Zakon, nie żałowali go, i wiedząc o bogactwach, wymagali więcéj niżby w domu mieli. Zwłaszcza obozem leżąc, cudzoziemskiéj gawiedzi nastarczyć nie było można przysmaków i napojów.

Beczki wina i miodu musiały jeździć za obozem wszędzie i kuchnia téż, która na owe czasy sławną była, bo do niéj co najdroższych przypraw i zamorskich płodów nie żałowano.

Nęciło to rycerzy, co na swych burgach kwaśném piwem, przegniłém serem i baraniém a krowiém mięsem żyjąc, tu się odpasywali na krzyżackim chlebie. Nie tyle téż było kaplic u zakonników w obozie co ognisk, około których od rana rożny się obracały.

Dymiło około kuchni jednych, gdy obóz jeszcze cały spoczywał.

Dwaj jeźdzcy postawszy chwilę, posunęli się zwolna ku straży, która na koniu drzémiąc, stała nieopodal. Podbiegł starszy prędzéj nieco, prędko się z nią rozmówił, i gdy mu knecht wskazał kopią namioty pod murami, poczęli obaj jechać daléj.

Wnet téż i do obozu dotarli, a choć zdala sennym się on wydawał, chyba nie oddawna zasnął. Przebywali właśnie tę część jego, w któréj Niemcy z Łużyc, Misnii i z Frankonii mieli swe stanowisko. Po niektórych namiotach, choć dzień szarzał, świeciło się jeszcze od nocy, bo żołnierze w nich w kości grali i pili. W jednym z większych, dla starszyzny przeznaczonym, płotek u wnijścia był podniesiony, na ziemi leżało kilku nierozdzianych rycerzy w kaftanach, którzy dopiéro pozasypiali. W głębi kufle gliniane i cynowe wypróżnione i konwie powywracane, świadczyły czém się zabawiano do rana. Chrapanie głośne dawało się słyszéć z pod namiotu, w którym już o mroku tylko nogi leżących i porozrzucane płaszcze i rozsypaną broń widać było.

Lampka dogorywała na stole okrytym kobiercem, z którego misek i resztek jadła nie miano zdjąć czasu. Sfora psów myśliwskich wałęsała się szukając kości, i gryząc się, a rozczepić nie mogąc, o każdą znalezioną.

Młode chłopię zmarszczywszy brew spojrzało z konia na to pobojowisko nocne i westchnęło, a potém się całe wstrzęsło.

Jechali daléj ku innym namiotom. W jednym stał w habicie zakonnym staruszek mnich i na ró-

żańcu się modlił. Popatrzył na jadących i obojętnie do wnętrza powrócił.

Nareszcie przeprowadzający sługa na namiot jeden wskazał i z konia zsiadł. Młodszemu rękę podać musiał, bo o swéj sile zmęczony zléźć nie mógł, a potém się zatoczył, na nogach ledwie się utrzymawszy.

Przed wskazanym namiotem wbita była chorągiew z kluczem, w polu czerwoném. Knechci pobudzeni już się snuli. Poczęto szeptać z nimi, a jeden uchyliwszy płotka, do namiotu się wśliznął.

Po chwili głowa szkaradna, trędowata, plamami okryta, wyjrzała i skryła się.

Przybyły podróżny oparłszy się o wbity pal dębowy, z oczyma zamkniętemi odpoczywać się zdawał. Nie trwało to długo, bo taż sama głowa, ale z nią i cała postać podskarbiego Merheima wychyliła się z namiotu.

Zdawał się zdumiony wielce wpatrywać w młodego przybysza, na którego twarzy malował się cichy smutek i srom.

— Ofka! — zawołał podskarbi — czy mam oczom mym wierzyć?

Pacholę palec położyło na ustach i śpiesznie weszło do namiotu za podskarbim.

— Cóż się stało z tobą? jakeś się tu dostała? gdzie matka? zkąd jedziesz? do czego to przebranie? byłaś w ich obozie?

Jedno po drugiém począł rzucać pytania Merheim.

— Co to jest? — dodał w końcu — dlaczegoś uciekła?

— Jadę wprost z obozu Jagiełły, do któregom się dostała — zawołała przebrana Ofka. — Utkwiła we mnie ostatnia rozmowa. Judytką być zapragnęłam, a zostałam pacholęciem przy królu tymczasem.

— Przy królu! — powtórzył podskarbi — ty jesteś heroina! Mów! mów... coś widziała? z czémże jedziesz?

— Ostatnia rzecz, którąm widziała, to była hańba nasza i klęska! — zawołała Ofka. — Zdobyty Gilgenburg, złupiony! spalony! Krwi strumienie się lały, trupów stosy ogień pogrzebał, jeńców tysiące nabrali.

Merheim cofnął się przerażony.

— To być nie może! Gilgenburg! warowny, na jeziorze, obsadzony tak mocno...

— Wzięli go we dwie godziny! — zawołała Ofka. — Napadli jak szarańcza, dziś to już gruzów kupa! Wojsku nikt nie nakazywał szturmu: przy-

szło kłaść się obozem, ochotnicy pobiegli; odwoływano, nie pomogły rozkazy króla; jak szaleni leźli na mury, padali z nich, po trupach cisnęli się drudzy: nie pomogły działa, wrzątek, kamienie. Wzięli gołemi rękami zamek krzyżacki! Cóż będzie, gdy inne działami i całą siłą napadać zechcą?

Podskarbi stał niemy, blady, a twarz krzywiła mu się bólem i gniewem niewysłowionym.

— Gilgenburg wzięty! Gilgenburg spalony! — mruczał pocichu.

— Porzuciłam dwór, króla, wszystko, aby przynieść wam przestrogę.

— A panowie węgierscy? a wypowiedzenie wojny Zygmuntą? — przerwał Merheim — wszak mu list przynieśli?

— Tak, i za zasłoną słuchałam co mówił Frycz — odparła Ofka — kłaniał się królowi, zaręczając, że wojny nie rozpoczną żadnéj, że bać się niéma czego, że im szło o dostanie pieniędzy dla Zygmunta, a nie o sprawę Zakonu.

— Podli zdrajcy! — krzyknął Merheim — czytaliśmy to z oczów Scibora, niecierpią Zakonu.

— A zaciążne Czechy idą z nimi? — pytał podskarbi.

— Jak najwierniéj, i jak najmocniéj rachują tam na nich, a Sarnowski jednym z dowódzców.

Uśmiechnął się podskarbi.

— Jakież ich siły? — spytał.

— Któż je policzy? tysiące, tysiące... ludzi bez końca, pułków bez liku, chorągwi jak gwiazd na niebie. Ćma, chmura: ja nie wiem.

— Pogańska dzicz! — mruczał Merheim.

— Mylicie się — smutnie przerwała Ofka — nie wiem co w sercu ich, ale na ustach nieskończone modlitwy. Kilka dni temu całe rycerstwo szło do spowiedzi i ołtarza. Król codzień mszy najprzód słucha. Pierwszą kaplicę rozbijają w obozie, ostatnią ją zwijają...

— Faryzeusze! — zawołał podskarbi — czynią to dlatego, by świat im pogaństwem nie rzucał w oczy. Któż temu uwierzy?

Zamyślił się głęboko.

Dziewczę znużone i podróżą i opowiadaniem pobladło i musiało się oprzéć o pal namiotu. Dostrzegł tego podskarbi.

— Idź—rzekł—spocznij, w zamku jest siostra Gertruda, do niéj zajdź, znajdziesz ją przy infirmeryi.

Ofka posłuszna powoli wysunęła się z namiotu i pieszo poszła ku zamkowi. Dzień już był biały,

przysłoniła więc sobie twarz, aby snujący się knechtowie ją nie poznali. Tak dostała się przez bramę na podwórze zamkowe, obejrzała po niém i spytawszy tego co jéj towarzyszył o infirmeryą, udała się do drzwi wskazanych.

Mieszkanie siostry Gertrudy stało jeszcze zamknięte, potrzeba było pukać do drzwi zaryglowanych, nim je otworzono. Okienko zakratowane we drzwiach odemknęło się najprzód, ukazała się w niém twarz żółta z oczyma czarnemi, zaburczała coś zobaczywszy mężczyznę i po chwili otworzono podwoje łając i gdérząc.

Kilka słów w ucho szepniętych złagodziło siostrę Gertrudę, która oczyma wielkiemi patrzała na przybysza i milcząc wskazała mu drzwi.

Po dwóch schodach weszły do ciemnéj izby sklepionéj. W głębi jéj stało łoże okryte nędzną pościelą, z krzyżem nad niém i N. Panny obrazkiem. Na stole w jedném oknie nożyce, płótno, okrawki sukna i różnych gałganów, leżały stosem. Naprzeciw nizki piec z kafli zielonych, na nogach cienkich, zastawiony był garnuszkami, słoikami i talerzami. Kilka flaszek zatkniętych kłakami stało na podłodze. Z otwartéj szafy przy téjże ścianie widać było szufladki z ziołami i lekarstwy. Nieład i zaniedbanie panowało w lichéj izdebce.

Siostra Gertruda w białym habicie z półkrzyżem, stojąca przed Ofką, była kobietą lat około pięćdziesięciu, a z twarzy, ruchu i postawy, podobniejszą do mężczyzny, niż do niewiasty. Twarz zżółkła, pomarszczona, okryta była ciemnym włosem rzadkim i brodawkami, w ustach coś niemiłego, złośliwego, na czole zmarszczki, brwi zrosłe ciemne, jak jedna kresa nad oczyma, czyniły ją do onych czarownic podobną, o których lud w baśniach mówi.

Ofka nie mówiąc nic, szukała oczyma gdzieby usiąść.

— Dajcie mi gdzie spocząć, bo padnę — rzekła — nie wiem ile mil zrobiłam konno, nie jedząc nic.

— A cóż cię niosło? co? i to jeszcze przebraną bezbożnie?— gniewliwym głosem zawołała Gertruda, podsuwając jéj stołek drewniany.

— Jesteście siostrą Zakonu i pytacie? A cóż innego mogło mnie prowadzić, jeśli nie jego sprawa?

Popatrzyły na siebie.

— Tyś zamłoda na takie usługi!— mruknęła siostra — tobie się w głowie pali!

— Nie uczcież mnie, proszę, a przyjmijcie!— żwawo zawołało dziewczę — źle czy dobrze, com

zrobiła, moja rzecz, a wasza jak przykazał podskarbi, dać mi spocząć wygodnie.

— Wygodnie?? — zaczęła głową trząść i namyślać się. — Nie bój się, tu ja ciebie nie zostawię, u mnie dla takich miejsca niéma.

Smutnie uśmiechnęła się Ofka.

— Siostro Gertrudo, bądź-że grzeczniejszą, bo gdy do Torunia wrócę, a od matki zażądacie balsamu lub olejku, to wam nie przyślę.

— Co? od jakiéj matki?

— Jestem córką Noskowéj!

Siostra Gertruda baczniéj się jéj zaczęła przypatrywać.

— I puściłaś się w tym wieku na takie przygody? Cóżci to źle w domu było?

— Siostro Gertrudo! — odezwała się Ofka — jeść daj, pić i spocząć, a potém ci powiem wszystko!

Tym wdziękiem uśmiechu i mowy, którym czarowała kogo chciała, Ofka złagodziła siostrę Gertrudę. Pomruczała jeszcze i wzięła klucze.

— Gdzieś niedaleko od siebie dajcie mi kątek.

— Znajdzie się, znajdzie.

Znowu tedy schodki zejść trzeba było i w korytarzu drzwi szukać do izby, która jak cela klasztorna, ale czysta i świeża wyglądała. Było w niéj

łóżeczko, stół, dzbanek, misa, a z okna widok na obóz krzyżacki, który gwarnym być poczynał.

Ofka rozdziewała się co żywiéj i padła na posłanie. Gertruda popatrzyła, zamknęła ją na klucz i odeszła.

Merheim śpieszył do namiotu W. Mistrza, który tylko co wdziawszy suknie, łańcuch i wszystkie oznaki swojego dostojeństwa, zbierał się radę zwoływać. U namiotu stał ten sam Korbacz nieszczęsny, oparty na długim kiju i z twarzą bardzo posępną.

Po podskarbim Ulryk domyślił się złéj wieści, a że tylko co jakąś niedobrą odebrał, wstrząsł się i stanął postrzegłszy go, czekając już na to, co przeczuwał.

— Co niesiecie? złe? nieprawdaż? — odezwał się głosem pełnym dumy i ironii.

— Jeszcze niéma nic tak złego, ażeby mistrz Zakonu miał prawo narzekać. To, co się stało, musi być bodźcem tylko... Gilgenburg wzięty i spalony.

Mistrz zdawał się nie czuć doniosłości nowiny, lub jéj nie rozumiéć: stał nie dając znaku po sobie.

— Mów daléj—rzekł.

— Jagiełło idzie na inne zamki i pustoszy nasz kraj.

— To wiem.

— Zygmunt zdradził.

— Tegom się domyślał, pieniędzmi się kupuje zwykle tylko nowych nieprzyjaciół.

— Jedną ręką podali list wypowiedni, a drugą dłoń z zaręczeniem pokoju.

— Cóż więcéj jeszcze?

— Tego dosyć, ażeby działać, aby wyjść z téj bezczynności, w któréj stoimy.

— Masz słuszność, panie podskarbi — odezwał się Ulryk—nie chcieliśmy pokoju, musimy więc prowadzić wojnę...

— Nie stojąc i nie czekając.

— Idziemy dziś—odezwał się Mistrz—zastąpimy mu drogę: los rozstrzygnie o przyszłości.

— Ja nie wątpię o niéj!—zawołał Merheim.

— Ani ja! Z małym wyjątkiem, Zakon, jako jeden mąż wyrzekł: wojna! Bóg mógł go tylko natchnąć. Dlatego nie boli mnie wzięcie Gilgenburga, ani zdrada Zygmunta. Zakon można znękać, ale go zabić nie potrafi nikt. Odrodziłby się w innéj sukni, z innym znakiem, pod innémhasłem... z tym samym duchem. Zakon jest

nieśmiertelny. My możemy paść wszyscy: on—nigdy.

— Amen—szepnął podskarbi.

— Kto przywiózł wam te wieści?

Merheim przystąpił bliżéj i mówić zaczął pocichu. Czoło Mistrza sposępniało, nie rzekł słowa; z pewnym wstrętem słuchał tajemniczego opowiadania, które mu widocznie było przykrém. Merheim mówił z zapałem: on przyjmował to zimno.

— To nie są moje sprawy — zakończył — jam wódz, jam żołnierz, nie znam innego nic. Idę, walczę, a Bóg uczyni ze mną co zechce. Dla mnie rozstrzyga oręż.

— Nie zawsze — szepnął Merheim — czasem ziarnko piasku...

— A zawsze... wola Boska—rzekł Ulryk.— Natychmiast obóz zwijać każę, dziś jeszcze idziemy przeciwko nim; daléj pożogą i zniszczeniem posuwać się im nie damy. Staniemy murem... bitwa rozstrzygnie!!

Ulryk mówić dłużéj nie chciał, chociaż Merheim zdawał się pragnąć rozmowy; wyszedł do drzwi namiotu, aby przywołać dowódzców. pilno mu już było iść.

Stał uchyliwszy zasłonę, gdy Schwelborn

przypadł w jednéj sukni, bez okrycia głowy, z wściekłością w twarzy, rozogniony, oszalały.

— Wiecie co prawią po obozie?—krzyknął.— Nie zacząwszy wojny, jesteśmy pobici? Nie dobyliśmy miecza z pochew, a krew nasza się leje; zamki się palą, skarby nasze łupią... i my to cierpiéć będziemy? my cośmy przyjęli wojnę, a nie chcieli pokoju??

Oczy zaognione wlepił w Mistrza z wyrzutem, za nim przypadali drudzy.

— Prawdaż to co głoszą? Gilgenburg wzięty, spalony?—wołał W. komtur.

— Srom i hańba!—wyrzekał inny—ponieśliśmy klęskę pod Świeciem. Kawał kraju pustką, Gilgenburg w popiołach, a my stoimy i patrzym...

Wielki Mistrz blady i poruszony stał, nic nie mówiąc; cisnęli się do namiotu komturowie i wielcy dostojnicy.

— Prowadź nas! rozkazuj! — odezwał się marszałek—inaczéj w Marienburgu bronić się przyjdzie.

— Powołać radę—rzekł Ulryk.

Rozruch się stał w całym obozie, jeden Mistrz zachował krew zimną i nie zdawał się wielce poruszonym.

Dwóch braci posłano po namiotach, aby zwykła wojenna rada się schodziła, i prawie w téj saméj chwili, kto jak stał odziany, czy na wpół ubrany, zdążał do namiotu. Na wszystkich twarzach znać było gniéw, oburzenie, wściekłość; milczano wszakże, półsłowami ulgę czyniąc zburzonym uczuciom.

Wielki podskarbi pozostał także w namiocie. Ulryk stał zamyślony u stołu; gdy liczba zebranych była dostateczną do zagajenia, odwrócił się posępny i zamyślony.

— Wiecie wszyscy—rzekł—że Jagiełło niespodzianém najściem zdobył Gilgenburg i leży obozem nad jeziorem, chcąc się posuwać daléj; nie mamy co czynić, tylko stanąć przeciw jego wojskom i stoczyć bitwę, która o losie Zakonu stanowić będzie.

— Chyba o losie Jagiełły!—przerwał Schwelborn szydersko.

— Jednemu Bogu wiadomo o czyim—dodał Mistrz.

— Mieliżbyście zwątpić? — podchwycił marszałek.

— Nie wątpię, ale z każdą chwilą się przekonywam —mówił Jungingen—żeśmy nieprzyjaciela zalekko cenili; trzeba to wynagrodzić wy-

siłkiem potężnym. Od bitwy zależy nietylko potęga, ale może byt Zakonu.

Głośnym śmiechem mowę tę powitało kilku komturów.

— Prowadźcie nas! idźmy!—zawołali—zobaczymy tę potęgę. To stado, nie wojsko. Jagiełło stary i bezsilny, Witold nieszczery..., lud do rabunku nie do boju: stratujemy ich pod kopytami naszych koni.

W wytartéj sukni, przepasany starym pasem, siwy, zgarbiony, pomarszczony, na uboczu stał zakonnik milczący i słuchał tych odgróżek i wrzawy.

Nie mieszał się do rady, nie występował naprzód: znać było, że co innego czuł i myślał. Oparty na mieczu, zwracał głowę ku mówiącym i chwytał każde słowo; niekiedy ostrzyżoną głowę gładził ręką, jakby od niechcenia.

Był to najstarszy wiekiem ze wszystkich braci, który najdawniejsze pamiętał czasy: zwano go Albrechtem Hoymem. Sprawiał on po kilkakroć urzędy różne w Zakonie, ale na żadnym długo dla surowości swéj nie ostał się. Zastępował komturów, dowodził strażami, dawano mu naczelnictwo zaciężnych; naostatek dla nieustannych skarg, choć poczestne miejsce zachował, jako prosty zakonnik, tylko bił się i małym pocztem dowo-

dził. Szanowali go wszyscy, ale unikał każdy, gdyż nie pobłażał nikomu. Surowy zachowawca reguły zakonnéj, nie szemrał na nic, gdy go nie pytano; lecz wezwany, nikogo nie miał na względzie. Gdy głosy na pochód zbiérać zaczęto, przyszła koléj na Albrechta Hoyma, a W. Mistrz więcéj przez wzgląd na wiek, niż dla zbadania myśli jego, spytał:

— Cóż wy sądzicie, bracie Albrechcie?

— Co ja myślę?—niemal ironicznie, z głębokim smutkiem, głosem jeszcze silnym począł Hoym—chcecie wiedziéć całą myśl moją? Powiem ją. Jesteśmy pomiędzy swoimi. Zostaniemy pokonani, pobici, złamani, i nie Jagiełło ani Witold nas zwycięży, lecz własne winy nasze i grzechy. Mówimy o Zakonie? gdzie jest Zakon i reguła? Suknie z nich zostały tylko. Wszystko idzie samopas: nikt nie spełnia co wszyscy powinni. Gdzie są godziny nabożeństwa i gdzie posty, i wstrzemięźliwość i pokora? ja ich nie widzę. Czyni każdy co chce. Po zamkach dzieją się zgorszenia! Zakonnikami przestaliśmy być, a jako zbiérany z całego świata żołnierz, nie wieleśmy warci. Wiązała nas reguła święta, surowość obyczaju, karność Zakonu, pokora, posłuszeństwo i pogarda śmierci... gdzie one dziś?

— A! bracie Albrechcie—przerwał chmurząc się Schwelborn—dość tego, dosyć: twoje kazanie słyszymy oddawna przy każdéj okoliczności. Gdy nieprzyjaciel na karku, nie czas się spowiadać i zabiérać do pokuty: rąbać trzeba.

— A bez pokuty ręka ci uschnie—odparł Hoym—bez miłości Chrystusa miecza nie dźwigniesz, nienawiść nie starczy, nienawiść nie da zwycięztwa.

Niektórzy się uśmiechali, inni patrzyli z politowaniem: Mistrz zdawał się nierad, że wywołał próżne słowa.

— Ale w czémże znajdujecie złamaną regułę?—zapytał.

— Zadługoby było wyliczać — odparł spokojnie stary wojak — od odzieży, jadła, mowy, aż do modlitwy, zmieniło się wszystko. Dawniéj do kobiety mówić nie było wolno, dziś z nią po całych dniach, a może i nocach zabawiać się, nikt za grzech nie ma; stół zakonny był prosty, dziś jest wykwintny; nie miał nikt własnego nic, habitu, grosza, rodowéj pieczęci, ani woli własnéj w niczém: dziś każdy nosi co mu się podoba, zbiéra, gromadzi, rozdaje, a żyje byle za mury się wybrał, jak świecki człowiek. Dlatego Zakon słabnie, pada i lada burza go obali.

— Nie! — zakrzyczał marszałek — nie! To, na co wy narzekacie, stary bracie puhaczu, wróżbiarzu złego, było zawsze i zawsze będzie. Gorsi nie jesteśmy od drugich.

— Cóż? lepsi?—spytał zimno, w oczy mu patrząc stary.

Zmieszał się nieco Lichtenstein.

— Nie przypisuję sobie tego, żebyśmy doścignęli pierwszych tych, co na téj ziemi krzyż zatknęli; lecz..,

— Zapewne, że późno dziś naprawiać, co lata popsuły—dodał Hoym—lecz jeśli wyjdziemy cało, kajajmy się! bracia, pokutujmy!

Cicho było w namiocie, niektórzy zdawali się znudzeni; śmieli się inni odwracając: stary Albrecht postrzegł to, westchnął i zamilkł.

Milczeli téż długo wszyscy.

— Aby pozyskać siłę Chrystusową—dodał jakby sam do siebie—trzeba naśladować Chrystusa Pana i jego trzymać się nauki. Zakon nasz począł od szpitalu i miłosierdzia, a skończył na zaborach i rzeziach. Chrzcimy krwią, nawracamy mieczem: od miecza zginiemy!

To rzekłszy, jakby dla uspokojenia sumienia, nizko głowę skłonił przed Mistrzem, przykląkł

zlekka, reszcie braci oddał pokłon i wyszedł powolnym krokiem.

Choć nikt się nie chciał przyznać do tego, wystąpienie starca uczyniło wrażenie, jak wyrzut co się odezwał w sumieniu. Czuł każdy, iż wiele prawdy było w słowach surowego rycerza. Ulryk przeszedł się dokoła stołu, podniósł głos, jakby ustęp ten nie należał do rzeczy, i rzekł głosem stanowczym:

— Natychmiast wyruszyć potrzeba, czekałem posiłków jeszcze, rachowałem na zwłokę, liczyłem na króla Zygmunta, który miał wpaść od granicy węgierskiéj, na Inflanty, że wtargną na Litwę... chciałem nieprzyjaciela wciągnąć w głąb' kraju, aby go zeń nie wypuścić... zmuszacie mnie, a raczéj wypadki zniewalają iść i stanowczą stoczyć bitwę. Stanie się więc. Męztwo trzeba podwoić, bo siły nasze małe są i słabsi jesteśmy od Jagiełły.

Zaczęto mruczeć.

— Nie wedle liczby waży się żołniérz! Co znaczy liczba? siła nasza w rycerskiéj wprawie i sercach!

Mistrz nie odpowiedział.

— Otrąbić do pochodu! ruszamy!

Na to hasło komturowie rzucili się ku drzwiom, niektórzy z okrzykami i po obozie rozległ się

natychmiast odgłos trąb i wołanie:—Do koni! Z hałasem ściągano namioty.

Zaciężny żołniérz jeszcze zażywał wczasu nad stołami i konwiami, gdy hasła się rozeszły; kto więc co pod ręką znalazł zabiérał, wypijał, chował, a czeladź śpieszyła siodłać i troczyć.

Z pośpiechem zdawna niepamiętnym zabiérano się wyruszyć. Chorągwie około południa już się na błoniach pod zamkiem ustawiać zaczęły. Chmurne i przeciągającemi obłokami okryte niebo, osłaniało nieco od spieki słonecznéj, ale powietrze było duszne i ciężyło na piersiach ołowiem.

Zwinięto i namioty, pod któremi gości przyjmowano, i mistrzowski, i co tylko zabrać się dało, wozy ładowano co żywiéj. Schwelborn zajadły miał ich kilka pełnych sznurów i pęt, odgrażając się, że je na jeńców polskich gotował.

Wspaniałym i uroczystym pochodem ruszało wojsko krzyżackie, zamiast modlitwy, okrzykami wojennemi i odgróżkami brzmiąc całe.

Szła przodem wielka chorągiew Zakonu, z krzyżem czarnym i złotym, na którym w tarczy złocistéj widny był orzeł czarny. Pod nią jechał sam Wielki Mistrz, najdostojniejsi panowie, dwór Ulryka i jego czeladź, zbrojna przepysznie i strojna jak do okazu, nie do walki.

Tu świeciły najpiękniejsze szmelcowane zbroje. najmisterniejsze szyszaki, najkosztowniejszy oręż, najbielsze płaszcze i najbielsze twarze. Mistrz na piersiach miał łańcuch z relikwiarzem jerozolimskim, który był uważanym jako Palladium i siła Zakonu.

Za nim szła mniejsza chorągiew W. Mistrza. proporzec jego, pod którym znajdowała się szlachta pruska, najemni rycerze niemieccy i zbiérana drużyna płatna. Piérwsze szeregi błyszczały i tu zbroją i rynsztunkiem i ludzi doborem, ale w dalszych dojrzéć było można takich, co szli na wojnę więcéj, aby jeść, niż aby się bić, i obładowani bez miary, oglądali się raczéj na wozy, niż na chorągiew.

Chorągiew W. marszałka z krzyżem czarnym, złożona była z Franków, gdyż i on sam z Frankonii pochodził, a ludzi miał dobranych do boju; po niéj szedł ze swoją Konrad książe na Oleśnicy, pod znakiem czarnego orła szląskiego, ze Szlązakami, między którymi siła była, co lepiéj po polsku, niż po niemiecku mówili.

Jerzy Gersdorf, Szlązak, niósł chorągiew św. Jerzego z białym krzyżem, w polu czerwoném. Była to jedna z najprzedniejszych, pod którą się tylko ci garnęli, co z placu nigdy nie ustępowali

i znamieniowi swemu hańby uczynić nie dali. Gersdorf był między nimi jednym z najprzedniejszych, żołniérz prawy, bo od dzieciństwa zbroi nie zdejmował i wojna była jego rzemiosłem. Chorąży ziemi Chełmińskiéj, Mikołaj Renysz, głowa Jaszczurczego związku, niósł chorągiew białą z czerwoném, z krzyżem czarnym i wiódł szlachtę chełmińską i mieszczan; za nim postępowali komturowie, każdy na czele swoich, potém chorągwie biskupstw, znaki miejskie, znaki najemnych pułków z rozmaitemi godłami, naostatku czeladź, ciury i działa, wozy z kulami, prochem, żywnością, namiotami, beczkami wina i piwa, zapaśnym orężem i t. p. Tych liczba niemal tak była wielka jak wojska i osobny obóz stanowiła.

Z chorągwią swą wystąpił téż między dostojnikami podskarbi Merheim, lecz miejsce jego zajął namiestnik, któremu ją do prowadzenia powierzył, sam pozostawszy na zamku dla spraw, które chciał dopilnować...

Z okna swéj celi Ofka, przebudziwszy się po krótkim spoczynku, gdy trąby jedna po drugiéj odzywać się zaczęły, postrzegła ustawiające się szeregi i zabiérające do pochodu wojsko. Niespokojna poprawiła nieco swego męzkiego stroju i czekała, aby jéj znać dano co czynić miała.

Ten niepokój, który ją był ogarnął na widok wojsk Jagiełły w lesie, wrócił, gdy ujrzała wojska krzyżackie, które policzyć niemal mogła i zmierzyć mniejszą ich siłę. Znużona i złamana drogą, duchem czuła się znowu silną, a gniéw przeciwko tym, co śmieli stawać do boju z Zakonem, wybuchał znowu w jéj sercu. Nie czuła się już jednak zdolną do posługi jakiéjkolwiek, bo chwila, w któréj oręż miał wszystko rozstrzygać, zbliżała się. Stała jeszcze w oknie zadumana, spoglądając na odciągające chorągwie, to dumna niemi, to trwożąc się gdy je liczyła; kiedy siostra Gertruda z posępną swą twarzą, obwiązana fartuchem, weszła niosąc na misce jedzenie. Ciekawą znać była tego przebranego dziecięcia, na które patrzała z oburzeniem i zgrozą, bo podawszy jadło, stanęła naprzeciw Ofki, jakby do rozmowy.

— Cóż? za wojskiem pociągniesz? ty, niewstydnico jakaś? — mruknęła, nie mogąc się wstrzymać.

— Nie wiem, siostro Gertrudo: uczynię co mi każą.

— A któż ci to kazał bezbożnie się tak przebiérać i kryć płeć swoją?—spytała siostra.

— Musiało to być na coś potrzebne, a pewno nie jest i nie było miłe—odparła Ofka—ale kto

kocha Zakon, ten dla niego nawet czci i sławy nie żałuje.

— Wygadana! wygadana!—zamruczała Gertruda—to nie dobre téż! dziewczyna lepiéj robi gdy milczy.

Ofka spojrzała na starą i nie obrażona wcale, rozśmiała się.

— Siostro Gertrudo—spytała—a wyście zawsze byli starą, czy téż może kiedy młodą?

— Słuchajcie, co za żmija!—odparła siostra. Byłam młodą i piękną jak ty, a może i piękniejszą, alem się nigdy za mężczyznę nie przebiérała, bo to obraza Boża!!

— A w którym roku życia wstąpiliście do Zakonu, siostro Gertrudo?—mówiła Ofka, jedząc i figlarnie mierząc ją oczyma.

— Będziesz ty mnie brała na spytki! Patrzajcie ją? Hm! Miałam męża, zostałam wdową, poszłam służyć Zakonowi!

— Dawno to temu?—mówiła Ofka nie zważając na kwaśną minę siostry.

Na to pytanie nic już nie odpowiedziawszy, zbiérała się wynijść ze swym gniewem Gertruda, gdy w progu ukazał się podskarbi.

Na widok jego spokorniała bardzo siostra i ręce złożywszy, stanęła u ściany.

— Siostro Gertrudo—rzekł—nie gorszcie się wcale ubraniem tego dziewczęcia; z dobréj woli dla Zakonu poświęciła się... szanować to trzeba, a uczyńcie jéj wyprawę na drogę, jakiéj zażąda... Proszę i żywo.

Rzuciwszy okiem na Ofkę śmiejącą się, wyszła siostra co prędzéj.

Podskarbi zbliżył się do niéj.

— Na koń! i napowrót do obozu, do króla!—zawołał.

— Jakto?—spytała Ofka zdumiona—a jeśli mnie spytają...

— Spytają pewnie, powiesz co chcesz... żeś się zbłąkała. Cóż dziwnego?

Podskarbi się obejrzał i przystąpił do stolika, z za sukni dobył krągłą bańkę złotą, którą otworzył. W środku jéj była druga szklanna, zamknięta korkiem złotym i osznurowana.

— Widzicie—rzekł—ten pektoralik? możecie go sobie włożyć na szyję i nosić go... stanie on w pewnym razie za sto szabel i za sto samopałów. Gdyby wam, Zakonowi... groził kto... a bronić się było potrzeba... w obronie życia, życie odebrać prawo pozwala. Rozumiecie mnie?... Jest to włoski elixir cudowny. Kropla do kielicha wina wpuszczona, uwalnia od nieprzyjaciela... Rozu-

miecie mnie... Weźcie dwóch ludzi swoich, lub innych, a wracajcie do obozu, do służby. Nie mówię więcéj nic: któż przewidzieć może, co wypadnie?

Spojrzał na dziewczę, które pobladło, strwożyło się, wahało, potém rękę drobną wyciągnęło po bańkę, którą podskarbi zamknął; Ofka chwyciła sznur jedwabny, na którym zawieszoną była i szybko zarzuciła na szyję. Nie odpowiedziała ani słowa: oczy jéj błysły.

Podskarbi wstrzymał się chwilę.

— Nie macie potrzeby pamiętać, kto wam to cacko dał... mogliście je znaleźć na drodze.

Oczy Ofki i jéj bystre spojrzenie świadczyły, że zrozumiała.

— Jedźcie do obozu — dodał — wojsko nasze ciągnie powoli, ja także idę z chorągwią moją. Wy możecie wyminąć je i wyprzedzić. A stanie wam na podróż siły?

— Mam nadzieję! — poważnie odezwała się Ofka, zmieniwszy głos i wyraz twarzy, jakby dumną była z posłannictwa, które na nią wkładano.

— Niech Bóg dobrym zamiarom błogosławi! — dokończył podskarbi. — Jedźcie nie zwlekając. Kobietą będąc, zawstydziliście teraz nie jednego

mężczyznę i rycerza. Zakon o waszych zasługach będzie pamiętał.

To mówiąc wyszedł Merheim, bo w podwórzu pacholę i konie nań czekały. Tu jeszcze rozrządził wyprawą młodego żołnierza, jak go nazywał, i siadł, aby dognać swoją chorągiew. W pół godziny późniéj, ścigana groźnemi oczyma siostry Gertrudy, Ofka dosiadła podanego konia i śmiało rzuciła się na wskazaną jéj drogę, którą wojsko wyminąć miała.

* * *

Nazajutrz po zdobyciu Dąbrowna, dnia czternastego lipca, nie można było ruszyć z obozu, w którym noc ostatnia tyle zasiała nieładu. Kupami stali spędzeni jeńcy, leżały stosami łupy, ludzi wielu było rannych. innych nawołać od pogorzeli i rabunku nie było podobna. Zyndram Maszkowski doniósł Jagielle, iż wojsko znowu do porządku doprowadzić trzeba, a dowódzcy zajęli się zwoływaniem rozproszonych, rezdziałem żywności i zapasów, jakie się im dostały.

Spalone téż miasteczko, choć wygorzało prawie do szczętu, wiele w niém po lochach, sklepach i dołach zostało żywności, którą gardzić się nie godziło. Wysłano wozy i co wstrzemięźliwszą czeladź

ze starszyzną, dla zabrania z pogorzeli co się ocalić dało.

Sam Jagiełło wyszedł zdala spojrzéć na ów tłum kilkotysięczny biednych jeńców, którzy spędzeni jak bydło, siedzieli płacząc na ziemi i zawodząc żałośnie. Wielu z nich żon, dzieci i ojców niestało, których trupy leżały na pogorzeliskach. Z boku oddzielnie widać było białe poszarpane płaszcze krzyżackie, rozbrojonych zakonników, a przy nich braci zakonnych, szlachtę okoliczną i żołnierzy.

Za poradą duchownych i z własnego natchnienia król nakazał natychmiast, aby wydzieliwszy przedniejszych jeńców, mających pozostać w niewoli, resztę mieszczan, ludu, kobiet, dzieci, natychmiast odpuszczono wolno.

A że niewiast było wiele, a obawiano się od ciurów wojskowych napaści i zniewagi, otrąbiono po obozie w imieniu króla, ażeby pod gardłem nikt się nie ważył puszczonych zaczepić, zatrzymać, ani im krzywdy czynić.

Natychmiast w obecności Jana z Tarnowa i Krystyna z Ostrowa, powiązanym sznury rozerznięto, innym kazano się do gromady zebrać i iść naznaczonym szlakiem, wymijając obóz. Dla przeprowadzenia zaś dodano starszego żołnierza

i dowódzców kilku. Ci co po wczorajszéj rzezi życia nie byli pewni, sądząc, że w pień wycięci zostaną, z radością wielką i błogosławieństwy obóz opuszczać zaczęli. Zakonnicy krzyżaccy na boku stojący, w większéj części ranni i pobici srodze, gdy do nich marszałek podjechał, choć z niedobrą wieścią, ale ze słowem ludzkiém, ani głowy podnieść, ani się odezwać, ani odpowiadać chcieli. Znać było z nich, że śmierci wyglądali i woleliby ją może od sromu i niewoli.

Gdy marszałek odjeżdżał od nich, jeden z zakonników, który miał rękę przeciętą, drugą wyciągnął pięścią grożąc i odezwał się goniąc za nim słowem:

— Nie cieszcie się, ani tryumfujcie! kawał muru mogliście napaść i zdobyć niespodzianie, ale w polu gdy się spotkacie z nami, będziecie musieli zapłacić sowicie za krzywdy nasze, wy i wasz król i wszyscy co wam do tego niecnego pomagali dzieła!!

Ani za złe można było wziąć rozżalonemu tych słów, i marszałek do serca ich nie biorąc odjechał. Owszem posłano przedniejszym jadło z kuchni królewskich, które oni wyrzuciwszy, chleb suchy jedli, nie wiedzieć zkąd go dostawszy.

Zajadłych tych nieprzyjaciół wśród wojny puszczać nie godziło się, więc choć ciężarem wojsku byli, powiązanych zatrzymać musiano.

Cały ten dzień, jak poprzednie skwarny, upłynął na porządkowaniu, które z południa dokończono, ludzi od miasteczka ściągnięto, i dopilnowano, ażeby wcześnie na swych miejscach spoczęli, a na zaraniu gotowi byli do pochodu. Dowódzcy objeżdżali namioty, szałasy i stanowiska, nikomu się błąkać nie dając; pogaszono ognie z wieczora i straże czuwały, żeby się nikt wyrywać nie mógł na swą rękę do swawoli. Już nad wieczorem, gdy się to działo, w stronie północno-zachodniéj nieba zaczęły się gromadzić chmury, które stały od dni kilku jakby nieruchome: zdawało się, że burza i deszcz przyjdą, aby powietrze odświeżyć.

Wszedł jednak księżyc w pełni, i chmury za lasami, choć w nich znowu błyskało, osiadły. W obozie nastała cisza wielka i uroczysta, bo po wczórajszéj walce i znużeniu, żołnierz odpoczywał snem kamiennym. Nie wielu tylko czuwało, około namiotów królewskich i na czatach u krańców obozu.

Do tych, którzy nie spali, należał téż Bartosz, pleban kłobucki, kapelan Jagiełły, odmawiający długo modlitwy, a późniéj z niepokoju jakiegoś

dusznego, nie mogący zmrużyć oka. A że w namiotach gorąco było nieznośne, wyszedł siąść przed niemi, ażeby powietrzem wolném odetchnąć..

Księżyc już się był znacznie podniósł na niebie, po którém rozsiane jak wełna rozstrzępiona przebiegały, a raczéj płynęły obłoczki. Były one tak przezroczyste i lekkie, iż mało co blasku miesięcznego odbierały. A gdy w twarz księżycową zapatrzył się modląc ksiądz Bartosz i myślał, coby za przyszłość czekała to wojsko śpiące i spoczywającego króla,—obraz dziwny zjawił mu się na tarczy księżyca.

Białe obłoczki wsunęły się na nią powoli i widział pleban kłobucki, jak jeden z nich przybrał postać rycerza z królewską koroną na głowie, drugi mnicha z krzyżem, albo plamą na płaszczu czarną...

Nie wierząc oczom swym, coraz mocniéj wpatrywał się w te cienie pleban, ale postacie nie znikały; jęły się owszem za barki i zdawały walczyć i pasować z sobą, aż król ów obłoczny obalił mnicha i roztopiły się owe postacie, a uleciały...

Przejęty widzeniem ks. Bartosz, modlił się w zachwyceniu jakiémś, upatrując w tém wróżbę szczęśliwą, gdy w téjże chwili nadbiegł doń nie-

daleko stojący żołnierz, pytając czy widział na niebie zjawisko?

Spostrzegli je i inni czuwający w obozie, a chociaż nikomu na sercu nie zbywało, dodało to otuchy, równie jak wzięcie Dąbrowna.

Już się na świt brało, gdy straże stojące opodal w zaroślach, usłyszały tentent i wkrótce zjawili się naprzeciw nich trzej jeźdzcy. Zatrzymano ich. Jeden najmłodszy opowiadał się jako dworzanin króla, zabłąkany czasu napadu na zamek, co mu dwaj drudzy łamanym językiem poświadczali. Wszyscy napowrót do obozu chcieli, lecz straż baczna, do oboźnych i nocnéj warty ich odesłała. Tu zatrzymano ich aż rozedniało nieco, a gdy z królewskiego dworu zawezwany podkomorzy, poświadczył, iż młodego we dworze królewskim widział i znał go dobrze z twarzy, puszczono dopiéro, aby szli się przed starszymi tłómaczyć.

Właśnie się obóz miał ruszać i zwijać, i zamieszanie z każdą chwilą rosło większe, gdy trzej jeźdzcy nadążyli do namiotów królewskich. Chmura, która noc całą stała napozór nieruchoma między zachodem a północą, podniosła się nagle i wiatr szalony po nad obozem ją przenosił. Płótna namiotów porwane nim miotały się szeleszcząc i rwąc sznury, obalały się stojące, obalone wlokły po zie-

mi, tumany kurzu otaczały plac cały... rżenie koni, krzyk ludzi, wycie gwałtownego wichru zamąciły na chwilę ze snu budzący się lud. Ofka ze swymi konnymi podjeżdżała ku taborowi króla, gdy za cugle jéj konia porwał silną ręką mężczyzna ogromnego wzrostu i pochwyciwszy ją wpół, z siodła zdjął jak pióro, stawiąc drżącą i przelękłą na ziemi.

Groźnych czarnych oczów dwoje, wlepionych w nią, dały poznać dziewczynie, iż powinna się była tłómaczyć. Stał przed nią pan Brochocki. Ofka chciała mu się zrazu wyrwać, lecz dłoń jego ani drgnąć słabemu nie dała dziewczęciu.

— Dokąd? zkąd? — zawołał grzmiącym głosem.

— Wracam... zabłąkałem się...

— Wrócisz najprzód do mnie! — rzekł Brochocki — przy królu miejsce zajęte... Ani słowa! iść i słuchać.

Ludzie, których z sobą przywiodła Ofka, popatrzyli przerażonemi oczyma na nią, na siebie i pozostawszy, korzystając z zamieszania, jakie wiatr wzniecił w obozie, zniknęli. Dziewczę trzymając konia za cugle, same za ramię ujęte przez Brochockiego, musiało iść przodem. Przecisnęli się tak wśród powywracanych namiotów i tłumu,

który niesione burzą suknie łapał i chwytał. Namiot pana Andrzeja leżał téż na ziemi, bo pale złamał wiatr. Około niego ujrzała z przestrachem Ofka stojącego księdza Jana.

Staruszek ujrzawszy ją, ręce do góry, jakby Bogu dziękując podniósł.

Na twarz dziewczęcia wystąpił rumieniec gniewu, wstydu i przerażenia. Chciała uciekać, lecz Brochocki nie puszczał jéj, doprowadził aż do księdza i śmiejąc się postawił ją przed nim.

— Otóż jest zbieg, burza go przyniosła — zawołał.

Zbieg stał pomieszany, lecz i stryj ks. Jan niemniéj był odzyskaniem skłopotany, ani nagle ją ujrzawszy wiedział, jak sobie ma począć. Nie chciał wydawać tajemnicy, aby obłąkanéj wstydu nie czynić; czuł, że puszczona na wolność użyje jéj pewnie na złe, lub przynajmniéj do ucieczki: nie śmiał się cieszyć, nie mógł łajać.

— Mój Ojcze — rzekł Brochocki, poniekąd odgadując myśli jego — w obozie są prawa i zwyczaje. Kto raz samowolnie uszedł, ten pod strażą zostać musi, dopóki się sprawa jego nie rozpozna i kara nie domierzy. Dziś nie czas ani badać, ani karać; lada chwila, żeby tylko ten szalony wicher

się uśmierzył, ruszać trzeba; nieprzyjaciel niedaleko: co tu z nim robić?

Obrócił się do Ofki.

— Trochę mnie znacie, ale może nie spełna: człowiek jestem takiego serca, jak ręki. Oboje żelazne. W pochodzie rodzonego brata nie pożałuję, a nieposłusznemu łeb utnę: rozumiecie mnie?

— Tnijcie! — zawołała Ofka — a żywo.

To mówiąc, przechyliła głowę i nastawiła szyję białą. Brochocki i ks. Jan spojrzeli po sobie, mówiąc oczyma:

— Co z tym szatanem poradzić!

— Gdzieżeś był? — zagrzmiał ogromnym głosem Brochocki.

— W lesie, zabłąkałem się.

— Kto ci pozwolił od dworu?

— A kogóż inni pytali gdy szli na zamek? — zapytała Ofka.

— Toś i ty tam był?

Dziewczę zarumieniło się mocno.

— Tak jest.

— Fałsz jest! — zawołał pan Andrzéj — jam tam pierwszy był i byłem ostatni, i wszystkich widziałem co byli. Gdzieś była?

Ofka zamilkła, popatrzyła w oczy panu Brochockiemu.

— Wasza Miłość wiecie od mojego stryja, kto jestem. W oczach jego jam winna. Tnijcie mi głowę, mówić nie będę, bo nie chcę.

Do innych trosk z dziewczęciem, przybywała i ta, ażeby się król o całéj sprawie nie dowiedział, i nie tłómaczył jéj sobie czarami jakiemi, coby mu frasunku w przede dniu walki co chwila spodziewanéj dodało.

— Licho ją tu w tę złą godzinę przyniosło! — odezwał się sam do siebie Brochocki — złapał żołnierz Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Ks. Jan stał milczący, on mniéj jeszcze wiedział co miał czynić ze zbiegiem. Mierzył oczyma dziewczę, które zrozumiawszy że o nią byli w kłopocie, odzyskiwało odwagę i przytomność.

Stała wpatrując się w księdza naprzemiany i w pana Andrzeja. Ostatni straszniejszym się jéj nierównie wydawał. Znać było z nasępionych rysów jego twarzy, iżby się na wiele ważył, gdyby litości nad księdzem nie miał.

— Gdybym wierzyć mógł słowu, kazałbym ci za sobą i z pocztem moim iść, ale cię wolną z oczu spuścić nie można.

— Każcie spętać! — odezwała się dziewczyna zuchwale.

— Dałbym cię między krzyżackich jeńców, gdyby mi cię żal nie było, do téj hałastry mieszać — zawołał Brochocki.

— Chętnie pójdę z tą hałastrą! — zawołała Ofka.

— A ja także do nich mogę się schronić — głową dając znak potakujący, rzekł ks. Jan.— Najwłaściwsze tam dla nas miejsce.

Brochocki więc czasu nie mając do stracenia, bo się ludzie szykowali, a Witoldowe prawe skrzydło dawno już było ruszyło, zawołał na czeladź i kazał Ofkę z księdzem odprowadzić do jeńców, z poleceniem temu co ich wiódł, aby na nią mieli oko.

Dziewczę szydersko się uśmiechnąwszy, milczące poszło za przeprowadzającymi: ks. Jan dążył za nią. Obóz cały był w ruchu. Wiatr gwałtowny nie ustawał. Nadbiegający dworscy dali znać, że król koniecznie mszy św. chciał słuchać przed ruszeniem, a kapliczny namiot od wiatru obalony, ustawić się nie dawał: ani pale, ani sznury nie mogły go w miejscu utrzymać.

Jagiełło stał przy swojém, Witold wreszcie nadbiegłszy, radził, by czasu nie tracąc, posunąć się daléj, a na wypoczynku, gdy wicher nieco przepędziwszy obłoki ustanie, nabożeństwo odprawić.

Niechętnie zgodził się na to król i trąby po raz trzeci odezwały się do pochodu.

Wśród szumiącéj więc suchéj burzy, obłoki żeglujące mając nad głową, ruszyły się zastępy ze śpiewem pobożnym z obozowiska, z myślą wesołą, z przeczuciem jakiémś powodzenia.

Wszyscy tego dnia mieli nadzieję widzenia nieprzyjaciela, o którym w blizkości wiedziano, nikt się jednak starcia nie spodziewał.

Dwie długie mile, zaroślami i polami sunęły się chorągwie, aż ku wsi Rudzie i Grünwaldowi, gdzie wśród gąszczów i gajów, gdy wiatr znacznie był zwolniał, zatrzymać się kazano.

Wojsko rozkładało się u stóp pagórka nad jeziorem Lubnem, a na wierzchołku jego śpiesznie rozbijano namiot kapliczny. Ks. Bartosz ubierał się do mszy św., dwór czekał na nabożeństwo, król się go domagał. Słońce zaczynało znowu przezierać z za rozbitych obłoków. W chwili, gdy Jagiełło z konia zsiadłszy, pieszo zmierzał ku namiotowi, wielkim pędem nadbiegł zziajany Hanko, szlachcic z pod Chełma, Ostojczyk. Z twarzy mu patrzało, że wieść niesie: król stanął czekając.

— Z czém idziesz? — zawołano — co się stało?

— Krzyżacy tuż! stoją już o kilkanaście kroków od obozu, pod wsią Grünwaldem.

— A ileż ich tam jest? — spytał Jagiełło.

— Nie widziałem więcéj nad jedną chorągiew — rzekł Hanko — bom z doniesieniem śpieszył, Najjaśniejszy Panie!

Za Hankiem ujrzano w pędzie lecącego Dersława Włostowskiego Okszę.

— A wielu ich tam?— powtórzył król, zwracając się ku niemu.

— Jam widział dwie chorągwie!

Na tém wszakże nie było końca, ujrzano trzeciego, który zwiastował pięć chorągwi, czwarty więcéj jeszcze, inni wreszcie powiadali, że cała siła Krzyżaków w szyku bojowym stoi gotowa do walki!

Jagiełło wysłuchał ich, przeżegnał się i wszedł do kaplicy. Ks. Bartosz stał właśnie u ołtarza i msza święta się rozpoczęła.

Koniec tomu pierwszego.